

Ewa  
Bawieda

# Jośka

Pawietwik  
maturzystki

Wydawnictwo TELBIT

**BANIECKA EWA**

**Jośka**

Dla Ani

\*

## **Rozdział I**

### **O mnie samej, o niektórych przyjaciółach i o tym, jak nie radzę sobie z pewnym uczuciem**

1 września

No i stało się. Rozpoczął się ostatni rok w liceum. Ostatni, zanim rozejdziemy się, każdy w swoją stronę. Wraz z jego rozpoczęciem postanowiłam zacząć pisać pamiętnik. Może kiedyś, przy okazji jakiegoś spotkania klasowego po latach, gdy będziemy sobie opowiadać o naszych wielkich karierach, zagranicznych podróżach albo genialnych dzieciach, przeczytam moim kumpelkom i kumplom z klasy fragmenty tych zapisków i przypomnimy sobie zdarzenia, które już dawno zatarły się w naszej pamięci...

Najpierw powinnam chyba napisać coś o sobie. Mam na imię Joanna. Tak przynajmniej zwraca się do mnie moja mama, kiedy chce ze mną poważnie o czymś pomówić: „Joanno, musimy porozmawiać”. Brr! W szkole i wśród znajomych jestem po prostu Jośka. Tak się przyjęło, zamiast Aśka albo Joaśka, a wymyśliła to moja naj, naj, najlepsza psiapsiuła z ławki, Monika, czyli Monia. Siedzimy w tej naszej ostatniej ławce w środkowym rzędzie od samego początku, od pierwszej klasy ale o tym, jak do tego doszło, napiszę później. Teraz po kolei... Mieszkam z mamą Krystyną, na którą zwykle mówię pieszczotliwie „mamutką” (to pozostałość z czasówwczesnego dzieciństwa), i z postrzelonym kerry

blue terierem Bonim w czterorodzinnym przedwojennym domu na pierwszym piętrze. Z okna mojego pokoiku, przerobionego z loggii balkonowej, kawałka łazienki i kawałka przedpokoju, widać okno Izki, której mieszkanie znajduje się dokładnie naprzeciwko. Z Izką znamy się co najmniej od czasów, kiedy siedząc w wózkach spacerowych, wymienialiśmy poglądy na temat piękna otaczającego nas świata. A brzmiało to mniej więcej tak:

- Uaaa, ggaaaa!

- Oooo, grrrrrrr!

Izka jest tak samo naj, naj, naj jak Monia, a może jeszcze bardziej. To dwie bratnie dusze. Izka też mieszka tylko z mamą, ale zamiast postrzelonego psa mają postrzelonego kota Fikusa, który od czasu do czasu przyprawia mnie niemal o palpacje serca, gdy nagle podczas mojej wizyty z dzikim piskiem skacze mi nad głową i zjeżdża w dół po firance.

Tatuś nie mieszka z nami, od kiedy skończyłam pięć lat. Wtedy to mamusia - niestety, w mojej obecności - kazała mu spakować walizkę. Mieszkaliśmy wówczas w bloku, na ostatnim piętrze. Tatuś jeszcze ze trzy godziny stał na klatce, oparty o poręcz, w którą skrobał rytmicznie palcami. W końcu jednak odszedł, przekonawszy się, że skrobanie w poręcz nic nie da. Spotykam się z nim w weekendy. Moim zdaniem to całkiem sensowny gość, no ale trudno oceniać układy z czasów, gdy miałam pięć lat.

Coś tam bardzo musiało nie grać.

Z mamutką przeniosłyśmy się z bloku na naszą małą uliczkę o wdzięcznej nazwie Urokliwa (odchodząca od Cza-rownej). Wcześniej mieszkali tu moi dziadkowie i dlatego od najmłodszych lat mogłam bawić się z Izką, która mieszka tu od zawsze. Tatuś Izki też musiał spakować walizkę. Stało się to mianowicie, kiedy mama mojej psiapsiuły - niezwykle prawa i dobra kobieta - odkryła jego drugie życie, czyli drugą, nieoficjalną rodzinę na drugim końcu miasta.

Czy tak ma wyglądać dorosłe życie? Może lepiej w nie nie wchodzić? Mama pociesza mnie, że nie wszyscy faceci są tacy - zdarzają się chlubne wyjątki.

Gdy byłyśmy jeszcze z Izką małe, razem z nami bawił się na strychach i w piwnicy Paweł, starszy od nas o cztery lata. Przeżywałyśmy go „Budyń”, ale już nie pamiętam dlaczego. Jak schodziłyśmy do naszego klubu w piwnicy pod schodami, już tam na nas czekał i mówił: „Chodźcie, dziewczyny, dziś będziemy się bawić w doktora”. To były naturalnie tylko takie rubaszne żarty. Tak naprawdę - wyznam w tajemnicy przed mamutką, chociaż ona i tak się pewnie domyśla - popalaliśmy tam pierwsze papierosy nie zaciągając się oczywiście. Budyń był w porządku. Zalecał się co prawda na zmianę, raz do mnie, raz do Izki, przezywając nas „piękna Meri” i „piękna Suzi z domu starców”. Widocznie nie mógł podjąć ostatecznej decyzji. Potem razem z rodzicami wyjechał do Szwecji i tyle go widziano. Od tej pory

na Urokliwej mieszkają już tylko dziewczyny oprócz Izki jeszcze Mariolka i Попка. Stanowimy dość zgraną paczkę i do dziś chętnie urządzamy sobie posiadówki na którymś ze strychów, chociaż przeganiają nas stamtąd sąsiedzi, bo jak się rozgadamy, to trochę hałasujemy.

W szkole, jak już pisałam, przyjaźnię się z Monia. W pierwszej klasie liceum zorganizowano nam wycieczkę integracyjną i wtedy podeszłam do Moni, widząc, że stoi sama. Po krótkim czasie coś mnie naszło na zwierzanie się i opowiedziałam jej o pewnym niezwykle przystojnym chłopaku, z którym kiedyś chodziłam, ale się rozstaliśmy, tylko że jakoś nie mogłam o nim zapomnieć. Jednym słowem, miałam złamane serce i potrzeba mi było pocieszyciela. Ta moja szczerłość rozbroiła Monie i od tamtej pory przyjaźnimy się na śmierć i życie, zwierzając się sobie ze wszystkiego. Często nocujemy u siebie i jest to prawdziwe święto - wtedy możemy gadać do białego rana. Bardzo interesuje nas przyszłość” kim będziemy, jak się ułożą nasze losy, a przede wszystkim kiedy wreszcie spotkamy na naszej drodze tego jedyne wymarzonego. Póki co mamy siebie nawzajem i to jest piękne. Czy ta nasza przyjaźń przetrwa, kiedy już nie będzie szkoły? Zobaczymy.. Zrobiło się późno, a jutro trzeba wstać do szkoły z samego rana Koniec laby Idę spać, jeszcze tylko ogłuszę młotkiem Boniego, jeśli zaraz nie przestanie szczekać jak opętany.

2 września

Wracam ze szkoły i natychmiast siadam do pisania parni mika Nie wiedziałam, że to takie wciągające. Dobrze mzelewaćmyśli na papier, tyle rzeczy się przypomina... Belfry już straszą maturą, ale z zakuwaniem to ja sobie)eszcze trochę poczekam, bez przesadyzmu! Aha, Boni czekał wczorajszej nocy nie bezprzyczyny Okazało się, że Fikus dał drapaka i znalazł się na naszej klatce. Nie upilnuje się tego towarzystwa, jak Boga kocham!

Z Izką uwielbiamy długie spacery po pobliskim parku. Zabieramy ze sobą Boniego, żeby się wybiegał, i chodzimy, chodzimy gadamy gadamy.. Kiedyś z krzaków wyszedł nam naprzeciw dziwny facet w długim płaszczu. Nie musiał go nawet rozchyłać, a ja już wiałam w popłochu. Po prostu boję się zbrojeńców, ale Izka stała, śmiała się i krzyczała za mną: Tośka nie uciekaj, jemu właśnie o to chodzi, żebyś dostała ietra!” To mnie jednak nie przekonało. Pobiłam chyba wtedy rekord świata w sprincie, a z moją przyjaciółką spotkałam się dopiero przy wyjściu z parku. Czasem myślę, że Izka - niezwyklej urody dziewczyna, o ciemnych oczach i włosach, śniadej cerze - jest za odważna. Trochę się o nią boję, bo kręci się koło niej mnóstwo facetów starszych od niej, którzy wiadomo, czego chcą, a ona, jakby tego było mało, zawiera dziwne znajomości przez internet. Próbuję ją ostrzegać, kochamy się przecież jak siostry i bardzo nie chciałabym, żeby stała się jej krzywda. Od pewnego czasu Izka chodzi często na dyskoteki w jakieś nowe, nieznanne mi miejsca. Zaciąga ją tam nowo poznany facet, moim



zdaniem podejrzany gość, ale ona ma do takich ciągoty, chociaż to bardzo mądra dziewczyna. Nie wiem, co z tego wyniknie, oby nie jakaś afera. Jedna moja kumpelka z klasy poznała raz przez internet gościa - przedstawił się jako młody nieśmiały, przystojny Umówili się na randkę u niego w mieszkaniu. Ona idzie, a drzwi otwiera jej taki w wieku jej ojca. Na szczęście nie wciągnął jej do środka, zdążyła zwać. Ja przez internet nie zawieram znajomości, może dlatego mam ich tak mało, cóż... Prawdę mówiąc, jest taki jeden chłopak, którego bardzo chciałabym poznać bliżej, ale chyba nigdy nie będę miała tyle odwagi. Bardzo mi się podoba. Wiem, że ma na imię Artur, ale w szkole mówią na niego Arti. Chodzi z Izką do klasy i ona oczywiście pomaga mi w zorganizowaniu niby przypadkowego spotkania. Ona wprawdzie mówi, że nie wie, co ja widzę w Arturze, ale to po prostu rzecz gustu: ja też nie wiem, co ona widzi w tym swoim nowym żigolo. A Arti... Kiedy go widzę na korytarzu, chwyta mnie paraliż i zachowuję się jak stuknięta wariatka. Nie umiem na niego normalnie patrzeć, straszliwie się peszę... To jakiś koszmar, ale słodki koszmar, bo zakochałam się platonicznie i nie mogę przestać marzyć o tym chłopaku, a te marzenia są bardzo błogie. Dobrze jest o tym napisać, choć oczywiście ze wszystkiego zwierzam się też Moni i Izce i one podtrzymują mnie na duchu. Arti wydaje się bardzo tajemniczy, z nikim nie rozmawia zbyt długo, często siedzi gdzieś w kącie z książką. Często też nie przychodzi do szkoły - Izka nie wie, dlaczego tak się dzieje, mówi, że on ma jakieś starsze od

siebie towarzystwo spoza szkoły. Jak się od tego uwolnić, jak skupić się na nauce? Łacinnica już zapowiedziała pierwszą kartkówkę. A ja mogę myśleć tylko o nim...

4 września

Wczoraj był apel. W części artystycznej wystąpił Arti. Okazuje się, że on gra na pianinie, i to jak! Grał tak precyzyjnie, że do reszty oszalałam na jego punkcie. Monia, Izka, mamutka, ratunku!!! Mamutka nawet zauważyła, że ze mną chyba coś nie tak, i pyta: „Czy ty nie jesteś chora? Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę”. Tak, mamutko, mam gorączkę. To się nazywa gorączka miłosna albo miłosny szal.

Widzisz, Arti, doprowadzasz mnie do szału! O, ja nieszczęśliwa! Dlaczego zakochałam się właśnie teraz, w maturalnej klasie, kiedy ważą się moje przyszłe losy - studia albo łopata! Arti, dla Ciebie mogłabym nawet rowy kopać... Więcej już dzisiaj nie dam rady napisać. Umieram...

9 września

Jest, jest, jest okazja! Dzisiaj idę do Izki na urodziny i tam będzie Arti. Boże, co mnie napadło? Trzymajcie kciuki, żebym się czymś nie zbłąźniła... A Izce kupiłam taki ekstra-pierścień, że chyba padnie z zachwyty.

10 września

No i zbłąźniłam się... Mama Izki robiła kiedyś winko z porzeczek i jedna butelka się ostała. Ma tyle lat co Izka. Trunek był trzymany specjalnie na te wczorajsze urodziny

Każdy dostał po symbolicznej lampce, żeby wznieść toast. Ja przez cały dzień z nerwów nic nie jadłam, więc jak tę lampkę wrzuciłam na pusty żołądek, to mi do głowy uderzyła i zaczęłam mieć lekkie problemy z równowagą.

Mama mojej przyjaciółki poprosiła mnie, żebym zaniosiła do pokoju talerz pełen kanapek z keczupem, a ja, gdy wszyscy na mnie spojrzeli, nie wyłączając Artiego, fiknęłam kozła niczym Fidel Castro schodzący z mównicy po dwugodzinnym przemówieniu (jak o tym skwapliwie donosiły gazety). Wszystkie kanapki przyjął na klatkę piersiową, by od tej pory do końca imprezy unosiła się wokół mnie romantyczna woń... keczupu. Arti tańczył z Mariolką, która nic nie wie o moich sercowych rozterkach, więc sobie z nim beztrąsko flirtowała. A ja zaszyłam się w kącie, gdzie próbował mnie pocieszać inny kolega z supermatematyczno-fizycznej klasy Izki, niejaki Piotruś, który bezskutecznie kręci się koło mnie mniej więcej od roku. No cóż, serce nie sługa...

11 września

Straszliwa data. Gdy myślę o wydarzeniach w Nowym Jorku i innych zamachach, w których giną niewinni ludzie, także dzieci, przeraża mnie wchodzenie w dorosłość.

Kiedyś pewnie będę miała własną rodzinę i będę o nią drżeć, bo po świecie kręcą się fanatyczni wariaci, a my jesteśmy wobec nich bezbronni. Polonistka chce, żebyśmy wydawali szkolną gazetę. Chyba

będziemy ją redagować od października w ramach koła polonistycznego. Powinnam napisać jakiś zaangażowany wiersz, mówiący o tych potwornych sprawach, na przykład o tym, że historia wojen i katastrof nigdy się nie kończy, i zamieścić go w naszej gazecie, ale nie mam do tego natchnienia. Moje myśli wciąż obsesyjnie krążą wokół jednej osoby.. Napisałam dla Ciebie, Arti, taki wierszyk:

Gdybyś przyszedł kiedyś do mnie tak naprawdę, popatrzyłabym ci w oczy a potem zagubiła się w nich i utonęła.

Gdybyś przyszedł kiedyś tak naprawdę, to opowiedziałabym ci o Małym Księciu i Róży a potem oznajmiła, że była to jedyna prawdziwa opowieść o miłości.

Tak, chyba nie wierzę, żeby taka miłość, o jakiej marzę, była możliwa. Chyba nie chcę Cię bliżej poznać, żeby się przypadkiem nie rozczarować. Zostań Artim grającym na urodzinach Izki na pianinie (bo ona ma w dużym pokoju piękne, stare, ponemieckie pianino!) tak, że wszyscy siedzą zasłuchani jak na prawdziwym koncercie, a mnie łzy ciekną po twarzy i nawet nie próbuję tego ukryć.

15 września

Na Czarownej mieszka Marcin. Nie chodzi do klasy ani ze mną, ani z Izką, tylko do tej z rozszerzonym angielskim. Kiedyś zagadnął mnie, gdy byłam z Bonim na spacerze na boisku, i tak się zaczęła nasza znajomość, a może raczej przyjaźń.

Marcin często przychodzi do mnie pogadać albo ja do niego, albo

jedziemy razem na Starówkę, posiedzieć przy piwku (tylko jednym, nie gniewaj się, mamutko, i nie patrz na

Marcina krzywym okiem!). Z Marcinem mamy pewną tajemnicę, o której nie powinna wiedzieć zwłaszcza mamut-ka. Od czasu do czasu urywamy się wspólnie na tak zwane wagsy - uczymy się w miarę dobrze i te wagary nie szkodzą raczej naszej opinii, nie są częste i jakoś je tuszujemy. Dziś też się urwaliśmy. Z Marcinem mogę gadać o wszystkim i o niczym. Zapominam przy nim o Artim. To mi dobrze robi.

Poszliśmy poszwendać się po parku. Karmiliśmy bułką wiewiórkę, kaczki pływające po stawie, potem łaziliśmy po łące i wpadliśmy w błoto po kolana. Na szczęście udało nam się wyczyścić ciuchy i buty u mnie, zanim mamutka wróciła z pracy. Chyba nic nie zauważyła. Dziękuję Ci, Marcinku, było super!

19 września

Uczymy się z Monia do sprawdzianu. Coś nam to uczenie nie bardzo dzisiaj idzie. Co mnie właściwie obchodzi zawilności reakcji chemicznych? Jakoś, mimo woli, schodzi na tematy sercowe, Monia doradza mi, żebym dała sobie spokój z Artim, bo takie zadręczanie się nie ma sensu. W końcu jedziemy na kawę na Stare Miasto. Siedzimy pod parasolem, a tu idzie przystojniak, który mnie kiedyś rzucił. Mówię więc Moni, że to ten gość ze zwierzeń. Monia na to:

- No to podejdź do niego, przywitaj się, zagadaj.
- Coś ty, chyba żartujesz - mówię.

Ale Monia nie daje za wygraną. W końcu prawie na siłę wypycha mnie do niego na ulicę, tak że nieomal wpadam mu w ramiona.

- Cześć, Adaś, kopę lat! - Czuję, jak robię się czerwona na twarzy

Piękny Adaś przysiada się do nas. Rozmowa klei się średnio na jeża. Na koniec wymieniamy się telefonami, Adaś obiecuje, że się odezwie, a ja zastanawiam się, jakim cudem mogłam czuć się kiedyś przez niego taka nieszczęśliwa. A może ja lubię czuć się nieszczęśliwa?

22 września

Chyba wykrakałam Izce kłopoty Nowy chłopak zaciągnął ją do jakiejś podejrzonej knajpy. Ktoś ją tam przypadkowo wylukał, a podobno bywanie tam stawia reputację dziewczyny pod wielkim znakiem zapytania. Poroznosiły się po okolicy jakieś ploty i teraz moja przyjaciółka siedzi i się martwi, a ja ją podtrzymuję na duchu. Mam nadzieję, że zerwie swoje nowe kontakty i wróci do tych starych, sprawdzonych.

23 września

Z chemii jedynka. Chyba muszę przysiąść i skupić się na nauce. Spróbuję... Tylko jeszcze zanotuję wierszyk, który tymczasem przyszedł mi do głowy:

MOJE PISMO ŚWIĘTE

Moje Pismo Święte składa się z sześciu liter, czytam je tysiące razy dziennie.

Moje Pismo Święte jest stare, wyświechtane i podarte, jest zużyte i

przeterminowane, dlatego gdy je czytam, przenoszę się winną epokę.

Moje Pismo Święte, które czytam ciągle od nowa, gdy to robię, to w kościele moich czterech ścian płonie ogień, płynie woda, wieje wiatr.

Czy pisałam już, że widziałam niedawno Artiego na dworcu? Nie, nie pisałam. Przeszedł dość blisko mnie, ale nie zauważył albo nie chciał zauważyć. Wyglądał jakoś dziwnie, jakby był nieobecny. Potem spostrzegłam kątem oka, jak podchodzi do jakiegoś faceta i rozmawiają ze sobą. Dziwne? Może trochę.

24 września

Z gazetą szkolną już postanowione, będzie nosiła tytuł „Głos Ucznia”. Mam dawać do każdego numeru jakieś wiersze lub opowiadania, inni felietony. Czy Arti będzie je czytał? Chyba spalę się ze wstydu. Może wymyślić sobie jakiś pseudonim? Na przykład: Cecylia Bazylika. Czemu nie, brzmi całkiem odłotowo...

A tak na serio, to nie ma się czego wstydzić: poezja jest czymś szalenie istotnym. Warto się na niej skupiać. Uwielbiam wiersze, na przykład Miłosza z jego moralnym przesłaniem, niezłomnego Herberta, podsłuchującego codzienne życie, ale też metafizycznego Białoszewskiego oraz mało znanego, mrocznego, cierpiącego Wata. Te wiersze, które sama piszę, są nieudolne - zbyt sentymentalne i egzaltowane. Ale moja potrzeba pisania jest tak silna, że nie mogę się powstrzymać, po prostu coś mnie nachodzi i zmusza do tego. Przebaczcie mi moją grafomanię, mistrzowie! Skrobię coś o „kościelnie

moich czterech ścian”, a tu czytam u Wata:

W czterech ścianach mego bólu ani drzwi.

I znów zamiast mowy reakcji chemicznych pochłania mnie bez reszty mowa poetycka. Dzięki Ci, moja kochana Pani od polskiego, która zachęcasz mnie do pisania i chwalisz dajesz cenne wskazówki i mówisz, co warto czytać.

25 września

Monia chce, żebyśmy poszły na koncert Kultu. Nie lubię tłumów, prawdę mówiąc, nawet boję się ich, więc chyba się od tego jakoś wykręcę. Nie wiem, jak trzeba się zachować na takiej imprezie, tak jak nie umiem być swobodna na dyskotecie. Sztywnieję, kiedy pomyślę o wspólnym tańczeniu (mam wrażenie, że straszna ze mnie niezgraba) albo o gadce-szmat-ce, w której należy zabłysnąć jakimś zniewalająco śmiesznym tekstem. Czasem miałabym ochotę wypić sobie dla kurazu duuuuże piwko, może nawet coś mocniejszego. Szanuję jednak zdanie mamutki na ten temat, staram się słuchać jej rad i nie robić przykrości, a wiem, że byłoby jej przykro, gdybym wróciła pijana, bo nie pochwała picia na imprezach, no, chyba że w minimalnej dawce. Zresztą sama bałabym się o swoje zachowanie, nie mam pojęcia, co by się ze mną działo, gdybym wypić więcej. Nie, to nie w moim stylu. W towarzystwie staję się raczej tłem, to inni brylują. Tak już jest, trudno. Zwracam czyjąś uwagę tylko wtedy kiedy w popisie zręczności uda mi się wysypać na siebie talerz kanapek. Nie ubieram się też wyzywająco



czy w zgodzie z najnowszą modą, nie stać nas na markowe ciuchy Z Monia ostatnio same szyłyśmy spódnice, próbujemy wprowadzić w szkole naszą własną, trochę lumpeksowo-szmaciarską modę.

Może tym razem posiedzę wreszcie w samotności i pouczę się chemii... późnym wieczorem

Nic z tego! Przyszedł po mnie Marcin i wyciągnął mnie do siebie do domu, żebyśmy posłuchali razem najnowszej muzy bo udało mu się coś przegrywać od znajomych.

Fajowa ta muza. Jak już się nasłuchaliśmy i nagadaliśmy Marcin zaproponował nagle coś, co wprawilo mnie w osłupienie. Zapytał, czy wywoływałam kiedyś duchy. Mówię, że nie, a on na to, żebyśmy razem spróbowali. Zrobiliśmy to. Myślałam, że on cały czas się wygłupia i popycha talerzyk, ale w którymś momencie sama trzymałam na nim rękę i on rzeczywiście sam poruszał się po planszy, wskazując kolejne litery. Nie wiem, co o tym myśleć, czuję ogromny niepokój. Chyba nie chcę już więcej próbować. Powiedziały mi, że będę żyć dziewięćdziesiąt dwa lata. Taki wiek to kompletna abstrakcja! Marcin lubi eksperymentować, lubi różnego rodzaju ryzyko. W szkole też ryzykuje. Prowokuje swoim zachowaniem i wyglądem nauczycieli, którzy przez to nie darzą go szczególną sympatią, chociaż jest bardzo inteligentny Powiedział, że jak uda mu się zdać maturę, to przy odbiorze świadectwa wystąpi we włosach pofarbowanych na zielono, żeby zaburzyć powagę sytuacji.

Znając go, wierzę, że tak zrobi.

Marcinku, zostawmy duchy w spokoju! Niech nie straszą nas po nocach! Ja już się boję, chowam więc głowę pod kołdrę i cichutko zasypiam, już ciekawa następnego dnia. Dobranoc...

26 września

Kolejna lufa z chemii. Chemica chyba się na mnie uwzięła. Dobrze, że nie zdaję chemii na maturze. A tu kochana Pani zachęca do wzięcia udziału w olimpiadzie polonistycznej i, jak znam życie, weźmiemy w niej z Monia udział. Mowa ojczysta to nasz ulubiony przedmiot. Lubię jeszcze łacinę i dlatego wszyscy w klasie, łącznie z Moma<sup>7</sup> uważają, że coś ze mną jest nie tak, bo dla nich ten przedmiot to największy bazył, a łacinnica nikomu nie popuszcza. Mnie to łatwo przychodzi, widzę w tym jakąś logikę. No i fajnie jest recytować Owidiusza w oryginale. Zboczenie? Może zgłoszą mnie do Teleexpressu jako „pozytywnie zakreconą”.

30 września

Czy ja jestem jasnowidzącą wiedźmą, czy ten Izki typ po prostu od początku zdradzał wszystko swoim wyglądem? Nie myślałam tylko, że afera wydarzy się tak szybko. Otóż ów żigolo wywiózł moją przyjaciółkę swój 4- bryką za miasto, niby że jadą na disco, a tam czekał już jego kumpel, licząc na niezłą rozrywkę. To znaczy ona miała ich obydwu rozerwać, a oni ją. Wolę sobie nawet nie wyobrazić tego horroru. Na szczęście ktoś przypadkowo zatrzymał się, bo chciał zapytać o drogę, i to ją uratowało, odwróciło na moment ich uwagę, a ona,

ponieważ trenuje biegi, czmychnęła im w las. Doprawdy, cudem tylko udało jej się uciec. Tym razem w ramach treningu miała istny maraton z ekstraaffiikcjami: egipskie ciemności, chaszczce, szczekające psy, a na koniec - w nagrodę za sportową postawę - czułe ramię policjanta na mecie, czyli na pobliskim posterunku, i darmowy transport pod sam dom. Teraz muszę być u niej codziennie i trzymać za rękę, bo trzęsie się ciągle ze strachu i boi się nos wyściubić z pokoju. Fikus leży w kącie zwinięty w kłębek z nastroszoną sierścią, zupełnie jak nie on. Matce swojej coś nakłamała, a ja robię teraz za jej psychoterapeutkę. Gość zastrasza Izkę telefonami i grozi, że jeszcze ją dorwie!

Co zrobić, żeby się odczepił, zatrudnić ochroniarzy? A swoją drogą, Izka ma nauczkę za wszystkie czasy!

1 października

Na dworze tak się zrobiło szaro i ponuro, że nawet Bonie-go trzeba siłą wyciągać za próg, więc recytuję mu wiersz Staffa, który przerabialiśmy na polskim:

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny

I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny...

Ogarnia mnie spleen. Zdarza mi się czasem, że płaczę bez powodu. Tak jest i tym razem. Siedzę, a łzy same ciekną mi po policzkach. Smucę się, bo poczułam się nagle samotna, niekochana, a przecież gdzieś tam jest cudowny gość, który w ogóle się mną nie interesuje i pewnie nigdy nie zdołam tej sytuacji odmienić. Po prostu muszę się wypłakać i już!

Tęsknię za dzieciństwem, kiedy biegałyśmy z Izką po polach, siedziałyśmy pół dnia na stogu siana albo na drzewie, miałyśmy swoje sekrety Wszystko było takie proste. Czuję z przerażeniem, jak to zaczyna nieubłaganie przemijać, jak robi się coraz zimniej, jesiennie wokół mnie, coraz mniej bezpiecznie.

Śnił mi się Arti. To był bardzo męczący sen. Przez całą noc chodziłam w tym śnie po mieście i co chwila widziałam gdzieś Artura, któremu miałam przekazać jakąś bardzo ważną wiadomość. Ale nie mogłam go w żaden sposób dogonić. Zawsze w ostatniej chwili znikał za zakrętem. Nie potrafiłam ściągnąć na siebie jego wzroku, wcale mnie nie zauważał, mimo że machałam w jego stronę i wołałam go. Obudziłam się spocona, z poczuciem bezsilności i smutku.

2 października

Wpadłam na pomysł, jak pomóc Izce. Zadzwończyłyśmy dzisiaj do jej tatuśka. Niech się trochę zaangażuje w sprawę córki. Jak usłyszał o całej sprawie, zaraz obiecał pomoc, to znaczy ma dorwać typa i sobie z nim odpowiednio pogadać. Miejmy nadzieję, że to wystarczy, by się odczepił. Tymczasem staram się spędzać z Izką każdą wolną chwilę. Jakby coś się miało dziać, też mogę być bodyguardem, choć, niestety, nie trenowałam karate z bratem (oj, przydałby się starszy braciszek, a nie tylko same bezbronne baby!).

## Rozdział II

### Wycieczka i inne, niekoniecznie wesołe, zdarzenia

3 października

Niedługo jedziemy na wycieczkę klasową do Krakowa. O mojej klasie to właściwie nic jeszcze do tej pory nie napisałam. My jesteśmy „humana”, a więc te spady, co się nigdzie nie podostawały. Mówi się - taka jest powszechna opinia - że humanistyczna klasa ma najniższy poziom nauczania. Trochę się czuję niefajnie, jak słucham takich rzeczy bo zdawałam na ten profil z przekonania, interesowały mnie przedmioty humanistyczne, które moim zdaniem są równie ważne, jak inne. Chciałabym kiedyś być taką polonistką jak moja kochana Pani.

W klasie nie ma zbyt wielu osobników płci męskiej, a tak w ogóle to dzieli się ona na tak zwaną elitę i resztę. Elita to chłopaki i kilka dziewczyn. Te kilka osób wspólnie imprezuje, a reszta nie jest zapraszana. Na dziewczyny spoza elity mówi się u nas

„Praworządne” - tak się przyjęło. Są takie porządne, grzecznie zakuwają do sprawdzianów, jęczą, żeby im podwyższyć ocenę i tak dalej. Ja się ocieram o elitę, ale ponieważ z pewnych przedmiotów mam bardzo dobre wyniki (na przykład z łaciny!), przypięto mi etykietkę kujona. To nic, że z chemii same jedynki, a z biologii ledwo trójce. (Jak mamutka wróciła ostatnio z wywiadówki, chciała mnie obić kijem od miotły i dopiero Boni powstrzymał ją swoim ostrym warczeniem,

sprawiając, że oprzytomniała!). Chłopaki są na ogół w porządku, do końca nie zgadzają się z tym, że jest ze mnie kujon, i to dzięki nim mogę się pojawić od czasu do czasu na jakiejś imprezce. Zresztą, aż tak mi na tym nie zależy Mam swojejwiebratnie dusze, ostatecznie mogę stać z boku. Dziewczyny jeśli mam być szczerą, bywają wredne. Trochę ich tu może za dużo jak na jedną klasę. Drażni je to, że kumpluję się tylko z Monia, a całą resztę trzymam na dystans. No i zazdroszczą, że są nauczyciele, którzy mnie wyróżniają. Na szczęście nie przejmuję się za bardzo takimi sprawami. Ciekawe, co się na tej wycieczce będzie działo...

5 października

Tymczasem z Monia mamy już za sobą eliminacje do olimpiady Pisałam oczywiście o współczesnej poezji: o Miłoszu, Herbercie, Waciu - idealny temat dla mnie! Zobaczymy, co z tego wyniknie. A do gazety naskrobałam taki wierszyk:

STRYCH

Oto czego mi brakuje (bo, nawiasem mówiąc, jest za dużo różnych sptaw, zbyt wiele plastiku, folii, różowych, pluszowych zabawek, seryjnego szczęścia): brakuje strychu, osypujących się ścian, desek i starych kanap, zakurzonych butelek po winie, pajęczyn, na których zatrzymał się czas, pochowanych w skrzyniach hstówi dat, zabrudzonych szyb, małych okienek na poddaszu, zaśmieconych kątów, w których drzemie przeszłość, która ciągle trwa.

Pewnie inni śmieją się z tych moich wierszy ale ja też nie traktuję ich śmiertelnie poważnie. A więc wszystko gra!

6 października

U Izki spokój, siedzi w domu i zakuwa. Na razie odechciało się jej narzeczonych i dyskotek. Ostatnio siedziałyśmy we trzy z jej mamą, panią Wiesią, którą bardzo lubię, i wspominałyśmy, jak to kiedyś, kiedy byłyśmy z Izką małe, pani Wiesia czytała nam na głos trylogię Sienkiewicza, a my słuchałyśmy z rozdziawionymi buziami. Pani Wiesia poczęstowała nas teraz kawą, odrobiną nalewki i było nam prawie tak błogo jak za dawnych lat. Fikus, ponieważ nie zna żadnych manier, rozciągnął się dokładnie pośrodku stołu. Zaczęłyśmy wspominać różne śmieszne zdarzenia z przeszłości, na przykład kiedyś z Izką szukałyśmy na podwórku skarbów. Wykopałyśmy wtedy łyżką głęboką dziurę w ziemi i znalazłyśmy jakąś starą broszkę z czerwonymi kamieniami. Tak nas to rozochociło, że następnego dnia zabrałyśmy się za rozbieranie murku od wejścia do piwnicy w poszukiwaniu mapy wskazującej drogę do prawdziwego skarbu. Powstrzymał nas sąsiad i przegonił na cztery wiatry Przypominałyśmy sobie miejsca starych kryjówek, na przykład w pniu drzewa, w które kiedyś uderzył piorun, albo w tak zwanym bunkrze, czyli w małym domku bez okien i drzwi, stojącym na polach.

- Wiesz co, Jośka - mówi naraz Izka - idziemy jutro z Bonina na spacer na pola.

- Dobry pomysł - zgadzam się, a pani Wiesia uśmiecha się, bo

widzi, że ciągle jeszcze drzemią w nas te małe, niesforne dziewczynki, które kiedyś wdrapywały się na drzewa i buszowały po strychach.

7 października

Mamutka potrafi mnie zadziwić. Dziś po pracy wbiła się w taki różowy kostiumik sprzed lat, spod którego teraz tu i ówdzie wylewa się trochę ciała, stanęła przede mną w przedpokoju, wygląda na siłę wszystkie te fałdki i nierówności i pyta, czy jej w tym do twarzy. Trochę mnie przytkoło, ale się po chwili „otrząsałam” i ochoczo przytakuję:

- Bardzo twarzowo, tylko może jeszcze jakaś apaszeczka, bo ja wiem...

- Tak, apaszeczka, apaszeczka! - wykrzykuje mamutka jakoś sztucznie podekscytowana. - Pożyczysz mi którąś ze swoich?

- Jasne... A ty dokąd się wybierasz, kochana mamutko, żeś taka przejęta?

Mamutka myli się w zeznaniach, że niby na zebranie wspólnoty mieszkaniowej - a przecież ostatnie było tydzień temu - rzekomo jakieś nadzwyczajne zwołali. Coś już podejrzewam... Jak będziemy znowu gościu nas jakiegoś wujka, też fajnie. Rozumiem, że mama się z tym na razie kryje - sama pewnie nie wie, jak się wszystko potoczy. Zobaczymy. Oby tylko nie nosił swetra w muchomorki jak ten ostatni, którego mamutka wytrzasnęła przez biuro matrymonialne. A tatuś jakoś się ostatnimi czasy nie odzywa, chyba też bardzo zajęty..

10 października



Jest późny wieczór. Muszę opisać, co się dzisiaj stało... Coś okropnego. Nie mogę w to uwierzyć, to straszne.

Spacer z Izką... Spacer z Izką na pola przesunął się o parę dni i dopiero dziś doszedł do skutku. Dlaczego akurat dziś? Tak właśnie miało być - dziś, żeby mogło się wydarzyć to, co się wydarzyło. W takich momentach wierzę, że nic nie dzieje się ot tak, wszystko jest celowe, jak to opisywał Diderot w Kubusiu Fataliście. No właśnie, fatalizm to odpowiednie słowo. Dwie osoby muszą danego dnia jakimś zbiegiem okoliczności znaleźć się w tym samym miejscu, aby straszliwa prawda mogła wyjść na jaw. Nie wiem, czy zdołam opisać to, co się zdarzyło. Spróbuję, choć takiego szoku w życiu jeszcze nie przeżyłam.

A więc było tak: spacerowałyśmy z Izką po naszych polach bardzo długo, tak nam się dobrze gadało i wspominało, że zupełnie zatraciliśmy poczucie czasu. W którymś momencie spostrzegłam, że zniknął Boni. Nie było go nigdzie w zasięgu wzroku, więc zaczęłyśmy go nawoływać. Bez skutku. Przepadł jak kamień w wodę.

Szwendałyśmy się po okolicy aż do zmroku, w końcu załamane wracamy do domu. W pewnym momencie dwie ulice oddalone od naszej mignął mi przez chwilę Boni i zniknął w jakimś podwórku. Biegnę w tamtą stronę, widzę mojego pieska, jak nagle wystrzela zza rogu i wpada za jakąś suką do obcej klatki schodowej. Ja za nim, szczęśliwa, że go odnalazłam i zaraz go schwytam, bo przecież mamutka by się zapłakała, gdybym wróciła bez niego. Na klatce udaje mi się złapać uciekiniera za

obrozę, bo się trochę zawahał, dokąd biec dalej. Nachyłam się nad nim, tarmoszę i całuję w ten głupi pysk, a kiedy się prostuję, widzę, że naprzeciw mnie, w załomie pod schodami stoi... Arti. W ręce trzyma strzykawkę, wzrok ma zupełnie nieobecny, odpływa. Stoję wbita w podłogę jak słup soli, nie mogę się ruszyć z miejsca ani wydobyć z siebie żadnego słowa. Ale on jakby w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. W końcu odwracam się i wychodzę, a raczej wybiegam z klatki w podskokach, ciągnięta przez Boniego, który - uwięziony na smyczy - wyrywa się radośnie do Izki, chcąc jej na swój psi sposób opowiedzieć o swych niezwykłych przygodach. Izka mówi coś do psa niby to groźnym, ale w gruncie rzeczy pieszczotliwym tonem. Potem spostrzega, że ze mną coś jest nie tak. (Byłam, jak się później dowiedziałam, blada jak papier). Mówię Izce, co przed chwilą widziałam. Wracamy obie na klatkę a Arti dalej nieruchomo tam stoi. Izka zagaduje do niego, chwyta go za ramię. Po dłuższej chwili Artur wreszcie jakby się ocknął, coś tam do nas niewyraźnie bąka, oczy mu uciekają. Pierwszy raz stykam się z tym twarzą w twarz - narkotyk to zawsze była dla mnie abstrakcja, słyszało się o tym, ale w talach sprawach jestem po stronie Praworzędnych: trzymać się od tego z daleka.

Przypomina mi się teraz dworzec. Jaka byłam ślepa. Dopiero teraz wszystko zrozumiałam. Czy będę potrafiła dzisiaj zasnąć? Artiemu trzeba jakoś pomóc. Całą noc będę o nim myślała. To delikatna sprawa. Nie, lepiej zrobić poradę z Izką i drugą poradę z Monia. Tymczasem ja i

Izka postanawiamy, że odprowadzimy Artura do domu. Izka wie mniej więcej, gdzie on mieszka. To wypasiona willa. Wokół domu mają ogród wyglądający prawie jak park, jest tam nawet fontanna. Gdy docieramy na miejsce, okazuje się, że nikogo nie ma. Rodzice Artura dużo pracują, jeżdżą wciąż na jakieś służbowe spotkania. W kieszeni Artiego znajdujemy klucz, wchodzimy i dosłownie zaciągamy go na kanapę, na której natychmiast zasypia. Zostawiamy go tak, jest już bardzo późno, przybite wracamy do domu. Od mamutki dostaję straszną burę. No tak, trochę się to wszystko przeciągnęło. Nie mam siły, żeby jej opowiadać, co nas spotkało. A teraz rzeczywiście nie mogę spać. Długo jeszcze się z tego nie otrząsnę. Dlaczego taki przystojny chłopak, który tak gra na pianinie i w ogóle... Pewnie zaczęło się niewinnie, zawsze tak się zaczyna. Czy chce, żeby ktoś go z tego wyciągnął, czy też odrzuci naszą pomoc? Przypominam sobie, jak kiedyś mówiono w radiu o książce jednego faceta, który ćpał. Facet pisze w niej podobno, że świat hery to najwspanialszy świat pod słońcem, i chociaż rodzina i przyjaciele wyciągnęli go z tego bagna, chociaż już nie bierze, to nadal tak twierdzi: hera to raj. Jeśli Arti daje sobie w żyłę, to znaczy że zaszedł już daleko. Czy jest jeszcze stamtąd możliwość powrotu? Wiem, dla niego nie ma w tej chwili wspanialszego świata. A ja, głupia, zastanawiam się, czy on czyta moje gazetkowe wypociny... Czy taka dziewczyna jak ja byłaby w stanie go uratować? Nie, to nie jest chyba w mojej mocy.

11 października

Dziś po lekcjach było koło polonistyczne. Zaproponowałam, by na łamach „Głosu

Ucznia” poruszyć temat narkomanii, żeby w szkole rozgorzała wielka dyskusja - niech każdy powie anonimowo, co sądzi o tym problemie, jak temu zaradzić, czy sam kiedyś coś brał. Niech zabiorą też głos nauczyciele. Może coś z tego dla mnie wyniknie, może nasunie mi się jakiś pomysł... Monie wtajemniczyłam na przerwie w całą sytuację, ale ona od początku jakoś nieprzychylnie podchodziła do Artiego i teraz tylko wzruszyła ramionami, mówiąc, że to tylko potwierdza jej niechęć do niego, bo to słaby facet i nie warto sobie nim zawracać głowy Trochę mnie zszokowała tak ostrymi słowami, nie spodziewałam się tego po niej.

12 października

Arti nie pojawia się w szkole, a ja wpadłam na pomysł, że trzeba go zaciągnąć do księdza. Nasz ksiądz jest w porzo, poza tym księża wiedzą, gdzie człowieka skierować z takim problemem (oczywiście, jeśli ten ktoś sam zechce). Nie wiem, czy Arti będzie chciał, ale musimy próbować - Izka na szczęście jest chętna do pomocy.

Przy najbliższej okazji ma go „zaatakować” wprost. Artur na pewno nie zareaguje entuzjastycznie, ale chodzi nam o to, żeby wiedział o naszej gotowości do pomocy. A moje uczucie do Artiego? Mam teraz kompletny mętlik w głowie...

16 października

Boże, na jakim świecie ja żyłam! Przeprowadziliśmy jako „Głos Ucznia” ankietę na temat narkotyków. Okazało się, że połowa osób w naszej szkole coś kiedyś brała - najczęściej raz albo dwa razy na jakiejś imprezie. Gdzie ja się uchowałam? Przecież nie w klasztorze czy na Księżycu! To już bez jakichś prochów nie można się fajnie bawić? Pewnie dlatego nie jestem aż taka cool, a elita nie do końca mnie toleruje? Oni sobie zupełnie nie zdają sprawy jak łatwo można się dać się wciągnąć w to, w co wpadł Artur. Jak jest odlotowa imprezka, to musi być zaraz pełen odlot, a przecież te

„miękkie” są niegroźne. Albo chociaż trzeba mieszać relanium z alkoholem. Żeby poeksperymentować, żeby był fan, żeby było inaczej, nierzeczywiście. A ja parę dni temu widziałam taką rzeczywistość, że... dzięki bardzo...

18 października

Nad ranem do Krakowa zajechał wesoły pociąg. Chłopcy mieli po drodze taki film, że jak my, dziewczyny, już właśnie żeśmy przysypiały w dziwnych pozach, to wpadali do przedziału i krzyczeli: „Nie spać, zwiedzać!”. No to my na równe nogi - Wiele było tej nocy w pociągu radosnych rozmów, żartów, dokazywania, a także chowania się przez niektóre osoby w toalecie, żeby przyjarać szluga - mam nadzieję, że tylko to. Do mojej coca-coli chłopcy dolali chyba ukradkiem czegoś mocniejszego, bo miałam w głowie dziwny szmerek i byłam wyjątkowo rozmowna. Matematyka, która jest bardzo wierząca i praktykująca, przez

całą drogę odmawiała za nas zdrowaśki. Pewnie modliła się też za siebie, bo taki opiekun szkolnej wycieczki to nigdy nie wie, czy za chwilę nie trafi do więzienia. Serio, serio! Aż się boję myśleć, co będzie dalej. Ewkę już z pięćdziesiąt razy wylewali z naszej szkoły ale zawsze jakoś się fuksem uratowała. Zaraz po śniadaniu poszła na miasto, do pobliskiego sklepu i wróciła po godzinie w stanie mocno nietrzeźwym. Bujając się na drzwiach od szafy, w której nadaremnie usiłowała umieścić swój płaszcz na wieszaku, oznajmiła, że poznała po drodze Mariana:

„Marian ma lat ze czterdzieści pięć i jest bardzo szczodry facet, ten Marian, i nie mógł nie poczęstować wódką, którą właśnie z gwinta obalał z jakimś kolegą na ławce”. Opowieść o Marianie przerywa Ewce co i rusz głośna czkawka. Kiwa się nasza Ewcia na tych drzwiach od szafy, a tu nagle wchodzi matematyka. Postąła chwilę, popatrzyła z politowaniem, pokiwała głową, kazała nam wpakować ją do łóżka i poszła.

Takie to historie przydarzają się niektórym moim kumpelkom. No cóż, będą miały co wspominać na stare lata, a ja staram się nie gorszyć, bo - jakby nie było - też nie jestem całkiem święta. Mimo to z Monia próbujemy zachować pewien umiar. W naszych domach coś nam wpojono, coś, co mamutka nazywa elementarnymi zasadami przyzwoitości.

19 października

Wycieczka jest na razie super. Piękny ten Kraków, jest co zwiedzać. Chłopaki drażnią matematyce, która zabroniła pić piwo - kupili bezalkoholowe i sączą na jej oczach.

Zanim dotarło do niej wyjaśnienie, zdążyła wpaść w furję, grożąc im wydaleniem ze szkoły. Ewci to już się chyba tym razem nie upiecze. Szkoda, bo w sumie jest fajna, tylko że nie umie nie rozrabiać, taki już ma charakter.

20 października

Wczoraj wieczorem właśnie grzecznie szłyśmy z Monia spać, a tu nagle przybiega do nas Ewcia (że też ona nigdy nie ma dość!) i zaciąga nas prawie na siłę do pokoju chłopaków. W końcu dajemy się namówić i trafiamy do istnej czeluści. Chłopaki pozasłaniali okna kocami, pozapalali świece, żeby był nastrój, kurzą papierochy i popijają jakieś tanie wino. Siedzą nawet niektóre Praworządne! Muza leci w tle z tranzystorka, jest wesoło. Bolek jak zwykle sypie dowcipami z rękawa, wszyscy zanoszą się od śmiechu. Belfrzyce czuwają na korytarzu -nockę będą miały z głowy ale nie walczą, wiedzą, że młodzież musi się wyszumieć. Oby tylko żaden „meteor” nie wypadł przez okno! Widzę, że Bolek do Ewci robi maślane oczy, a do Moni przysiadł się Radek, o czymś tam po cichu gruchają. Oj, będę musiała z tą moją

Monia poważnie porozmawiać...

Przypominam sobie nagle o Artim i czuję, jakby mnie coś złapało za gardło. Nie słucham już dowcipów Bolka. Patrzą, jak elita coraz

weselej się bawi, ale mnie zupełnie nie jest do śmiechu. Zastanawiam się, co Artur może teraz robić. Czy znowu zaszył się na jakiejś klatce schodowej? Co z jego rodzicami, czy w ogóle się nim nie interesują? Pewnie dają mu kasę i są z siebie zadowoleni. Jaki jest ten jego „raj”, czy naprawdę warto aż tyle dla niego poświęcić? Nigdy nie odważyłabym się spróbować, to mnie tak bardzo przeraża...

- Jośka, coś ty taka zamyślona? - zagaduje mnie Sławek i przysiada się. To bardzo sympatyczny chłopak, wszyscy go lubią. Nawet z Praworzadnymi żyje w komitywie.

- Słuchaj, Sławek, jest coś, co mnie cholernie dręczy. Powiedz, czy ty miałeś do czynienia z dragami albo czymś takim?

- A co? Nie mów, że ty...

- Nie, skąd, no coś ty! Tylko że jest taki jeden u nas w budzie, on już chyba zaszedł w tym daleko, myślę, jak mu pomóc.

- Ty sama to raczej nic nie zdziałasz. Wiesz, słyszałem, że ci, którzy z tego wyszli, to znaczy starzy narkomani, którym udało się odstawić, jeżdżą po szkołach i opowiadają o swoich przejściach. Może zaprosimy ich, a przy okazji dowiesz się, jakie są możliwości pomocy. On może też posłucha, to się otrząśnie na moment i pójdzie, gdzie trzeba.

- Ty, wiesz, że to dobry pomysł... Tak zrobimy! Można ich namierzyć w Internecie?

- Pewnikiem tak. A teraz mogę prosić do tańca? Patrzą, a tu się



istne disco rozkręciło. W radiu lecą jakieś stare, raczej fajansiarskie - jak to się kiedyś mówiło - przeboje. Praworządne podrygują w kółeczku, Bolek puszcza do mnie oko, widzę, jak kręci z nich bekę, po prostu wymięka. Rzeczywiście, wygląda to dość obciachowo, widocznie pierwszy raz w życiu zakosztowały czegoś wyskokowego i wreszcie się wylajtowały No, to pora, żebym i ja się też wylajtowała! Wijemy się ze Sławkiem w rytm jakiegoś rock and rolla, a co tam!

21 października

Dzisiaj wszyscy tacy jacyś wczorajsi, niewyraźni. A bel-frzyce zorganizowały nam dzień wycieczek po mieście - ani chwili wytchnienia, ostra marszruta. Chłopaki ledwo się wlekli, mieli sińce pod oczami, rzucali tęskne spojrzenia za sklepami, gdzie można by się napić soku albo choćby mineralki. Nic z tego, belfrzyce nie chciały nam dzisiaj popuścić. Po południu zapodziała się nam gdzieś... - jakże by inaczej - Ewcia. Teraz to już naprawdę przegięła. Znalazła się dopiero pod wieczór, kiedy matematyka właśnie miała dzwonić na policję. Wszyscy jesteśmy na nią źli, popsowała nam humor swoją lekkomyślnością. Nie chcemy nawet wiedzieć, czy to znowu przez Mariana, czy może z jakiejś innej, niezwykle istotnej przyczyny Wygląda na to, że zamiast matury zacznie się niedługo sposobić do szkoły fryzjerskiej albo czegoś w tym rodzaju. A przecież to bardzo zdolna dziewczyna, powinna studiować prawo czy ekonomię. No cóż, może się jeszcze opamięta.

Rozmawiałam z Monia o Radku. Może coś z tego będzie - Monia

nie mówi „tak”, ale nie mówi też „nie”. Niechby się przynajmniej jej ułożyło. A jutro już powrót i czeka tyle ważnych spraw.

23 października

Jak ta wycieczka szybko zleciała! Dziś po lekcjach chciałam siedzieć w domu i pisać do „Głosu Ucznia” tekst o narkotykach - coś w stylu, że jak ktoś ma problem, to będą organizowane spotkania, będzie można przyjść, porozmawiać, podzielić się własnymi przemyśleniami. Tymczasem przyszły do mnie Mariolka i Ilonka. Z nimi nie jestem tak blisko jak z Iwką, którą zresztą muszę jak najszybciej odwiedzić (no i Marcina także!). Dziewczyny chodzą do technikum naprzeciwko naszej szkoły. Czasem widzimy się podczas lekcji przez okna i wtedy sobie machamy albo gadamy na migi. Najchętniej gawędzę z nimi w ten sposób w trakcie geografii, bo przyznam, że strasznie mnie ten przedmiot nudzi, a wtedy geografica wrzeszczy na mnie, że nie umiem się zachować i chyba dostałam się do tej szkoły przez dziurkę od klucza. Mam jednak wrażenie, że u niej z dobrymi manierami też trochę na bakier. Kiedyś wyrzuciła z klasy Bolka, bo miał kolorowe spodnie, a według niej to były gacie plażowe. Wolę już dziadka od PO, chociaż to także trudny egzemplarz. Jak się dziewczyna nie zapnie pod samą szyję, to wrzeszczy: „A ty Baśka, co?! - Do każdej mówi Baśka, po co ma sobie pamięć zaśmiecać imionami. - W negliżu przyszłaś do szkoły?!”.

A zatem przyszły do mnie Mariolka i Ilonka, siedzą na kanapie i dziwnie chichoczą. Wreszcie pytam, o co im chodzi. Najpierw tak się

jakoś niby laygują, w końcu pytają, czy ja już kiedyś robiłam TO z jakimś chłopakiem.

- A bo co?

- To ty TEGO jeszcze nigdy nie robiłaś! Bo my już tak, wiesz, jak jest fajowo? Ale, no coś ty naprawdę jeszcze TEGO nie robiłaś, nie gadaj?! Musisz spróbować. Ale mi w głowie zamieszałyście! Nie pomyślałam, to w moim wieku nie wypada JESZCZE TEGO NIE ROBIĆ! O Boże, jaka ja jestem zacofana! Trzeba będzie jak najszybciej nadrobić te zaległości, chyba zadzwonię zaraz po pięknego Adasia - pogotowie ratunkowe (w jakimś filmie babka zwierzała się innej, że cnotę odebrał jej taki jeden lokalny „deflator” - to miano świetnie pasowałoby też do Adaśka). Teraz, jak wyjdę na ulicę, będę miała wrażenie, że każdy patrzy i widzi mój wstyd wymalowany na twarzy: tyle ma lat, a jeszcze dziewica! A mnie się nie spieszy! Wybaczcie, drogie Mariolko i Ilonko, ja sobie jeszcze troszeczkę poczekam. Fajowo to wy będziecie miały jak zajdziecie w ciążę jeszcze przed maturą, bo pewnie nie myślicie o zabezpieczeniu. Ech, te dziewczyny... Jakbym nie miała własnego zdania na pewne tematy to pewnie bym się na serio przejęła i zaczęła wyrównywać poziom doświadczeń. Myślę jednak, że z pierwszym lepszym nie ma sensu. Chciałabym, żeby to był ten jedyny; wymarzony.

Nie musi być zaraz księżę z bajki na białym rumaku, ale niech mi się naprawdę podoba i ma poukładane w głowie. Co do tego mamy

zgodną opinię z Monią i nie dajemy się wciągać w gierki w stylu Mariolki i Ilonki.

24- października

Wracam dziś późniejszą porą ze szkółki, bo przedłużyła się dyskusja na kółku, a tu okazuje się, że w domu mamy gościa - Speszona mamutka przedstawia mi pana Włodka. Całkiem niezły ten pan Włodek, skąd ona go wytrzasnęła?! Wygląda jak z żurnala. Mówi do mnie głębokim, aksamitnym głosem: „Witam cię, Joanno”. Ano witam, witam. Ciekawe, na jak długo zagościsz w naszym domostwie. Grant, że nie nosisz swetra w muchomorki. Oni tam sobie siedzą, kawkują, a ja czmycham do swojej kanciapy i daję Izce znaki przez okno, żeby do mnie przyszła. Po chwili słyszę dzwonek do drzwi, biegnę, otwieram, wołając:

- Cześć, Iz... - Ale to nie Izka, tylko... mój tatuś, Czesław. Przejeżdżał, więc pomyślał, że wpadnie na momencik. Jak miło!

- Tatusiu, poznaj pana Włodka - mówię, a na widok miny nieszczęsnej mamutki chce mi się płakać. Pewnie już pan Włodek do nas więcej nie zawita.

Wtedy zjawia się Izka i wspólnie wpadamy na pomysł, że tatuś zabierze nas na Starówkę na lody Tak też robimy To pomysł w sam raz dla niedzielnego tatusia! Przy kawiarnianym stoliku wypytuje nas oczywiście, jak w szkole i czy już wybrałyśmy kierunek studiów. Z trudem ukrywamy odruchowe ziewanie. Ale to nie jest tak, że tatuś się

mną nie interesuje i dlatego zadaje standardowe pytania. On po prostu nie przebywa ze mną na co dzień, więc nie wie, jak rozmawiać. Zawsze wychodzi to trochę sztucznie. Dlatego zamiast szczerej rozmowy - a czuję, że i on, i ja mielibyśmy na nią ochotę - wlepia mi najczęściej pieniądze. Tak jakbym tylko na to czekała. Widzę, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, tylko nie wie, jak zacząć.

- Tato, o co chodzi? Chyba coś mi chcesz powiedzieć - nie krępuję się obecnością

Izki, ona jest u nas traktowana jak członek rodziny.

- Rzeczywiście, jest coś...

W końcu przez zawiłe wstępy i tłumaczenia dochodzi do sedna sprawy. Nie tylko mamutka układa sobie życie na nowo, on także. Poznał kogoś. To cudzoziemka. Tata wyjeżdża do niej za granicę, tam będą razem mieszkać. Ona jest w ciąży a więc będę miała rodzeństwo! A to ci dopiero wieści! Trochę mnie i Izkę zatkało. W końcu odzyskałam głos i mówię:

- Tatusiu, to super, to znaczy nie cieszę się, że będziesz gdzieś bardzo daleko stąd, ale fajnie, że będziesz miał normalne życie. Są przecież telefony, internet, to się będziemy stale kontaktować... - i łzy zaczynają mi lecieć po policzkach.

Teraz już nie będzie niedzielnym tatusiem, tylko tatusiem zagranicznym, walutowym, raz-do-rocznym, bożonarodzeniowym. A z okazji chrzcin mojego przyszłego rodzeństwa pierwszy raz w życiu sama

wyprawię się za granicę, bo przecież nie z mamutka! Ale się namieszało.

25 października

Ogarnęło mnie sobotnie lenistwo, a przecież powinnam się uczyć tej przeklętej chemii, mamutka molestuje mnie o to pół dnia. Mam nadzieję, że zadzwoni pan Włodek, to może mi wreszcie odpuści. Znowu tłucze mi się po głowie

Artur i na niczym nie mogę się skupić. Gapię się bezmyślnie na trzeci teleturniej z rzędu, czas ucieka przez palce. Ding-dong! Drogi Marcinek, jak dobrze. wieczorem

Wzięliśmy z Marcinem Boniego na spacer, chociaż mamutka robiła do mnie straszliwe miny i nawet groziła pięścią. Mamutko, żebyś ty wiedziała, jaki w mojej głowinie panuje zamęt. Ja naprawdę... Nie zrozumie, już zapomniała, jak to jest. Marcinowi opowiedziałam o wycieczce (a propos, z Ewcią w szkole potworna afera, zawiesili ją, chcą karnie gdzieś przenosić) i o Artim. Kazałam mu przeczytać ostatni numer „Głosu Ucznia”, gdzie są wyniki ankiety i mój tekst, a także wypowiedź księdza i niektórych nauczycieli. Chcę znać również jego zdanie. Marcin nie żyje życiem szkoły, nie udziela się, to outsider. Ma różne swoje dziwne tajemnice, takie jak wywoływanie duchów Żyje w swoim świecie. Chyba mnie trochę polubił, skoro potrafi się przede mną otworzyć. Staram się nigdy nie tracić wiary w ludzi, dlatego ufam, że jego dziwactwa nie okażą się fascynacją satanizmem albo przynależnością do sekty Tyle się o tym słyszy... Miewałam już i takie

podejrzenia co do różnych moich znajomych. Ale one nie dotyczą Marcina, on ma dużo zdrowego rozsądku i inteligencji, jest wobec siebie i innych bardzo krytyczny czasem potrafi być wręcz cyniczny, czego akurat u niego nie lubię. To pewnie taki rodzaj pancerza, żeby przypadkiem nie dać się zranić. Mam wrażenie, że wytworzyła się między nami jakaś szczególna więź, czuję do niego tyle sympatii... Marcinku, przede mną się nie opancerzaj, proszę. Tymczasem umówiliśmy się na drobne wagary w poniedziałek.

To takie moje małe grzeszki, o których nie wie nawet Monia, bo się jej nie chwalebę i nie zwierzam, czemu czasem nie ma mnie w szkole. Jak już będę miała nóż na gardle, zacznę zakuwać.

Wiem, brakuje mi systematyczności, zawsze tak było, nic na to nie poradzę. Za to jak już przysiędę do nauki, wyprzedzam wszystkich i potem w ich oczach jestem kujonką, bo mi zazdroszczą wyników.

26 października

Przyjechała Monia na niedzielne ploty Ciągłe gada teraz o Radku. Chyba na tej wycieczce serduszko jej drgnęło. No i dobrze. Monia nie może się doczekać wyników olimpiady chciałaby przejść do kolejnego etapu, mówi, że jakby wygrała, miałyby miejsce na studiach. Wtedy pojechałyby do innego miasta, najlepiej na Jagiellonkę do Krakowa. Ja o tym w ogóle jeszcze nie myślę, wiem tylko, że pewnie pójdę na polonistykę, jak mnie tam będą chcieli, chociaż tatuś włosy sobie z głowy rwie, że będę całe życie biedę klepać. Cóż, nic innego mnie nie

podnieca, tylko mowa ojczysta. A on ciągle, że mogłabym zdawać na prawo albo chce robić ze mnie artystkę. Mówi, że ma tu i ówdzie jakieś znajomości, może to czy tamto załatwić. Fajnie, ale nie skorzystam z tego. W mojej decyzji utwierdza mnie zresztą stale moja kochana Pani. Wiem, tatusiu, że chcesz jak najlepiej, tylko że - jak sam wiesz - dobrymi chęciami piekło wybrukowano.

Wieczorem kopnęłam się na chwilę do kochanej Izki. Izka, kobieta po przejściach, bardzo się ostatnio wyciszyła. Znowu zakradłyśmy się do pani Wiesi do kuchni z mruczącym wniebogłosy Fikusem pod pachą. Rozsiadłyśmy się przy stole z wiszącą nad nim, roztaczającą krąg ciemnożółtego, miłego światła, lampą, a Fikus umościł się u pani Wiesi na kolanach. Rozmawiałyśmy o tym i o owym, potem dołączyła do nas mamutka, bo wybrała się na poszukiwanie swojej córunki, i tak siedziałyśmy cały wieczór w tej ciepłej, domowej atmosferze, zapominając o wszelkich zmartwieniach.

27 października

Marcin zaciągnął mnie na piwko do jakiejś bardzo podejrzanej spelunki. Siedziało tam sporo żuli. Coś im Marcinek nie wpadł za bardzo w oko i już zabierali się do bicia. Zostawiliśmy więc niedopite piwko i szykowaliśmy się do wyjścia. Marcin na odchodnym coś tam im odpyskiwał. Ja zawsze tchórzę, więc złapałam go za chabety i siłą stamtąd wyciągnęłam, żeby nie było draki. Marcin ma w sobie coś tak prowokującego... A może świadomie prowokuje? Potem na ulicy



zaczęliśmy się z tego śmiać, strasznie nas to ubawiło. Poszliśmy do parku poszukać wiewiórki, ale siedziała chyba zaszyta w swojej dziupli, bo zerwał się dojmujący jesienny wiatr i zrobiło się bardzo ponuro. Spytałam Marcina, czy czytał „Głos Ucznia”. Jego zdaniem z Artim to prawie beznadziejna sprawa. Powiedział, że współczuje jego rodzinie. Przyznał, że raz spróbował amfy, jak musiał zakuć do klasowy ale raz i już nigdy więcej. A więc on też!

28 października

Dzisiaj raniutko wchodzi do klasy kochana Pani i mówi, że są wyniki olimpiady, a w związku z tym jedna dobra wiadomość i jedna zła: ja przeszłam dalej (tu następuje moje głośne „hurrra!”, w myślach zaś: „Dziękuję Wam: Miłoszu, Herbercie, Wacie, biję pokłony moi mistrzowie!”), a Monia, niestety nie. W dodatku miała bardzo mało punktów, więc powinna chyba mocno przysiąc, żeby nie wypaść podobnie na maturze. Zdaje się, że do jej rozprawki wkradły się między innymi jakieś rażące błędy ortograficzne (teraz nie wiem, jak się zachować, bo już nie wypada mi dalej cieszyć się z sukcesu, skoro przyjaciółka siedzi obok ponura, przybita i jakoś złośliwie zerka na mnie z ukosa). A niech to licho, co za sytuacja! Monia przez cały dzień nie potrafi się w niej odnaleźć. Przestała się do mnie odzywać. Widzę, że wyraźnie ma mi za złe mój wynik, po prostu się na mnie obraziła. Na przerwie obserwuję dziwne zdarzenie - Monia siedzi pod ścianą, a wokół Praworządne, które chyba uznały że teraz mają za zadanie ją pocieszać.

Poza tym najpewniej usiłują przypuścić swój atak, czyli wykorzystać okazję, żeby ją ode mnie odciągnąć, to znaczy zacząć przeciąganie na swoją stronę. To istny klan, który aż się trzęsie od obgadywania i intryg. Jeśli chodzi o obgadywanie, nie ma dla niego lepszej pożywki niż zazdrość, że komuś coś się udało, a innym nie, chociaż sami nawet nie próbowali nic zdziałać. Chłopaki za to zachowali się honorowo. Każdy mi osobiście pogratulował i obiecał, że będzie trzymał kciuki za dalsze etapy bo jak wygram, to będzie duma dla całej klasy A więc można też inaczej, bez jadu, małostkowości i tak dalej? Szkoda zresztą się nad tym rozwodzić. Tylko co z Monia? Przecież nasza przyjaźń miała trwać na wieki wieków. Pewnie za parę dni wszystko wróci do normy. Teraz pośrednikiem między nami jest Radek, który - choć zaleca się wciąż do Moni - stara się być obiektywny. Tak naprawdę nie ma powodu do afery nikt w niczym nie zawinił. Okazuje się jednak, że babom brakuje zdrowego rozsądku i nie patrzą trzeźwo na sprawę, więc obrażają się na Bogu ducha winną Joškę i rzucają w jej stronę nienawistne spojrzenia. Ja udaję tymczasem, że w ogóle ich nie widzę, co jeszcze bardziej je rozdrażnia. Pod koniec lekcji brzęczy w tym wstrętnym babińcu jak w ulu. Dziewczyny są w swoim żywiole, znalazły cel. A więc to prawda, że u kobiet silniejsze są emocje niż rozum... No cóż, nie pierwszy raz zrobił się kwas.

30 października

Nie przejmuję się atmosferą w klasie. Nauczyciele pogarszają

zresztą moją sytuację, bo pochwałami dopingują mnie teraz do pracy, a to już dla reszty jest naprawdę nie do zniesienia. Żyję teraz tylko ustnymi egzaminami: epoki, prądy nazwiska - wszystko chciałabym opanować natychmiast, chłonę wiedzę jak gąbka. Gdy zadzwonił Marcin, spławiłam go. Nawet Izce odmówiłam spotkania i wysłuchiwanie zwierzeń. Jednak jest ze mnie kujon. A co tam!

1 listopada

Trzeba było odłożyć książki i pójść na groby, przede wszystkim na grób dziadka.

Mojego dziadka Stefana, który się mną zajmował, gdy byłam małą. Przygotowywał dla mnie chleb z twarogiem i z miodem, gotował kartoflanę. Dziadka, który stawiając pasjanse, zawsze w charakterystyczny sposób bębnił palcami o stół, zbierał ze mną w parku kasztany. Nie sposób mówić o nim, nie wspomniawszy o jego starej syrence. W mojej pamięci stanowią nierozłączność. Dziadek darzył syrenkę takim uczuciem, jakim zazwyczaj darzy się wiernego psa. To ona wozila nas do lasu i nad jezioro, na ryby. Chciałabym dziś pojechać tak jak kiedyś, kiedy byłam małą dziewczynką, nad rzekę lub jezioro i powędkować razem z dziadkiem.

Siedzielibyśmy na brzegu i wpatrywali się w wodę. Dziadek miał szacunek dla wielu rzeczy. Jego życie pełne było drobnych rytuałów. Jednym z nich było na przykład naprawianie syrenki. Z biegiem lat zaczęła się psuć coraz częściej i z coraz większą regularnością.

Właściwie później liczył się już nie tyle efekt naprawy (z góry skazanej na fiasko), ile sama czynność naprawiania, jakieś niemal magiczne czynności. Codzienne schodzenie do piwnicy i do garażu wiązało się z inną, jeszcze bardziej skrywaną przed światem praktyką, a mianowicie kultem Bachusa. Nie dało się ukryć, picie wina było jedną ze słabości dziadka. Nie miałam mu tego za złe, mnie samej, mimo szczenięcego wieku, zdarzyło się kilkakrotnie zajrzeć do kieliszka, co należy złożyć raczej na karb ciekawości świata niż brania złego przykładu z dziadka. Potem zachorował na raka płuc i długo to już nie trwało. Oby Ci tam było dobrze i błogo, dziadku! Myślę - to taka moja prywatna filozofia - że musimy podtrzymywać pamięć o zmarłych, bo to bardzo ważne i dla nich, i dla nas.

Wieczorem z Izką wybrałyśmy się jeszcze jak co roku na pobliski stary cmentarzyk, gdzie zawsze zapalamy znicz na jakimś zapomnianym grobie. Uwielbiamy widok tego cmentarza w ten świąteczny dzień, kiedy już robi się ciemno i całe wzgórze jarzy się setkami światełek. Kierujemy wtedy nasze myśli ku górze, wierzymy, że zmarli są teraz naszymi duchami opiekuńczymi i troszczą się o nas. Przy wyjściu z cmentarza, pod wielką kamienną bramą z płaskorzeźbami przedstawiającymi sylwetki świętych, spotykamy Marcina. Postanawiamy pójść razem na inne wzgórze, do parku, skąd rozciąga się widok na całą okolicę. Stoimy tam w milczeniu, wpatrujemy się w dal. Nad miastem widać łunę od cmentarza Usiłuję ujrzeć naszą przyszłość,

ciekawi mnie nasz los, jak wszystko się dalej potoczy: BĘDZIEMY KIMŚ CZY BĘDZIEMY NIKIM? Ale nie sposób tego dostrzec tej niezwyklej nocy Izka, jakby czytała w moich myślach, zadaje to samo pytanie na głos. Marcin odpowiada:

- Słuchajcie, to nieważne, kim będziemy kiedyś, ważne, jacy jesteśmy teraz. Stoimy na dachu świata, jesteśmy bogami, wszystkie możliwości są jeszcze przed nami, jesteśmy młodzi i to jest nasza wielka moc.

Zaczynamy się wydzierać na całe gardło, nasz krzyk niesie się do nieba.

Wracamy pogrążeni w myślach, nie chce nam się o niczym rozmawiać i dobrze nam z tym naszym wspólnym milczeniem. Teraz, przed zaśnięciem, kreślę jeszcze ten grafomański wiersz pod wpływem niezwyklej atmosfery dzisiejszego wieczoru: CMENTARZ

Szelest liści pod nogami, bicie dzwonów, milczenie martwych grobów.

Przychodzę tu każdej jesieni, a one niezmiennie czekają, ukryte na wzgórzu za kościołem, gdzie kruszy je deszcz i wiatr, i cisza, i czas.

Czekają, by ożyć za sprawą świateł, a ja przychodzę tu, bo szukam zgubionych gdzieś dni, myśli i zdarzeń.

Krzyże są dziś jak skrzydlate cienie ptaków i tylko błędny ognek czasem mamy zmęczone oczy.

2 listopada

Dziś rano dopadła mnie grypa z katarem. O pójściu do budy nie było mowy, bo z trudem dowlokłam się do kuchni, gdzie zresztą nie było ani cytryny, ani miodu, ani czosnku, ani innych specyfików o zbawiennym dla zdrowia działaniu (mamutka od czasu pojawienia się pana Włodka nad niczym nie może zapanować, w lodówce najczęściej pustki, a więc - jednak - powinna zrozumieć moje nastroje!!!). Głowę mi rozsadza, więc z przygotowań do olimpiady też raczej nici. A egzamin już za dwa dni. Co za pech! Praworządne mogą już zacierać ręce, bo w tej sytuacji moje szanse drastycznie maleją. Ale jeszcze się nie poddaję. Jeśli chodzi o Monie, to między nami nadal zima: żadnych telefonów, SMS-ów, e-maili. A ze mnie też twarda sztuka, więc nie wiem, jak będzie... Pewnie niełatwo. Kiedy czuję, że ocenia się mnie niesprawiedliwie, budzi to we mnie święte oburzenie i sprzeciw. Nie umiem wtedy pierwsza wyciągnąć ręki, zamykam je w sobie. Ciągle liczę na to, że Monia się opamięta, ale jej niechęć do mnie tylko się pogłębia i tym sposobem brniemy w to coraz dalej. Kto by się spodziewał! Najgorsze, że siedziby nadal w jednej ławce, dlatego lodowate milczenie robi się coraz bardziej uciążliwe. Chyba przesiądę się do Ewci - jednak została z nami, ale tym razem za karę, że tak narozrabiała na pamiętnej wycieczce, kazali jej siedzieć samej w ławce. Śmieszni są ci belfrzy jeśli myślą, że to odpowiednia kara. największy ubaw ma z tego sama Ewcia. W każdym razie na moje towarzystwo dla niej teraz, kiedy reprezentuję szkołę na olimpiadzie, na pewno się

zgodzą. Może okaże się, że mam na nią zbawienny wpływ i wreszcie nawróci się na „pryzwoitość”... wieczorem

Myślałam, że jak się jest chorym i leży się w łóżku, to nic szczególnego nie może się wydarzyć, ale to nieprawda. Jakże głęboko się myliłam!

Najpierw próbowałam czytać Zbrodnię i karę, ale dosyć szybko przysnęłam z ogólnego osłabienia. Śniło mi się, że jakiś obcy człowiek próbował w mojej obecności zamordować staruszkę trochę podobną do cioci Gieni z Poznania, której nie widziałam chyba z dziesięć lat. Przypadkowy policjant posądził mnie o współudział w zbrodni i zaciągnął na przesłuchanie. Właśnie zbliżał się do mnie, świecąc mi lampą prosto w oczy i zasypując napastliwie zadawanymi pytaniami z historii literatury polskiej i obcej (ja oczywiście miałam kompletną pustkę w głowie, nie pamiętałam nawet, kto napisał Treny, a kto Zbrodnię i karę), gdy naraz odciągnął go ode mnie dzwonek telefonu. Policjant biegał po całym gabinecie w poszukiwaniu coraz uporczywiej dzwoniącego aparatu, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Kiedy dźwięk stał się nie do wytrzymania, obudziłam się. Po długim czasie powracania do przytomności dotarło do mnie wreszcie, że ktoś usilnie i nader energicznie dzwoni do drzwi. W końcu zwlokłam się połamana z łóżka, otwieram, a tu bez słowa wpada do mieszkania sąsiad z dołu i biegnie do naszej kuchni. Teraz widzę, że z kuchni wydobywają się kłęby dymu - no tak, zostawiłam czajnik na gazie! Mamutka na pewno mnie

zamorduje. Dobrze, że napatoczył się przez przypadek pan Zdzychu i ugasił zasłonę zajmujący się właśnie płomieniami blat, bo byśmy pewnie doszczętnie spłonęły, a i mój dalszy żywot stał już może pod znakiem zapytania. Na szczęście skończyło się na dymie, zwęglonym czajniku i osmalonym blacie (no i... zniszczonej nowiuńskiej zasłonie, do której zakupu mamutka szykowała się całymi miesiącami). A mówiłam jej, że czajnik musi być z gwizdkiem! I tak nie obejdzie się bez bury - skądinąd słusznej. Pewnie biedny Boni czekał i wył - jak to możliwe, że nic nie słyszałam? Bezwiednie biorę do ręki opakowanie po tabletkach na grypę i kiedy tak mu się przyglądam, nagle dociera do mnie, jak fatalną pomyłkę popełniłam - to przecież leki nasenne babci Sabiny, które zostały z czasów jej pobytu u nas! Masz ci los, jak mogłam tego nie zauważyć? Teraz dopiero rozumiem, co się stało: grypa, która dosłownie zwała z nóg, plus pastylki na spanie! Zabójczy miks. Stąd pewnie ten zwariowany sen. Tak, tutaj nawet i gwizdek nic by nie pomógł.

Mamutka po powrocie z pracy chciała mnie, rzecz jasna, własnoręcznie ukatrupić, ale na szczęście był z nią pan Włodek i wziął mnie w obronę, tłumacząc, że przecież jestem chora, wzięła i mam przez to osłabione zdolności kumania - chce się podlizać, żeby mieć u mnie fory czy co...?

Późnym popołudniem znowu słyszę dzwonek do drzwi. Zagląda do mnie mamutka ze straszliwie, ale to na maksa zdziwioną miną i mówi, że przyszła do mnie jakaś pani... Po chwili wchodzi elegancka babeczka. O



takim garniturku, jaki miała na sobie, to ani mi, ani mamutce nawet się nie śniło! Buty i torebka z wężowej skóry, jednym słowem, pełen wypas. Do tego włosy gęste, długie, platynowy blond, solarium, złoto, odlotowy makijaż - te sprawy Ciekawe, jaką brykę zaparkowała pod oknem? Zaczyna coś mówić, a tu w torebce brzęczy komórka, więc mnie przeprasza, wyjmuje telefon i wyłącza. Uff, już myślałam, że skaże mnie teraz na półgodzinne wysłuchiwanie jakichś bzdetów, bo i takie sytuacje się zdarzają, czego szczerze nienawidzę. Pani, trochę roztrzęsiona, pyta, czy może gdzieś spocząć, więc wskazuję jej moje krzesło przy biurku, sama zaś zostaję w łóżku, owinięta kołdrą i jakimiś szalikami na siłę wciśniętymi mi przez mamutkę, siąpiąc moim czerwonym, spuchniętym nosem i produkując dookoła stosy zużytych chusteczek. Kobieta siada, patrzy mi w oczy, jakby coś chciała wy badać, w końcu oznajmia:

- Jestem mamą Artura. -1 wyciąga z torebki numer „Głosu Ucznia”, w którym była mowa o narkotykach. - Znalazłam u niego strzykawkę i tę gazetkę. Właściwie to myślę, że położył je chyba specjalnie na wierzchu, żebym znalazła. Nigdy nie przeszukiwałam jego rzeczy. Przeczytałam twój artykuł i postanowiłam cię odnaleźć. Zaniemówiłam i zdębiałam, i jeszcze mnie zatkało, jednym słowem: totalny zaskok. Kobieta wyraźnie walczy ze sobą, żeby się nie rozpłakać, wreszcie nie wytrzymuje - czarne od tuszu łzy ściekają jej po policzkach. Podaję jej kartonik z jednorazowymi chusteczkami, który z wiadomych względów trzymam od rana przy łóżku. Tłumaczy, że sama nie wie, jak

JA bym właściwie miała tutaj pomóc, ale mój artykuł w gazetce wydał się jej taki rozsądny... i to był taki nagły impuls, żeby do mnie przyjść. Dokonała potwornego odkrycia, jest pogrążona w rozpacz - o wszystko obwinia siebie, zaniedbała syna, nie poświęcała mu dość uwagi, myślała, że jak płaci za prywatne lekcje angielskiego i fortepianu, to już wystarczająco wiele. A on się od niej coraz bardziej oddalał, więc dawała mu ciężko zarobione pieniądze, bo chciała się z powrotem wkupić w jego łaski. To pomagało na chwilę, a potem znowu było gorzej. Czasem nie wytrzymała i krzyczała, próbowała wymuszać na nim powiedzenie prawdy Artur nic jednak nie mówił na temat tego, co robi i z kim się zadaje. Z ojcem się nie rozumieją, kiedyś każda ich rozmowa przeradzała się w karczemną awanturę. Ojciec nazywał go nieopierzonym głupkiem, niedołągą lub wprost idiotą. Artur gardził ojcem, twierdząc, że sprowadził się do roli bezmyślnej maszynki do robienia pieniędzy bo nie żyje się przecież dla mamony są jeszcze inne wartości (o matce zresztą mówił to samo). Nierzadko dochodziło między nimi do rękoczynów, przy czym syn nie pozostawał ojcu dłużny. Coraz częściej Arti znikał gdzieś na całe dni. Nie podejrzewała nic groźnego, myślała, że po prostu przesiaduje u kogoś z buntu przeciwko własnemu domowi - tak, przyznaje: to nie jest idealny dom, między nią a mężem też nie układa się najlepiej. Artur był świadkiem wielu awantur i scen, wielokrotnie mieli się już rozwodzić, prawdę mówiąc, każde z nich prowadzi własne życie, ale przecież - mimo wszystko - zawsze się

starala, i to ze względu na syna. Ciężko jest pogodzić obowiązki domowe z tak odpowiedzialną, menedżerską funkcją, jaką pełni w swoim koncernie. W tym momencie słycać nagle nutkę dumy w głosie kobiety mimo jej autentycznej rozpaczy. Od czasu do czasu mama Artura gubi wątek i zapomina, co chciała powiedzieć, popada w zadumę, a potem otrząsa się z niej i ciągnie dalej. Ja tymczasem z tej dość chaotycznej opowieści próbuję wysnuć wizję życia Artiego w pięknej willi za wysokim murem z bajecznym ogrodem i... widzę piekło. Mogę już domyślić się sama wielu szczegółów, jednak mama Artura nie oszczędza mi ich - widocznie nasza ją nagle silna, tłumiona od lat potrzeba zwierzeń. W pierwszej klasie liceum Artur trafił do wspólnoty oazowej przy naszym małym kościółku. Długie godziny spędzał na wspólnej modlitwie, nabożeństwach, śpiewach, życie religijne całkowicie go pochłoneło. Niestety ani ona, ani mąż nie są wierzący ona ma raczej neutralny stosunek do Kościoła i do wiary katolickiej, ale ojciec Artura to zapalczywy antyklerykał, na samo słowo „Kościół” reaguje furią i stekiem wyzwisk.

Kiedyś Artur bardzo długo nie wracał do domu, a zapomniał powiedzieć, że idzie do kościoła. Ojciec akurat wrócił z pracy wcześniej niż zwykle i chciał z nim porozmawiać. W końcu poszedł go szukać. Ktoś mu powiedział, gdzie jest syn.

Wpadł w gniew, wtargnął do kościoła, nie zważając na nabożeństwo, odnalazł Artura i siłą wyciągnął go na zewnątrz, po czym

spoliczkował i zaciągnął do domu. Ojciec Artiego jest dyrektorem dużej firmy nie znosi sprzeciwu, wszystko musi być po jego myśli. Także żonę usiłował sobie podporządkować. Przez całe lata musiała walczyć o swoją pozycję. Ma silniejszy charakter od Artura, syn jest wrażliwy, czasem wręcz przewrażliwiony, ale też bardzo uparty - ten upór i ambicję ma po niej. Artur odszedł z oazy chociaż młody ksiądz, który ją prowadził, robił wszystko, żeby go zatrzymać. W ogóle Arti przestał chodzić do kościoła, prawdopodobnie popadł w zwątpienie. Kiedyś matka zaproponowała mu, że może mu płacić za wizyty u psychoterapeuty przekonywała go, iż w swoim czasie jej takie wizyty bardzo pomogły, ale syn odmówił. Tymczasem ojciec zaczął na nim wymuszać kierunek dalszego kształcenia - postanowił zrobić z niego menedżera, Artur miał w przyszłości dojść do podobnego stanowiska jak ojciec. Niestety, zupełnie nie pokrywało się to z planami syna - ten myślał o kierunkach artystycznych, zaczął uczęszczać na zajęcia w pracowni fotograficznej.

- Pewnie ojciec wyrzucił aparat fotograficzny za okno? -  
odruchowo robię przypuszczenie.

- Zgadłś - potwierdza kobieta.

Stają mi w oczach łzy Artura robi mi się strasznie, ale to strasznie żal. Jak to jest, że ludzie, żyjąc pod jednym dachem, tak bardzo się od siebie oddalają, tak bardzo się ranią? Gdyby mamutka miała tak żyć z tatusiem... może już lepiej, że się szybko rozwiedli. Nie jest różowo, ale

przynajmniej panuje względny spokój. No i w stosunku do mnie oboje są w porządku, nie wymuszają nic na mnie, a jedynie doradzają lub odradzają. Ostateczny wybór zawsze należy jednak do mnie.

Mama Artura znowu usiłuje odnaleźć utracony wątek. Aha, no tak, a teraz ten koszmar z narkotykami. Uznała mnie najwyraźniej za naczelnego teoretyka w tej dziedzinie, ja na pewno będę wiedziała, co robić, wszystko jej wyjaśnię i ją pocieszę.

- To chyba jeszcze nic bardzo poważnego, prawda? To tylko takie eksperymentowanie? - pyta z nadzieją w głosie.

- Proszę panią, nie mogę pani zapewnić, że to nic poważnego. Przede wszystkim musi pani nakłonić Artura, aby znów przychodził do szkoły.

- Więc nie chodzi... - Widzę, jak powraca uczucie paniki i rozpacz.

- Niedługo mają być w szkole spotkania z osobami z ośrodków odwykowych, gdzie się leczy narkomanię. Jeśli on zostawił na wierzchu tę strzykawkę i naszą gazetkę, to znaczy, że szuka pomocy a to jest już dobry znak. Tylko według mnie nie należy robić niczego na siłę - on sam musi chcieć, inaczej się nie uda - przekonuję zasmuconą matkę. Jak ją pocieszyć? Nic mądrego nie przychodzi mi do głowy w końcu rzucam banalne: - Proszę się tak nie zamartwiać, wszystko będzie dobrze.

Ona chwyta się tych moich słów jak tonący brzytwy. Widać, jak bardzo chce w to wierzyć. Ale czy rzeczywiście to takie proste? Gdyby

wiedziała, jak bardzo mnie samej cała sprawa leży na sercu... W końcu kobieta zbiera się do wyjścia, dziękuje mi za rozmowę, za pomoc i zaangażowanie - nagle peszy się, może uświadomiła sobie niestosowność i dziwaczność tej wizyty. Obca dziewczyna może ją właściwie wyśmiać, skwitować wszystko wzruszeniem ramion... Człowiek pogrążony w rozpacz chwyta się najróżniejszych sposobów, by wydobyć się z rozpacz czasem na pozór całkiem absurdalnych. Zdarza się też, że takie sposoby nieoczekiwanie skutkują.

- No i życzę ci jak najszybszego powrotu do zdrowia - dodaje na odchodnym.

- A psik!!! Dziękuję, mam nadzieję, że pani nie zaraziłam.

- Aha, jeszcze jedno, tu jest moja wizytówka, dzwoń, gdyby coś przyszło ci do głowy. Co za dziwne zajście, wszystkiego bym się spodziewała, tylko nie tego. Arti pozostaje poza wszelkim zasięgiem, to człowiek z innego świata, nie mam z nim właściwie żadnego kontaktu, za to zaprzyjaźniam się z jego mamuszką. Trochę mi jej szkoda, ale też trochę jestem na nią zła. Zamiast dać sobie już dawno spokój z karierą w biznesie, przesiadywaniem u stylistów i kosmetyczek, powinna zająć się domem - przecież niewierze, że to, co zarabia jej mąż, nie starczyłoby na życie, i to godziwe, nie takie jak moje i mamutki, na granicy przetrwania. OK, może kobieta walczy o swoją niezależność, udowadnia swemu macho, że nie z nią te numery tylko biedny Arti zupełnie jej w tym wszystkim umknął. A tego typu, to znaczy jego ojczulka, to chyba

tylko... no sama nie wiem, co ja bym z nim zrobiła, jak bym go dorwała... Trzeba by go może, na przykład porządnie wychłostać albo co. Łeb mi pęka, nie tylko od grypy idę spać (i tak się nie wyśpię - nos zapchany gardło swędzi i boli, gorączka dokucza, obrzydlistwo, a do tego najróżniejsze myśli tłuką się po głowie).

3 listopada

Dziś czuję się niewiele lepiej, ale trochę się uczyłam między drzemkami. Odwiedziła mnie Izka. Upiekła dla mnie z panią Wiesią przepyszne ciasteczka, bomba! Izce zdałam dokładną relację z ostatnich wydarzeń, że po pierwsze mało brakowało, a jej kuma sfajczyłaby się z całym dobytkiem (Bogu dzięki za tego pana Zdzicha!), po drugie - nawiedziła mnie superblondi, czyli mama Artiego. Pierwsze zdarzenie to szok, przeszłyśmy jednak nad nim do porządku dziennego: już się stało, trudno, a najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło. Drugie - też szok. Ale w sumie pozytywny. Nagle taka gościowa, która na ulicy na taką Joškę nawet nie spojrzy, przychodzi się radzić i zwierzać, i patrzy we mnie jak w obraz, że ją wybawię od wszystkich problemów. Trochę przecenia moje możliwości. Ciekawie by było, jakby ona teraz... na przykład... się nawróciła - nigdy nie wiadomo. Małżonek chyba by skonał. W sumie tworzą żalospną parę, przydałyby im się rekolekcje. Izka gdzieś się natknęła na Artiego. Obiecał jej, że zjawi się w szkółce. Oby Trudno się dziwić, że taki pokręcony, jednak co normalna rodzina, to normalna rodzina. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo z autopsji

stuprocentowo tego też nie mogę powiedzieć. A propos własnej rodziny, odezwał się tatuś, że wszystko gotowe do wyjazdu i chce się ze mną zobaczyć. Ciągle nie mogę w niego uwierzyć w jego wyjazd za granicę. Mówi, że mi będzie fundował przelot samolotami i będę mogła go często odwiedzać. A ja tych samolotów boję się jak diabeł wody święconej. Chyba że uwierzyłabym duchom w dziewięćdziesiąt dwa lata żywota mego na tym padole, to już mogę nawet i co drugi dzień latać. Aha! Poza tym tatuś roztacza przede mną jakieś wizje studiów za granicą. Kuszące, nawet bardzo, ale nie zostawię przecież mamutki, nie mogę jej tego zrobić. A przyjaciele? Nie, takie studiowanie raczej nie wchodzi w rachubę. Angielski jednak mogłabym opanować perfektnie... Tylko że ja mowę ojczystą przecież najbardziej poważam. Kochana Pani zaraz by mi z głowy takie pokusy wybiła.

Tak... jeśli już o duchach mowa, to również warto coś napomknąć o ich „ujarzmicielu”. Marcin przyszedł mnie dziś odwiedzić i przyniósł stos płytek do posłuchania. Myślałam, że znowu coś nowego w stylu Radiostacji, atuu... same starocie. Ale jakie! Tak się zaszuchałam, że kompletnie zapomniałam o jutrzejszym egzaminie. Marvinę Gaye’a będę teraz słuchać chyba po sto razy dziennie - na zmianę z Joni Mitchell. Skąd Marcin potrafi wytrzasnąć takie rzeczy? Prawdę mówiąc, z mojego kręgu znajomych on jeden nieustannie mnie zaskakuje i ciągle nie mogę go do końca rozgryźć. Zauważyłam, że lubi przyjść do mnie na godzinkę, posiedzieć, a najfajniejsze jest to, że nie musimy o niczym



gadać i nie czujemy się tym skrępowani. Żadnego bla-bla-bla na siłę. Po prostu siedzimy i słuchamy muzy. Nawet się czasem do siebie przytulimy - tak po przyjacielsku oczywiście, nic z tego nie wynika. Zresztą nie zastanawiam się nad tym, życie pędzi nieubłaganie. Teraz muszę się wyspać przed jutrzejszym trudnym dniem. Będę zasypiać ze słuchawkami na uszach, słuchając Marcina, to znaczy tfu, chciałam napisać: Marvinina.

4 listopada

Już po wszystkim... Zdałam! Tamtaratam! W lutym jadę do Warszawy na eliminacje ogólnopolskie! Ale heca. Grypsko nie ustępuje, więc byłam tak zdechła, że nawet nie miałam siły się bać. Nie wiem, co ja tam naplotłam, zdaje się, że straszliwe głupoty. W każdym razie profesor, przewodniczący komisji, powiedział kochanej Pani, która mi oczywiście wiernie towarzyszyła, że mam braki, ale że mnie jednostka myśląca, więc zaryzykują. Warszawo, jesteś teraz moim największym wyzwaniem. Do boju! O rety, zapomniałam, wkrótce wracam do budy Praworządne mnie zabij a, a będzie to śmierć przewlekła, poprzedzona szeregiem wyrafinowanych tortur. Może mnie jeszcze nie opuszczaj, grypo? W sumie zaczynam się z tobą nawet zżywać... tak jak z moją samotnością, która sprzyja pisaniu tych nędznych wierszydeł, od czego nijak nie mogę się uwolnić. Natomiast skłonność do wagarowania, chodzenia własnymi ścieżkami, dzielona z moim serdecznym kolegą M... Ja chyba się z nim tak dobrze rozumiem, bo też w zasadzie jestem po

trosze outsider-ką, choć tu i ówdzie się udzielam. Na temat wagarowania przyszedł mi do głowy taki wierszyk:

### WAGARY

Na jeden króciutki dzień uciekam dziś z własnego życiorysu. Zwolnij mnie, proszę, Panie Boże, przenieś na moment do innego życia i nie proś o usprawiedliwienia.

Nie mogę się dzisiaj uczyć, za trudne dane, brak doświadczenia, no cóż, powiem prawdę, po prostu mam dzisiaj straszego lenia.

## Rozdział III

### **O nagonce, o nowych, nieoczekiwanych zajściach/ zwariowanym listopadzie i o tym, jak wśród ogólnego zamieszania zbliżają się święta**

5 listopada

Czekałam dziś z narastającym od pewnego czasu utęsknieniem na jakiegoś osobnika z mojej klasy, niestety, nie doczekałam się. Jak łatwo można popaść w zapomnienie... W swojej naiwności liczyłam na to, że może ktoś będzie łaskaw pożyczyć mi zeszyty do uzupełnienia i zainteresuje się moim nieszczęsnym losem. Buuu! To nic, poradzę sobie sama. Zasada i rada numer jeden, jak przetrwać w szkole, zachowując poważanie i sympatię rówieśników: w niczym nie stawaj się ponadprzeciętny, bo cię natychmiast zjedzą. Żebym była chociaż jakimś geniuszem-omnibusem... A to tylko wypadkowa zakuwania i szczęścia.

A teraz może wreszcie wezmę się za wkuwanie chemii. Najwyższy czas. Mam już przed sobą podręcznik. To przecież takie fascynujące, te kwasy, które z czymś tam się łączą, a z czymś tam nie, zaraz, z czym one się łączą, niech sprawdzę... późnym wieczorem

Za długo to ja się tej chemii nie pouczyłam. Zawsze jest tak, że jak nie mam już żadnego pretekstu, żeby się nie uczyć, przychodzi natchnienie. Siła wyższa - to nieuleczalna słabość. Tym razem naszło mnie na pisanie opowiadania do „Głosu Ucznia”, by nie ograniczać się

tylko do wierszy. A oto ono, nosi tytuł:

## LUSTRO

Odtąd trwałem osłupiały jak niebo, wpatrzony w blady płomyk świecy, palący się w lustrze u dołu w lewym kącie.

A. Wat, Ja z jednej i ja z drugiej strony mego mopożelaznego piecyka „Gdy patrzysz długo w lustro, a obok pali się świeca, po jakimś czasie twoje odbicie zachodzi mgłą, ciemną mgłą. Potem nieoczekiwanie staje się znów wyraźne i wtedy twoje oczy nie patrzą już wprost w twoje oczy, ale spoglądają ukośnie w bok, w stronę świecy. Wtedy płomień nagle gaśnie, a w ciemności błyszczą w lustrze źrenice jak dwa migocące płomienie” - opowiadała mi przed zaśnięciem. Potem bałam się. Wydawało mi się, że za oknem świecą czyjeś oczy. Nie mogłam zasnąć, przyklepałam się z całej siły do zimnej ściany, zostawiałam na niej ślady potu.

Budziłam się rano, było jeszcze szarawo. Wszystko wydawało się już bardzo odległe i nierealne. Każdego ranka byłam nową osobą, a tamta sprzed zaśnięcia umierała w trakcie nocy. Jadłam chleb z miodem i wychodziłam na podwórko.

„Tylko nie chodź po kałużach!” - Ale właśnie chodzenie po kałużach było najprzyjemniejsze. No i oczywiście zbieranie kamieni. Czasem znajdował się taki przezroczysty - biały o fioletowawym odcieniu. Te były najcenniejsze, można było przez nie patrzeć na słońce - mleczną światłość! I tak mijały dni...

„Nie patrz ciągle w lustro, bo zobaczysz diabła!” - Jakże chciałam go zobaczyć, ile miałam w sobie ciekawości! Godzinami wpatrywałam się w swoje odbicie, aż rozmazywało się w plamę.

Chodziłyśmy na pola. Myślałam: on tu musi mieszkać - na pewno. W brudnych kanałach widziałam znów swoje odbicie, a za mną stał jeszcze ktoś. Gdy się odwracałam, już go nie było. Z gęstej zawiesiny wody wydobywała się niezgrabnie na brzeg ropucha. Potem siedziałyśmy godzinami na mostku. Pod tym mostkiem mieszkał szczur wodny. Co jakiś czas wypływał gdzieś i powracał. Byłyśmy całkowicie pochłonięte obserwacją tajemniczego rytuału.

Innym razem chowałyśmy się do bunkra. Była to nasza letnia rezydencja. Mała ruinka, wytrzeszczająca puste oczodoły okien. Mówiono, że gnieźdzą się tam żmije. Dlatego ludzie omijali ją z daleka. Była zresztą zarośnięta ostem i wszelkiego rodzaju zielskiem. Gdzieś musiało być to tajemnicze wejście do podziemia... Ale nigdy go nie znalazłyśmy.

Innym znów razem siedziałyśmy na stogu siana - najwyższym wzniesieniu wokohcy. Wtedy można było już prawie chwytać rękami chmur. Świat aż się prosił, żeby go poznawać, zagłębiać się w niego jakw arkana jakiejś tajemnej wiedzy.

„Czy jak będę szła długo, długo, to dojdę do tej linii, gdzie niebo dotyka się z ziemią?

- pytałam samą siebie. - Co jest za tą linią? Może tam właśnie on

ma swoje mieszkanie? Nie, nie... on żyje w tym wielkim przewróconym drzewie za bagnem. Szkoda, że nie można się tam przedostać”. „Gdybyśmy miały łódź...”-mówiła. Wracalam zmęczona, w powietrzu złościły się ostatnie promienie. W ciemnościach pokojów trzeszczała podłoga. On siedział w przeciwległym rogu i wpatrywał się we mnie, czułam to jak szorstki dotyk pająka. Znow próbowałam ze strachu wtopić się w ścianę...

Była jeszcze jedna przestrzeń, która należała do niego - piwnice. Bałam się, a jednak coś mnie tam nieodparcie ciągnęło. Na przekór pięknej jasności dnia. Byłyśmy tam umówione - pod schodami. Trzeba było wszystko dokładnie przedyskutować. Przy blasku świec cienie pająków wydłużały się i drgały nieprzyjemnie, aż przechodziły dreszcze.

„Musimy odszukać jego siedzibę - mówię. - Trzeba dotrzeć do granicy pól”. „To jest ogromnie daleko - mówiła.

- Nie damy rady”. „Zbudujemy wielki samojezdny wóz! - mówię. - Uda nam się!” Codziennie zbierałyśmy na skraju pól deski, odłamki starych mebli, druty, wszystko, co mogło się do czegoś przydać. Na noc przykrywałyśmy to stosem gałęzi. Mijało lato, praca była mozolna i długa. Pierwsza próba nie powiodła się, niestety, trzeba było zaczynać odnowa.

Dni stawały się coraz krótsze, coraz chłodniejsze powiewy wiatru wyrywały nam z rąk suchą trawę, rozwiewały gałęzie, którymi przykrywałyśmy z wierzchu wóz. Aż wreszcie, któregoś dnia nasz trud

dobiegł końca. Był to ostatni dzień lata. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy wypchnęliśmy drewniany wehikuł na środek drogi. Czekala nas długa podróż. Załadowaliśmy gromadzone od dawna zapasy. Po bokach dźwięcznie brzęczały pozawieszane dzwonki. Na sterującym dyszlu wisiała latarnia, mająca oświetlać nam drogę. Wsiadliśmy nawóz, złapałyśmy za przeciwległe końce w poprzek umocowanego kija i na zmianę poruszałyśmy nim w górę i w dół. Z wolna, z trzeszczeniem kół i dzwonieniem, w towarzystwie cykających świerszczy i rechoczących żab, ruszyliśmy w nieznane. Wciąż jeszcze jeździmy po świecie, nie mogąc nigdzie znaleźć horyzontu. Ucieka, chowa się przed nami. Ale kiedyś dotrzemy tam, do tej tajemniczej linii. Wtedy znajdziemy jego mieszkanie. A tam odkryjemy skarby i zdobędziemy wiedzę o największych sekretach świata. Leży tam na stole Księga Wieczystej Mądrości. Kto ją przeczyta, stanie się nieśmiertelny. A może horyzont to tylko olbrzymie lustro? A nasze odbicie w nim tak jest pomniejszone, że go nawet nie dostrzegamy?

Dość tych rozważań, muszę tymczasem zapalić latarnię, bo znowu zbliża się noc, przez którą trzeba jakoś przepłynąć.

Wiatr wydyma firankę. W czeluściach ciemnego pokoju leży mała dziewczynka. Jest zmęczona, cały dzień biegała po polach. Wpadła po kolana w błoto, potem bała się wrócić do domu. Teraz chciałaby jak najszybciej zasnąć, ale nie pozwala jej strach. Wśród ciemności czuje fosforyczne spojrzenie jakichś upiornych, obcych oczu. Obraca się

twarzą do ściany, klei się do niej, jakby chciała się w nią wtopić. Teraz jest jeszcze gorzej, dziewczynka ma wrażenie, że ktoś się nad nią pochyla, niemalże słyszy jego oddech. Z chwilą gdy lęk sięga szczytu, rozlega się gdzieś w oddali dźwięk dzwonków. Z początku bardzo nikły, z czasem zaczyna się nasilać. To już nie tylko dzwonienie, to cała gama trzasków, zgrzytowi chrobotania. Dziewczynka odwraca głowę, czuje, że nadchodzi wybawienie. Pokój wygląda teraz jak niezmiernie długi wąwóz. Na samym jego końcu migocze nikłe światło. Wokół robi się coraz głośniejsze i coraz jaśniejsze. Naraz obok łóżka dziewczynki zatrzymuje się wielki samojezdny wóz. Spośród kupy chrustu i zeschniętych liści wydobywa się czyjaś ręka i stawia na stoliku latarnię, po czym wóz rusza w dalszą drogę. Teraz dziewczynka nie boi się już i spokojnie zasypia.

Takie historie przychodzą mi czasem do głowy Niby opowiadanie, ale ciąży ku poezji. Przyznam się do najbardziej skrytego z moich marzeń: kiedyś chciałabym zostać poetką.

8 listopada

Grypa jak nagle przyszła, tak i z nagłą odeszła w niepamięć, nie ma już po niej śladu, poza czerwonym nosem i resztkami kataru. W sobotę wieczorem dałam się namówić na wyjście z Izką: poszliśmy na koncert Maleńczuka, a potem jeszcze na disco. Czasami dobrze jest się trochę rozerwać, a Maleńczuk to naprawdę niezły gość, ma zdrowy ogląd rzeczywistości, a i sAow potrafi zrobić całkiem niezłe. Mnóstwo facetów



chciało się z nami zaznajomić tego wieczoru - to ze względu na Izkę, ona działała na nich jak magnez (pewnie feromony strzelają jej uszami). Także i na mnie ten i ów zerkał tęsknym okiem, bo Izka zrobiła mi taki makijaż, że sama siebie w lustrze nie poznałam. My jednak wszystkich trzymałyśmy na dystans, niech nie myślą, że jesteśmy łatwe, trzeba się cenić (no, prawdę mówiąc, Izkę czasami musiałam przywoływać do porządku gniewnym spojrzeniem). W toalecie klubu działały się rzeczy rozmaite: handel narkotykami i spożycie na miejscu kwitnie. Że też policja nigdy tu nie wkracza! Nam też proponowano towar - do wyboru, do koloru. Trochę mnie to przygnębiło, więc w niedzielę wybrałam się dla odmiany do kościoła. Nie zaszkodzi się pomodlić za siebie, rodzinę i ten zepsuty świat. O dziwo, spotkałam tam Izkę i Marcina. Razem poszliśmy po mszy na spacer, rozsiedliśmy się we trójkę w parku na ławce, no i znowu rządymy - nikt nam nie podskoczy (chyba żeby się napatoczyła banda skinów, uznająca ławkę za swoją, wtedy na jej widok od razu byśmy wiali, przecież nie ma po co w głupi sposób kusić losu).

Dziś musiałam pójść do szkoły - najwyższy czas. Od klasy od razu powiało dojmującym chłodem, nauczyciele zaś powitali mnie serdecznymi gratulacjami. Chłopakom widocznie głupio było przez dziewczyny, więc gadają ze mną na przerwach, ale czuję, że się wytworzyła wokół mnie jakaś pustka, jestem na cenzurowanym. Trudno, przeżyję. Jedyne, co mnie ucieszyło, to widok Artiego na korytarzu. Nawet się do mnie uśmiechnął i pozdrowił skinieniem dłoni. Ciepło mi

się po serduszku rozlało. A więc jest nadzieja... Właśnie dziś po lekcjach odbyło się spotkanie z ludźmi z ośrodka. Arti przyszedł - całe szczęście, to mu da do myślenia.

A więc rzeczywiście szuka pomocy!

Miałam dzisiaj przejścia z dziadkiem od PO. Czasem wydaje mi się, że nauczycielem nie można być zbyt długo, bo po prostu palma odbija i już. Muszę przyznać, że bardzo nie angażuję się w te zajęcia, gdy mowa jest o technikach bandażowania i stopniach poparzeń (czwartego stopnia, kiedy „ze skóry robi się taki befsztyk”). Dziadek nie chciał mi jednak odpuścić i uparł się, bym położyła się u niego na biurku, a on zabandażuje mnie od stóp do głów jako egzemplarz pokazowy. Odpowiedziałam, żeby wziął chłopaka, bo nie chcę być przez nikogo obmacywana. To go wpiekliło, wlepił mi jedynekę i wyrzucił z klasy. A jak on świntuszy to musimy grzecznie słuchać jego wywodów, na przykład o gaciach cnoty które król zakładał królowej, jak szedł na wojnę, żeby się nie puszczała, a ona miała potem od tego lumbago (to wszystko mówił a propos kumpeli, która przy sprawdzaniu obecności nie stanęła na baczność, tylko wygięła się w pałak; belfer zaczął wtedy na nią wrzeszczeć: „A ty Baśka, co, lumbago masz?” i wyjaśniać, czym jest lumbago). Co ja teraz powiem mamutce? Nie przyznam się, znowu będzie sobie przecież włosy z głowy rwała i histeryzowała, że ją chcę do grobu wpędzić.

Chyba zresztą z dziadkiem trochę przegięłam, trzeba było dać się

zabandażować, jak mu na tym zależało. Za to z chemii dostałam troję. Uff! Już nie mam samych jedynek. Ciężki czasem ten uczniowski żywot, ale z drugiej strony nauczycielom też nie zazdrozczę. Ewcia, na przykład znów zaczyna szaleć, porobiła z włosami jakieś cuda, pofarbowała je na czerwono, nastroszyła na wszystkie strony, a to dlatego, że się teraz zadaje z takim jednym odlotowcem, który też ma takie włosy i jeździ harleyem. Dyrca, jak ją zobaczyła na korytarzu, tylko syknęła: „Albo zrobisz coś z tymi włosami, albo lecisz, tym razem nie żartuję”. A tu już nas szykują do próbnej matury..

9 listopada

W szkole nadal gęsta atmosfera - co ja takiego zrobiłam mojej klasie, że mnie nagle znienawidzili? Wszyscy odwracają się do mnie plecami, coś sobie szepczą na ucho, a Monia razem z nimi. Nie do wiary. Kochana Pani chce, żeby mi przyznano indywidualny tok nauczania. To ułatwiłoby mi przygotowania do olimpiady, mogłabym przygotowywać się sama, w domu. W szkole musiałabym pojawiać się tylko raz na dwa tygodnie. Przecież Praworządne spalą mnie na stosie! Tak więc uciekam coraz częściej w świat poezji i zastanawiam się, czy to przypadkiem nie przeradza się już w jakiś chorobliwy nałóg. Przepisuję do specjalnego zeszytu wszystkie moje ulubione wiersze, niektórych uczę się na pamięć. Grzebię w życiorysach poetów, żeby lepiej zrozumieć ich twórczość. Nie wszystkie utwory są dla mnie jasne, ale te, których nie rozumiem, stanowią największe wyzwanie.

Po powrocie ze szkoły zastaję w domu sytuację raczej dość odległą od poetyckich uniesień. Mamutce znów udało się mnie zaskoczyć, i to jak! Ostatnio wzięła parę dni urlopu i szykuje się na jakiś romantyczny wyjazd z panem Włodkiem (mną ma się zaopiekować babcia Sabina, od tygodnia siedząca już pewnie na walizkach - fajowo, będziemy jeść pierożki domowej roboty, mniam!, a nie, na przykład: kartofle, parówkę i keczup jako surówkę). Wchodzę do domu i oczom nie wierzę - mamutka ma nowy fryz! Wypisz wymaluj taki jak Ewcia, czyli piorun w miotłę strzelił, tylko kolor włosów jeszcze bardziej wściekle czerwony, w dodatku z fioletowawym odcieniem. Mama biega po mieszkaniu niczym opętana, czegoś usilnie szukając. Czyżby pan Włodek przesiadł się na harleya i teraz razem zamierzają podróżować po

Polsce w skórach i czarnych kaskach?

- Nie patrz tak na mnie! - wrzeszczy rozpaczliwie mamutka, i rzeczywiście odruchowo odwracam wzrok, bo widok jest wstrząsający i - co tu dużo mówić - odrażający. - Nie wiesz, gdzie ja podziałam swoją lodówkę, to znaczy chciałam powiedzieć: lokówkę? O Boże, Włodek będzie za pół godziny On nie może mnie zobaczyć w takim stanie!

- Coś ty narobiła? Który stylistę cię tak urządził? - pytam oburzona i gotowa dorwać go w swoje ręce. Toż to plama na honorze rodziny - staniemy się pośmiewiskiem dla całej okolicy!

- To nie żaden stylistę tylko cholerna odżywka według przepisu cioci Władzi! Przedobrzyłam z ilością białka, a zamiast oleju

rycynowego wlałam chyba jodynę czy nadmanganian potasu... Nie mam czasu ci teraz opowiadać, muszę to gównu teraz zmyć, a najgorsze, że nie chce schodzić! - Tak wzburzonej mamutki już dawno nie widziałam... Musi być z nią naprawdę źle.

W tym momencie słyszymy dzwonek do drzwi. Stajemy obie jak wryte, potem mamutka wieje w te pędy do łazienki, a ja, chcąc nie chcąc, otwieram. Pan Włodek się pospieszył...

- Dzień dobry Joanno, a gdzie Krystynka?

- Jeszcze nie wyszła z łazienki, niech pan usiądzie, zrobię herbaty. Mamy zieloną o smaku brzoskwiniowym albo czarną waniliową.

- Niech będzie waniliowa.

Tymczasem z łazienki dochodzą dziwne odgłosy jakby jęki rozpacz, więc włączam telewizor i zachęcam pana Włodka do wspólnego oglądania Szansy na sukces - akurat nadają powtórkę. Podkręcam dźwięk, „bo lecą fajne piosenki”, ale pan Włodek spostrzega moje zmieszanie i zaczyna podejrzewać, że coś jest nie tak.

- Joanno, chodź tu, proszę - z łazienki woła protekcyjnym tonem mamutka, a potem syczy do mnie w drzwiach: - Przynieś mi natychmiast nożyczki!

- O nie, co to, to nie - staram się protestować, ale mamutka tupie na mnie nogą, więc w końcu się poddaję.

Kiedy wreszcie zjawia się w kuchni, pan Włodek wylewa na siebie z wrażenia całą filiżankę herbaty. A myślałam, że w tym wieku człowiek

już trochę poważnieje...

10 listopada

Od kiedy zawitała w nasze progi babcia Sabina, w domu zapanował błogi spokój. Mamutce sprawiłyśmy na odjezdnym całkiem twarzową peruczkę - akurat była przeceniona, więc się nawet specjalnie nie wykosztowałyśmy. Na dworze jest już zimno, więc będzie miała zamiast czapki. Pan Włodek był zachwycony gdy nią przykryła swoją niemiłosiernie wyskubaną fryzurę (choć takie uczesanie podobno jest teraz w modzie). Nawiasem mówiąc, robienie cudów z włosami może czasem skutkować bardzo nieprzyjemnymi zdarzeniami. Przekonała się o tym moja krnąbrna kumpelka z klasy to znaczy Ewcia. Po tekście rzuconym na korytarzu przez wściekłą dyrcię postanowiła faktycznie coś zrobić z bałaganem na głowie. Otóż następnego dnia przyszła do szkoły odmieniona: oba boki wygoliła na łyso, tylko pośrodku zostawiła czerwony czub postawiony na irokeza. Od razu mogła spakować swoje rzeczy ponieważ poproszono ją o niezwłoczne opuszczenie szkoły. Moim zdaniem Ewcia tylko tego chciała, teraz pewnie zacznie nowe życie u boku swego harleyowca - może niczym Chylińska zostanie gwiazdą nowoczesnego rocka, a może pięknie stoczy się do rynsztoka? Pożyjemy, zobaczymy... Mimo wszystko szkoda, że już jej z nami nie będzie, przywiązałam się do niej i do jej wariactwa. Ona nie zwracała uwagi na to, jak kto się uczy, jak wygląda, chodziła własnymi ścieżkami i zadawała się z tym, z kim chciała, kto jej akurat przypadł do gustu,

niekoniecznie tylko z elitą. Elicie jako jedyna potrafiła się sprzeciwić, w gruncie rzeczy wszelkie układy były jej obojętne. Żyła na przykład w dobrej komitywie z Anulką-bidulką. To taka mała, chuderlawa istotka z pierwszej ławki, w wielkich okularach, z wiecznie przetłuszczonymi włosami związanymi w kitkę, chodząca w tym samym szarym sweterku od pierwszej klasy. Jednym słowem, bida z nędzą - nikt na nią nigdy nie zwracał szczególnej uwagi, chyba że się z niej podśmiewano, a robiły to także Praworządne (pewnie żeby się pocieszyć, że jest ktoś, kto wypada gorzej od nich - wybaczcie, drogie koleżaneczki, tę drobną złośliwość). Jedyna Ewcia wiedziała coś o Anulce, o jej fatalnej sytuacji w domu - kiedyś coś mi na ten temat napomknęła: ojciec Anulki to pijak, bijący żonę i dzieci, a w domu panował głód, grzyb rósł na ścianach... Właściwie to powinnam kiedyś wreszcie sama podejść do Anulki na przerwie i z nią zagadać - teraz ja też jestem „klasowy margines”, a to sprzyja bliższej znajomości.

Babci Sabinie opowiedziałam o sytuacji w klasie (bo mamutce wolałam nic nie mówić, żeby jej nie denerwować - znając ją, zaraz by poleciała do budy robić awanturę, że jej córeczce dzieje się krzywda, a to tylko pogorszyłoby sprawę). Babcia powiedziała tak: „Te wszystkie Praworządne, jak je nazywasz, nie powinny cię wiele obchodzić, niech mówią sobie, co chcą, ale moim zdaniem szkoda przyjaźni z Monia. Ja bym na twoim miejscu pierwsza wyciągnęła rękę na zgodę. Coś trzeba zrobić, żeby rozładować sytuację, myślę, że Monia dosyć szybko

przełamie niechęć, jeśli ją po prostu w przyjazny sposób zaczepisz”. To jednak nie jest dla mnie takie łatwe, mam wrażenie, że to ja jestem pokrzywdzona, a zatem nie do mnie należy zrobienie pierwszego kroku. Jednak wiem: nie ma na świecie mądrzejszej osoby od babci Sabiny i skoro ona tak mówi, to znaczy, że tak ma być i już. Postanowiłam napisać do Moni list. Tutaj, na kartach mojego pamiętnika, najlepiej formułuje mi się myśli, więc piszę go na próbę, a potem przepiszę na czysto i wyślę.

Kochana Moniu (o ile mogę tak się do Ciebie jeszcze zwracać, ale mam nadzieję, że tak)!

Bardzo martwi mnie sytuacja między nami. Jest mi niezmiernie przykro, że nie możemy wspólnie przygotowywać się do dalszych etapów olimpiady, myślę jednak, że to tylko jeden z wielu konkursów, w którym jedna z nas ma po prostu szczęście, a druga pecha, i że taki konkurs nie może być przecież ważniejszy od naszej przyjaźni. Nie chce mi się wierzyć, że wszystkie nasze zwierzenia i rozmowy, wszystkie wspólne sprawy tak łatwo można przekreślić z powodu jednego Twojego niepowodzenia, które nie stało się również moim. To chyba wpływ Praworządnych, Ty przecież taka nie jesteś, nie było nigdy w Tobie zawiści... Nie chcę Cię odciągać od Twoich nowych koleżanek, ale ze mną mogłabyś chociaż porozmawiać, bo właściwie nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, i snuję jedynie różne domysły Bardzo mi brakuje naszych rozmów. Proszę, nie brnijmy dalej w ten absurd, chyba już pora,



żeby się opamiętać. Poza tym potrzebuję niezwłocznie Twojej pomocy w chemii, sama nie udźwignę tego ciężaru, a Ty masz przecież najlepsze oceny z klasy - teraz widzisz, jaka jestem interesowna. Mimo to nie odwracaj się do mnie plecami, pogódźmy się i wróćmy do dawnego stanu rzeczy. Jeśli to niemożliwe, przynajmniej mówmy sobie „cześć”. W każdym razie ja zapraszam Cię do siebie na pojedynczą kawę i przepyszny placek z jabłkami babci Sabiny (ona też chętnie by się z Tobą spotkała - właśnie gości u nas przez tydzień, a bardzo mile Ciebie wspomina).

Pozdrawiam Cię serdecznie i przepraszam, jeśli nieświadomie zrobiłam Ci coś złego. Twoja Zośka

Hm, to dowód pokory, na jaką rzadko mnie stać. Czy Monia to doceni, zrozumie, przyjmie? A co tam, zaryzykuję!

12 listopada

Wczoraj miałam dzień wolny z okazji święta narodowego, więc zabrałam się za przygotowania do olimpiady Skupiam się na literaturze współczesnej - to mój konik.

Dobrze jest zajmować się tym, co się lubi. Nauczyłam się także kilka łacińskich słówek, ale potem nagle blade słoneczko wyjrzało zza jesiennych chmur i wyciągnęłam na spacer oporne, leniwe zwierzę, czyli Boniego. Do głowy by mi nie przyszło, czym się ten spacer skończy. Że też ciągle spotykają mnie takie nieoczekiwane zajścia. Chciałabym w jakiś sposób pokierować swoim życiem, ale ono biegnie własnymi

torami i wcale moich planów nie bierze pod uwagę.

Na spacerze spotkałam Marcina. Włócząc się, opowiadałam mu o swoich problemach z klasą. Powiedział, że niepotrzebnie się przejmuję, bo mam wokół siebie ludzi, którzy szczerze mnie lubią i nie jestem sama. Żeby nie było wątpliwości, dodał, że ma na myśli także siebie, i spojrzał się na mnie tak jakoś... Nagle poczułam się nieswojo, pierwszy raz w jego obecności nie wiedziałam, jak się zachować. Cisza, która między nami zapadła, ciążyła mi tym razem niesłychanie, zaczęłam więc opowiadać jakieś bzdury gdy naraz poczułam rękę Marcina na swoim ramieniu. Zatrzymał mnie, odwrócił do siebie i... stało się to, czego podświadomie spodziewałam się od dawna - pocałował mnie. Nie chcę być banalna, więc nie będę rozwodzić się nad dreszczami, które czułam na całym ciele, i tym podobnymi sprawami. W jednej chwili w moim mózgu rozegrała się kompletna rewolucja pod tytułem: radykalna zmiana oglądu rzeczywistości. Przecież Arti był zupełną mrzonką, wymysłem, pretekstem, stworzonym tylko po to, by odsunąć myśl o Marcinie, stłumić jak najbardziej coś, co od tej pory mogło sobie spokojnie drzemać w mojej głowie, jednak przyczajone, gotowe do wypłynięcia na powierzchnię, jeśli tylko nadarzy się stosowna ku temu okazja. Chodziło o to, żeby uwikłać się w coś zupełnie nierealistycznego, niemożliwego, co całkowicie pochłonęłoby moją energię, nie dając szansy na spełnienie. W ten sposób mogłam nie myśleć o czymś realnym, co się dzieje tuż obok, o czymś oczywistym - może zbyt oczywistym...

Oszukiwałam samą siebie, myśląc, że istnieje między chłopakiem i dziewczyną coś takiego jak czysta przyjaźń! Nigdy w to przecież tak naprawdę nie wierzyłam!

Pocałowaliśmy się jeszcze raz na pożegnanie. Było w tym dużo delikatności, namiętności... A potem pomyślałam:

O Boże, a jeśli jutro Marcin znowu się opancerzy uzna to z charakterystycznym dla siebie cynizmem za chwilę słabości, o której należy zapomnieć, zacznie się śmiać?”. Ogarnęła mnie panika. Może wyprzedzić jego reakcję i samej uznać zdarzenie za niebyłe, zbagatelizować je, wrócić do poprzedniego stanu rzeczy? Ale czy można do tego jeszcze wrócić? Nie, to już niemożliwe. Zasnęłam z wielkim niepokojem w sercu. Dzisiaj napatoczyłam się na Marcina z samego rana na dolnym korytarzu, gdzie kręci się o tej porze niewiele osób. Wpatruję się w tę jego parszywą, a teraz także kochaną gębę - uśmiech niby cyniczny jak zawsze, ale spod tego uśmiechu wyziera coś nowego.

- No i co taka spanikowana, maleńka?! Dzień dobry, maleńka, jak ci na imię? Zgubiłaś się w tym tłumie... - Marcin, tak jak ja, lubi gadać słowami starych piosenek. - Skąd ten strach, aż żal na ciebie patrzeć! Idziemy precz z tej wstrętnej budy, jeszcze uda nam się wymknąć. Wiesz, musimy korzystać z wolności, bo jak nas kiedyś wbiją w garniturki, dadzą służbowe komory i bryki, jak nam dzieci zaczną płakać i wołać jeść, to już za wysoko nie podskoczymy Naprawdę, zobaczysz, jak cię jeszcze kiedyś proza życia wbije w ziemię!

- Cóż mogłam odrzec na takie dictum... Zwłaszcza że indywidualny tok nauczania już mi oficjalnie przyznano, więc trzeba go było inaugurować.

Inauguracja całkiem się udała, choć nie tego się uczyłam, czego powinnam była... Zupełnie nie tego... Wybaczcie, belfrzy, wybacz, kochana Pani! Pewnie poważnie nadszarpuję wasze zaufanie - miała być ze mnie odpowiedzialna, sumienna uczennica. A ja tymczasem szwendałam się po mieście (zdaje się zresztą, że widziała nas przez przypadek matema-tyca, ale to nic, co mnie to dziś obchodzi!), wyczyniałam jakieś cuda - na przykład zaczepiałam z Marcinkiem obcych ludzi, wręczając im kwiaty „pożyczone” wcześniej spod jakiegoś pomnika, kłaniając im się w pas i życząc dużo szczęścia na nowej drodze życia. Wymyślaliśmy najróżniejsze absurdy, przechodząc samych siebie. Prawdę mówiąc, byliśmy po kilku piwkach. Pierwszy raz się zdarzyło, że tyle wypłam. Babcia Sabina patrzy na mnie teraz bardzo podejrzliwym okiem.

- Coś ty taka wesoła? Czy w szkole rozpylono wam dzisiaj gaz rozweselający? Pewnie trochę się domyśla, o co w tym wszystkim może chodzić. Chyba muszę wpakować ją i siebie jak najszybciej do łóżka. Marcinku, zielono mam w głowie i fiołki w mej kwitnął Tak się wiosennie zrobiło w tym listopadzie, że ho, ho! A co będzie, jak nadejdzie prawdziwa wiosna?

13 listopada

Jeszcze się nie zdążyłam oswoić z nową sytuacją, a tu kolejny szok, zupełnie szokujący szok! Nie znajduję słów - świat po prostu zwariował, tempo niespodzianek przerasta moje najśmielsze oczekiwania - czyżby to miało oznaczać wchodzenie w dorosłość...?

Dziś po lekcjach przyszła do mnie na obiecaną kawę Monia. W szkole podeszła do mnie, wyciągnęła rękę na zgodę i podziękowała za list. Od razu się umówiliśmy na popołudnie. (Uff, a więc doceniła mój gest - natychmiast odzyskuję wiarę w ludzi). Najpierw usiadliśmy z babcią Sabiną, która o wszystko musiała się wypytać: jak przygotowania do matury, którzy belfrzy najbardziej dają się we znaki, jakie przedmioty będziemy zdawać, gdzie wybieramy się na studia i tak dalej. Babcia przede wszystkim wypytywała Monie, bo mnie już wcześniej zdążyła solidnie przemaglować. Wreszcie zaspokoili swoją ciekawość, udzieliła nam kilku cennych rad (na przykład na temat sprawdzonych niegdyś przez nią, niezawodnych technik ściągania na sprawdzianach) i pozwoliła nam przenieść się z jadalni do mojego pokoju. Zapraszam więc Monie do siebie. Widzę, że jakoś się ociąga, proszę więc, żeby jak zawsze czuła się tu jak u siebie w domu. Ale psiapsiuła nie rzuca się tym razem na moje łóżko, nie woła do siebie

Boniego, żeby go wygłaskać, jest jakaś osowiała. Przeprasza mnie za swoje głupie zachowanie, a ja mówię jej, że już się nie gniewam. Naprawdę cieszę się z jej wizyty Czuję jednak, że coś jest nie tak, i rzeczywiście - coś jest nie tak. Monia długo milczy, siedząc na brzegu

łóżka ze spuszczoną głową. W końcu odzywa się:

- Muszę ci coś wyznać. Nie rozmawiałam z tobą nie dlatego, że zazdrościłam ci olimpiady. To znaczy na początku tak, ale później to już był zupełnie inny powód. Ty jesteś ta mądra, zdolna, nie tylko wtedy, gdy wygrywasz w konkursie polonistycznym, chociaż sama nie wiesz, na jakie studia chcesz zdawać. Może w końcu wybierzesz się na ekonomię, a ja jestem zdecydowana i mnie się nic nie udaje...

- Nie przesadzaj - wtrącam trochę poirytowana. - Zawsze wszystko wyolbrzymiasz! Co to znaczy: „nic się nie udaje”? Potrafisz robić mnóstwo rzeczy, najczęściej to ty jesteś lepsza, a tym razem wyjątkowo mnie się coś udało. Czy ja już nie mam do tego prawa?

- Może i wyolbrzymiam, jestem rozżalona, ale nie na ciebie, tylko na los. Spłatał mi figła, nieźle namieszał mi w planach... Będę miała dziecko.

- Że jak???

Nie wierzę własnym uszom! Mogłam podejrzewać różne rzeczy, tylko nie to. Jak

Monia czuła się przed chwilą, odpowiadając babci Sabinie, robiąc dobrą minę do złej gry, przedstawiając plany które nijak mają się do rzeczywistości? Zrobiło mi się głupio.

Monia nie chciała się ze mną dzielić tą wieścią, podobno nie mogła się w żaden sposób przełamać - tyle razy zastrzegła się przecież wobec mnie, że jej na pewno coś takiego by się w życiu nie przydarzyło, bo z

tymi sprawami jeszcze zaczeka. Najpierw chciała skończyć studia, zdobyć pracę, zrobić karierę... O dziewczynach z brzuchem wyrażała się raczej pogardliwie i z politowaniem. Miała w planach Jagiellonkę, a teraz musi o tym zapomnieć. Nie wie, jak to się stało, po prostu sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Boi się o swoją przyszłość, ale zdecydowała się rodzić. Musi jakoś sobie ułożyć życie. Z kim? Z Radkiem, no tak, oczywiście. On jeszcze nic nie wie. Monia ma obawy, że on nie sprosta temu zadaniu, i pewnie jej rodzice będą dźwigać ciężar odpowiedzialności. Może nawet zaopiekują się dzieckiem, a jej zapłacą za jakieś zaoczne studia. Co za bigos! Ale trzeba przecież - jak zawsze - szukać pozytywów. Pocieszam więc Monie, że to nie koniec świata, bo plany da się na pewno zrealizować, tylko później, a teraz spotka ją coś cudownego, może znacznie lepszego i cenniejszego niż studia, choćby to miał być sam Oxford. Oby tylko dziecko było zdrowe, to naj-ważniejsze! Mimo wszystko - chociaż tak mądrze wypowiadam się na ten temat - jest to dla mnie tak naprawdę coś zupełnie odległego, abstrakcyjnego, coś, o czym w ogóle jeszcze nie myślę i w duchu - wstyd się przyznać - cieszę się, że to nie mnie się przytrafiło. Podła ta ludzka natura, wiem. Dobrze, że u nas w budzie te rzeczy tolerują, przynajmniej tu nikt nie powinien robić Moni pod górkę. Maturę zda na pewno. A potem... No cóż, ja, jak będę miała czas, chętnie się pobawię w ciocię, pobiegam z wózkiem na spacerki. Deklaruję Moni swoją pomoc, a ona z góry mi dziękuje. Widzę, że troszkę jej poprawiłam humor - to dobrze.

14 listopada

Chciałam się dziś uczyć, ale na Urokliwej ostatnio nie jest to łatwe. Niby taka spokojna uliczka, a dzieją się na niej różne cuda. Kolejne próby skupienia się na nauce przerywały tajemnicze okrzyki dochodzące z dołu. Próbowałam się skoncentrować, zakładając na uszy słuchawki, ale wtedy rozpraszała mnie muzyka i natychmiast zaczynałam myśleć o Marcinie. A tak przy okazji, co on sobie wyobraża, że go jeszcze tutaj nie ma? Ach, ci mężczyźni - jak tylko zaspokoją instynkt zdobywcy, zaraz spoczywają na laurach. A może już ogląda się za inną? Wracając do okrzyków... w końcu nie wytrzymałam (Bóg mi świadkiem, że robiłam wszystko, żeby nie wstać od biurka, niestety, nie dało się).

Wyglądam przez okno, a po chodniku - hmm, jakby to określić... - turlają się? pełzają? robią fikołki?... Mariolka i Ilonka. Zawsze były wariatkami, ale żeby takie akrobacje wyczyniać na oczach wszystkich sąsiadów... Widzę, że naprzeciwko sterczy w oknie Izka i oczom nie wierzy Dałyśmy sobie znak, że schodzimy na dół. Witamy się z naszymi kochanymi koleżankami, one rzucają się nam na szyję, obcałowują ze wszystkich stron, a czuć od nich na kilometr.

- Coście piły? - pyta Izka tonem śledczego.

- Znalazłyśmy u Ilonki na stryszku taką flaszeczkę... - odpowiada, chichocząc, Mariolka.

- Jedną? - ciągnie śledztwo Izka.

- No nie, było ich troszkę więcej.



A więc to tak! Postanawiamy zaciągnąć rozweselone koleżanki do Izki - pani Wiesia się nie zgorszy, a babci Sabinie lepiej tego oszczędzić. Próbujemy doprowadzić je do porządku przez jakieś dwie godziny, słuchając niemiłosiernych bzdur. Pytam, czemu tak się pokładały na ulicy Mariolka tłumaczy mi więc, że cały czas próbowała zawiązać sobie but, ale gdy tylko się schyliła, przewracała się do tyłu, a potem Ilonka robiła kozła przez nią, bo nie patrzyła pod nogi. Opowieść kończy się kolejną salwą śmiechu, a pani Wiesia łapie się za głowę. W końcu postanowiłyśmy, że włożymy im głowy pod prysznic, bo inaczej do rana się ich nie pozbędziemy. Po kąpeli trochę otrzeźwiały i mogłam odprowadzić je pod dom, niech już dalej rodzina się z nimi męczy. Skaranie boskie!

Wracam do siebie i z radością w sercu spostrzegam, że pod moją klatką schodową stoi Marcin. Wreszcie! Jak można skazywać kogoś na tak długą mękę czekania! Już miałam zacząć wymówki, gdy zauważyłam, że jakoś dziwnie się ode mnie odwraca, w taki sposób, żebym jego facjaty nie ujrzała przypadkiem w całości. Zmusiłam go w końcu do pokazania całej buzi i zobaczyłam, że jest nieźle obita - oko podbite, śliwa na pół twarzy. Niech ktoś zatrzyma wreszcie czas, ja wysiadam...

- Zrozumiałabym, że Mariolka i Ilonka mają śliwki pod oczami, bo jak się człowiek tarza po chodniku, przydarzają się mu różne rzeczy ale ty.. Nie wyglądasz na nietrzeźwego. Tylko nie opowiadaj, że nadepnałeś

na grabie.

- O czym ty mówisz, Jośka? Co mają do tego Mariolka i Ilonka i dlaczego miałbym się tarzać po chodniku albo deptać po grabiach? - pyta Marcin.

- Nieważne - odpowiadam.

15 listopada

Sprawa się wyjaśniła. Marcinek, szczęśliwy z powodu, że się ośmielił wyznać mi swoje uczucie - w gruncie rzeczy to bardzo nieśmiały chłopak, teraz dopiero sobie to uświadomiłam - dał się namówić kumpłowi, a mojemu koledze z klasy, Bolkowi, do pójścia na mecz trzeciej czy czwartej ligi. Moim zdaniem, sądząc z jego relacji, musiało to być raczej dość żałosne widowisko, za to kibice nieadekwatnie zaciekli. Biedak dostał się w samo centrum zadymy i przypadkiem oberwał, sprytny Bolek w porę zaś się ulotnił i dzięki temu uszedł cało. Oto zatem stoi przede mną żądny nowych wrażeń i bezpośrednich doświadczeń życiowych człowiek! A ja mam teraz być jego sanitariuszką! W każdym razie zmusiłam go, żeby mi obiecał, że już więcej nie będzie się włóczył, gdzie nie trzeba, i to beze mnie! Skąd ten pociąg do prymitywizmu? Chyba nie z nudy? Swoją drogą faceci - mam na myśli tych, pożałuj, Boże, kibiców - nie powinni rozstawać się z maczugami - to najwłaściwsze narzędzie w ich rękach. Co innego kobieta - jak nie ma nic lepszego do roboty dzierga. Jest na wyższym stopniu ucywilizowania. Mogę się zresztą mylić, nie znam się na

uogólnieniach, ale, bądź co bądź, nie słyszałam o kobiecie, która by wieczorem czaiła się w krzakach i gwałciła mężczyzn wracających z pracy. No dobra, dosyć tych dywagacji. Marcinowi muszę przypudrować oko, do wesela się zagoi.

18 listopada

Triumfalny powrót mamutki. Na Mazurach było bosko. Aha, zapomniała mi napomknąć przed wyjazdem, jaki był powód tej eskapady. Mama podczas owego romantycznego tygodnia wyszła za mąż za pana Włodka. Właściwie celowo nic mi na ten temat nie mówili - to miała być niespodzianka! Rzeczywiście, niespodzianka... Najważniejsze, że mamutka dobrała sobie fryzurę odpowiednią do okoliczności!

Trochę mi się mimo wszystko zrobiło smutno, choć staram się zrozumieć ich punkt widzenia. Po prostu chcieli świętować bez świadków i szumu.

Ale jak tak, to ja jej o Marcinie też nic nie powiem. Zwłaszcza że ona zawsze odnosiła się do niego z rezerwą, nie wiem właściwie dlaczego. Pewnie myśli, że Marcin odciąga mnie od nauki. Cóż, nie można jej odmówić pewnej racji. Za to babcia Sabina zauważyła, uśmiechając się pod nosem, że ten sympatyczny kolega często u mnie bywa, ale ona mamutce nie będzie donosić, spokojna głowa...

19 listopada

Babcia Sabina nie będzie kablować, ale matematyka owszem. Zapomniałam o dzisiejszej wywiadówce. Mamutka wróciła z niej

wściekła. Dowiedziała się, że z Marcinem włóczę się w czasie lekcji po mieście w podejrzanym wesołym humorze. W rezultacie: „ten osobnik ma zakaz wstępu do naszego domu”, a poza tym jak go mamutka u nas zobaczy to „psem poszczuje”, Dodała, że jesteśmy

„nieodpowiedzialni gówniarze”, bo „zamiast myśleć o studiach, to głupoty nam w głowie”. Według mamy zajmuję się drukowaniem „wypocin w jakimś szkolnym szmatławcu zamiast chemią i biologią, których mój zawężony umysł chyba nigdy nie pojmie, więc może wreszcie zacznę wkuwać, bo nie mam innego wyjścia jak wyryć wszystko na pamięć”. Jej w moim wieku nie było tak lekko, oprócz nauki musiała opiekować się młodszym rodzeństwem, a i tak w klasie była ze wszystkiego naj - lepsza. „Rozumiesz?!” - krzyczała mama. „Tak, tak, rozumiem - ze wszystkiego najlepsza”. A co ma znaczyć ta jedynka z PQ to ona już w ogóle nie rozumie i nawet nie chce rozumieć i tak dalej...

Pan Włodziu - teraz po prostu Włodek, który z nami zamieszkał - tym razem zaszył się w kąciaku i ani mru-mru. Dał się usidlić i przestał szarżować - racja, lepiej nie wychodzić przed szereg!

- Mamo, a mówili tam o mnie też coś pozytywnego? Że, na przykład, reprezentuję szkołę na ogólnopolskim szczeblu olimpiady z języka polskiego i że otrzymałam dzięki temu prawo do indywidualnego toku nauczania?

- No... tak, zdaje się, że coś tam było pod koniec na ten temat... Nie

mam pewności. Ale ty się tą olimpiadą nie zasłaniaj! W chemii ci to nie pomoże! Ten indywidualny tok w twoim przypadku jest niebezpiecznym eksperymentem, ja bym im odradzała! Co ją dzisiaj napadło, nie wiem, ale mamutka sprawiała wrażenie, jakby za coś musiała się na mnie wyżyć. Na me-nopauzę chyba jeszcze za wcześnie? Zgodnie z kwestią Woody'ego Allena w filmie Tajemnica morderstwa na Manhattanie, którą wypowiada do swej partnerki, Dianę Keaton, powinna sobie zostawić trochę szaleństw właśnie na meno-pauzę, a ona ostatnio wyczerpuje wszelkie limity O Boże, przecież to jest menopauza! W tym wieku... właśnie... w tym wieku to się zaczyna! Może poskarżyć się tatusiowi, to pozwoli mi zapakować walizeczkę i fruuu razem z nim... U niego będę musiała niańczyć młodsze rodzeństwo i mamutka nie będzie mogła mi wypominać, że w młodości miała gorzej. Przyznam, iż przez moment byłam tak zła na jej nierozsądne gadanie i na niesłuchanie moich tłumaczeń, że miałam ochotę wyjść, trzasnąć drzwiami i udać się prosto do Marcina - nie byłaby przecież w stanie mnie powstrzymać! Potem pomyślałam jednak: każdy ma w życiu lepsze i gorsze dni, to tak jak z pogodą. Pewnie ten należał dla niej do tych gorszych. Schowałam się więc w swojej kanciapie i tu staram się przeczekać złą pogodę. Jutro na pewno zaświeci słońce!

22 listopada

I zaświeciło. Następnego dnia przeprosiłyśmy się z mamutką i było wszystko w porządku, nawet wiadomość o mnie i o Marcinie jakoś

przełknęła - musiałam się przyznać, przecież i tak szybko by się połapała. Przyjęła tę wieść w miarę spokojnie, musiałam jej tylko przyrzec, że więcej niczego nie zawałę, poprawię wszystkie jedyńki i wtedy zacznę przygotowania do olimpiady Zasadniczo jest to jakiś plan.

Tymczasem dostałam zaskakujący list. Napisała do mnie Ewcia, która chciała w ten sposób dać jakiś znak życia i jednocześnie pożegnać się z klasą, bo wcześniej nie miała okazji. Miałam przekazać wieści od niej (ciekawe, może będzie to pretekst do przełamania lodów?) i powiedzieć klasie PPNW („pa, pa na wieki” - jak to wyraził smutny Tygrys w Kubusiu Puchatku, odchodząc od swych przyjaciół na poszukiwanie tygrysiej rodziny). Ewcia zrobiła to w swoim szczególnym stylu, dlatego też najlepiej zrobię, jeśli po prostu przytoczę jej list w całości. W ten sposób ocalę go od własnego, a może i cudzego zapomnienia. Doprawdy wart jest zapamiętania. A oto on:

Bruksela, 17 listopada

Witaj, kumpelko!

No i zobacz, gdzie wylądowałam! Dotarłam do Brukseli następnego dnia po moim zasmucającym (tylko nie wiem, dla kogo bardziej - dla mnie czy dla dyrci) odejściu ze szkoły. Mieszkam tu z Witkiem - to ten kudłaty na harleyu (Ta-rantino - pamiętasz tekst Willisa: „To nie motor, to harley!” - też mnie to podnieca...). Wynajmujemy tu małą rudere, oboje dostaliśmy też robotę. Witek na wyższej akademii... kible szoruje (a żebyś wiedziała, jak te profesory

studenty potrafią je uświnić, szkoda słów), fa niańczę dwójkę rozkosznych dzieciaczków państwa Ambłas (za cholere nie wiem, jak się pisze ich nazwisko), tylko nie pytaj, jak oni wszyscy mają na imię, wżyciu nie zapamiętam! No cóż, dzieci jak to dzieci: grzeczne, spokojne, dlatego nigdy nie wiem, które uspokajać pierwsze. A rodzice? Cóż, rodzice jak to rodzice, robią dzieci, tylko potem nie bardzo wiedzą, co z nimi robić. Oprócz tego, że troszczę się o aniołki, również gotuję. Jakimś cudem jeszcze ich nie otrułam, lecz na wszelki wypadek nie chwałę, zresztą, może i chwałę, ale po francusku, to jak mam coś zrozumieć? A propos, Ambłasowie wysłali mnie na kurs francuskiego dla cudzoziemców, mam się nauczyć ich dziwnego języka. Do moich obowiązków należy też pranie, prasowanie i sprzątanie. Nie mam tu na szczęście „obowiązkówmałżeńskich”, te nadal zamierza spełniać pani Ambłas. Wyraźnie spodobałam jej się na pierwszy rzut oka, pewnie dlatego, że z takim wyglądem nie stanowię dla niej konkurencji, nie musi się obawiać, że mąż będzie ją zdradzał z młodszą. Gorzej z dziećmi - przez pierwsze dwa dni okrutnie wyły na mój widok i w żaden sposób nie mogłam ich uspokoić. Wtedy wpadłam na pomysł, że mogą moją glacę pomalować farbami, i tak się zaprzyjaźniliśmy (no, powiedzmy...). Najgorsza sprawa wynikła przed wyjazdem z moją matką: rozpaczała, chciała mnie zatrzymać, ale wiesz, nikt niczego mi nie zabroni, a jak próbuje, osiąga zupełnie odwrotny efekt do zamierzonego. Wpadłam na pomysł, że może Ty dałabyś się jej zaadoptować, jesteś porządna, dobrze

się uczysz, byłaby zadowolona... No dobra, wiem, że to niemożliwe, fak ją spotkasz, to spróbuj jej wytłumaczyć, że nie wyjechałam na wieki wieków, chcę tylko trochę grosza uciuć. Spodziewaj się jednak, że matka i tak będzie tragizować, zobaczysz, ten typ tak ma.

Joško! Pozdrów ode mnie klasę, Praworządnym powiedz, żeby się już nie wygłupiały. Pożegnaj ich ode mnie. Przekaż szczególne pozdrowienia Anulce, może ją zresztą tutaj ściągnę - ktoś musi ją wyciągnąć z tego jej domowego bagna. Trzymaj się ciepło - E.

Do listu Ewcia dołączyła nawet kilka zdjęć... wyciętych z gazety i odpowiednio opisanych, na przykład widok jakiejś typowo menelskiej dzielnicy z wrakiem spalonego samochodu na pierwszym planie i z dopisanym przez nią komentarzem, że to urokliwa okolica, w której teraz mieszka. Było też zdjęcie George'a Busha z dopiskiem, iż to jej nowy kolega - bardzo miły inteligentny i czytany Ach, ta Ewcia, i jak tu jej nie lubić!

23 listopada

Usiłowałam dziś porozumieć się z klasą, chciałam przekazać wszystkim pożegnanie od Ewci, ale okazało się, że sprawa wygląda gorzej, niż myślałam. W końcu Radek przełamał się i mówi do mnie na przerwie:

- To ty nic nie wiesz? Praworządne of icj alnie protestowały przeciwko tobie na godzinie wychowawczej. Nie życzą sobie, żebyś była dalej tak faworyzowana, i chcą, by cię traktowano na równi z innymi, bo



nauczyciele zawyżają twoje oceny i tak dalej.

Jak to usłyszałam, z nerwów poczułam nieprzyjemne ssanie w dołku, ale co mam zrobić, chyba trzeba być ponad to. Potem przyszła do mnie jeszcze Monia, przeproszać za ich zachowanie. Postukałam się tylko palcem w głowę i mówię do niej, żeby dała sobie spokój.

Izka przekazała mi natomiast nowinę o Artim - mój Boże, zupełnie zapomniałam o tym biednym chłopaku - trafił do zakładu! Uff! Pod szkołą spotkałam dziś zresztą Blondi - pewnie na mnie czatowała. Zaczęła mi dziękować za pomoc, ale nie wydaje mi się, żebym ja miała w tym jakiś udział. Zresztą, przed Arturem jeszcze długa droga, oby z niej nie zszedł.

Pod koniec lekcji podeszłam dziś do Anulki - musiałam spełnić życzenie Ewci, poza tym sama miałam już od dawna ją zaczepić. Pokazałam jej list. Bidulka przeczytała go i uśmiechnęła się.

- To cała Ewcia, wiecznie czymś zaskakuje! Chciałabym być taka niezależna i odważna jak ona. Zawsze ma własne zdanie, niczego nie da sobie narzucić, a w dodatku ma takie fantastyczne pomysły, że... - w jej głosie wyraźnie brzmiał bałwochwalczy zachwyt dla niepokornej koleżanki. Ona sama była zaledwie cieniem, i to bardzo bladym.

- Hej - mówię - bądź sobą! Niepotrzebnie chcesz się z nią utożsamiać, ona jest po prostu inna i ty jesteś inna.

- Może masz rację...

Widać, że Anulka kompletnie nie wierzy w siebie. Patrzą na te jej

wielkie okulary, zupełnie niemodne, na jej przetłuszczone włosy związane w kitkę nieodłączną różową frotką, na pozaciągany sweterek i nagle robi mi się jej żal. Musi czuć się w naszej klasie dużo bardziej osamotniona niż ja, nikt przecież z nią nie gada i nigdy nie gadał. Jedna Ewcia. Wszyscy się z niej wiecznie naśmiewają, ja kiedyś też... Wstyd się przyznać, ale też mam coś na sumieniu - na początku szkoły trochę dałyśmy się jej z Monia we znaki. Teraz przyszedł moment, żeby to naprawić, przeprosić, a przynajmniej po ludzku porozmawiać. Zapraszam więc Anulkę do siebie na kawę. Gdy wychodzimy ze szkoły kątem oka spostrzegam grupkę Praworzędnych pod ścianą. Widzę, jak głupio chichoczą na nasz widok - nie dość, że jeden klasowy wyrzutek koleguje się teraz z drugim wyrzutkiem, to jeszcze idąc obok siebie, wyglądają jak Flip i Flap: Anulka jest bardzo niska, ma metr pięćdziesiąt w kapeluszu, ja natomiast 179 cm (dzięki temu do niedawna trenowałam koszykówkę, ale ze względu na stawy dałam sobie spokój; zresztą także mamutka maczała w tym swoje paluchy, bo obawiała się o moje zdrowie). Anulka też dostrzega rozchichotane kłębowisko czarownic, przeprasza mnie, próbuje się wycofać z zaproszenia. Nie chce mnie narażać na śmieszność, pragnie mnie od tego uchronić. Kto jak kto, ale ona najlepiej wie, jak to boli. Tylko wzruszam ramionami i śmieję się do niej głośno. Pod ścianą ucichło - rozczochańce-malowańce (Praworzędne ostatnio zaczęły miewać objawy czegoś, co ma przypominać dbanie o swój wygląd, łącznie z przyklejanymi pazurami,

którymi można by zdrapać komuś z połowę twarzy) chyba trochę zbiłyśmy z tropu.

Jeśli chodzi o Anulkę, okazało się, że nie tylko jest bardzo sympatyczna, ale także ma specyficzne poczucie humoru. Nie naśmiewała się z nikogo, a mimo to usłyszałam od niej na temat różnych osób bardzo wiele trafnych, dowcipnych uwag. Potrafi obserwować i wyciągać wnioski, jest bystra. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy

Bardzo zainteresowała ją olimpiada, wszystko chciała wiedzieć na ten temat - czyżby kochana Pani coś przeoczyła?! O poezji pogadałyśmy że aż miło! Szymborskiej broniła, gdyż ja nie bardzo przepadam za twórczością Pani babci, niby ze zdziwieniem przyglądającej się światu, odkrywającej ważne prawdy albo tworzącej wierszyki o tym, że od wódki rozum krótki i tak dalej. Jej poezja trąci dla mnie banałem, ale pewnie się mylę, bo zbyt wrywkowo i powierzchownie ją czytałam, co mi Anulka wielce profesjonalnie udowodniła. Czasem korci mnie, żeby napisać coś buntowniczego - może uda mi się to zrobić w Warszawie na olimpiadzie? Jak się okaże, że mam dowodzić, iż na przykład Szymborska wielką poetką jest, to ja ją po gombrowiczowsku potraktuję... Już taki ze mnie zimny drań!

24 listopada

Przeczytałam moje wczorajsze zapiski i spostrzegłam, że wobec moich koleżanek z klasy jestem coraz złośliwsza. Muszę uważać: nie chcę zniżać się do poziomu

Praworzędnych - zaczęłoby się gorsze opluwanie niż w polityce. Zachować dystans i nie dać się wciągnąć w te ich gierki! Niestety, to mój dystans tak je rozjusza, a poza tym pewnie to, że mam przystojnego chłopaka (cała buda huczy już o tym na całego), a żadna z nich nie. Nawet doklejane pazury nic nie pomagają. No i znowu... Zachować dystans! Chyba muszę zacząć medytować. Sprzyja temu pogoda, zasypało dzisiaj świat pierwszym śniegiem, więc pomedytuję nad książkami, dobra okazja, ostatnio nie było ich zbyt wiele.

27 listopada

W sobotę mamutka pomknęła z Włodeczkiem do teatru, straszliwie wypachniona (mało nie zemdlałam, gdy się przyszła zameldować). Oznajmiła mi, że wychodzą i nie wiadomo, o której będą z powrotem, pewnie późno, bo po teatrze są jeszcze z kimś umówieni - „no wiesz, my tak mało gdziekolwiek bywamy”. Bywajcie sobie, bywajcie, ja wam nie żałuję. Cieszy mnie natomiast to, że nie tylko ja się muszę się mamutce ze wszystkiego opowiadać, dobrze, że to działa u nas w obie strony. Jednak istnieje sprawiedliwość na tym świecie!

Ledwie zniknęli za drzwiami, przyszła do mnie na ploteczki Izka, żeby mi opowiedzieć o swojej megabajeranckiej klasie mat.-fiz., na przykład kto się z kim teraz spotyka, no i żeby wypytać mnie też o Marcina. Później pojawił się Marcin we własnej osobie, ale nie sam, ze swoim kumplem Pawłem, którego jeszcze nie znałam, ponieważ nie chodzi do naszej szkoły mającej opinię najgorszego liceum w mieście,

lecz - jak się dowiedziałam - do ekskluzywnej Dwójki. Dwójka to taka szkoła, w której uczą się dzieci z najbogatszych i najlepszych domów, gdzie stale śrubuje się poziom, a jak ktoś dostanie czwórkę z plusem, to koledzy z klasy proszą, żeby jednak może jeszcze się nie wieszał, bo następnym razem na pewno będzie lepiej. Miałam kiedyś okazję poznać parę osób z tej szkoły - Freddy Krueger się nie umywa. Rozmowa z nimi rozpoczyna się od pytania, co się ostatnio czytało, a zaraz potem zaczyna się przesłuchanie: Co o tym sądzisz? A dlaczego tak uważasz? Nie sądzę... Twoim zdaniem Dostojewski był geniuszem, przecież to tylko genialny grafoman... A czytałaś...? Nie czytałaś?! Trzęsie mnie na samą myśl o tej bandzie nadętych, snobistycznych buców. Przepraszam, znów zapomniałam o dystansie, obowiązuje mnie polityka dystansu!

Na szczęście okazało się, że Paweł jest całkiem fajny. Mogłam się zresztą tego domyślać - polegam przecież na Marcinie, on nie przyprowadziłby do mnie jakiegoś snoba. Paweł to taki zwyczajny chłopak, z niezbyt piękną, ale sympatyczną, piegowatą twarzą i rudą, kręconą szopą na głowie. Przypadł mnie i Izce do gustu.

Zasiedzieliśmy się we czwórkę do późna, wesoło nam się gawędziło z muzą w tle. Paweł puszczał nam różne nieznanne kawałki. Przyznał się, że muza to jego największe hobby, a Marcin zdradził nam, że Pawełek nieźle wymiata na bębnach jako lider pewnej undergroundowej grupy, o której świat niebawem z pewnością usłyszy. Wow! Paweł puścił nam jeden z ich utworów nagranych na amatorskiej płytce.

Niemal padliśmy z wrażenia, a potem jęknęliśmy tylko, że chylimy czoła przed mistrzem muzyki garażowej w stylu nam do tej pory nieznanym i od razu zapisujemy się do chóru, a jak nie ma takiej możliwości, to Paweł ma już w każdym razie swoje grouppies. Atmosfera zrobiła się jak na imprezce, i to całkiem odlotowej, tylko że obyło się bez żadnych trunków i innych używek. Bawiliśmy się przy dzbanku zielonej herbaty i talerzu kruchych ciasteczek.

Postanowiłam z Izką zrobić przed chłopakami mały show - wykorzystaliśmy do tego parawan i garderobę mamutki. Ona chowa tam niesamowite rzeczy nie mam pojęcia, skąd je wzięła, niektóre odziedziczyła chyba po babci Sabinie. Większość drobiazgów od lat leży bezużytecznie, ale mamutka ich nie wyrzuca. Twierdzi, że moda zatoczy jeszcze kiedyś koło. Tak więc można tu znaleźć zielono-fioletowe boa, szpilki w barwie złotego brokatu, peruki, worek kabaretek, suknie z koronki, pomarańczowe spodnie z grepliny kapelusz z wielkim rondem i piórami, by wymienić zaledwie część tego bogactwa. Oprócz tego mamutka ma toaletkę z kosmetykami: szminki w kolorze strażackiej czerwieni i cienie do powiek we wszystkich barwach tęczy. Wykorzystaliśmy zatem te wszystkie dobra i najpierw Izka umalowała siebie i mnie, a potem zaczęłyśmy się przebierać za parawanem i robiłyśmy pokaz mody, przechadzając się po pokoju w coraz to dziwniejszych kreacjach. Paweł wziął mój aparat fotograficzny i pstrykał zdjęcia, zachowując się jak prawdziwy fotoreporter, a Marcin siedział i

obserwował. Podał się za wielką osobistość z branży mody, szukającą świeżej krwi, czyli modelek, które zaprezentowałyby jego najnowszą kolekcję. Z początku strasznie wybrzydzał, że jedna z nas jest za korpulentna, a druga za tyczkowata, że ruszamy się sztywno, bez wdzięku i mamy zbyt płaskie pupy Zagroziłyśmy mu, że za chwilę jego buziuchna też może stać się zbyt płaska, jak nie dostrzeże naszego powabu oraz wybitnego talentu i nie da nam angażu. Marcin od razu się opamiętał i zaczął nas chwalić. Tak się rozkręciliśmy (w tle, rzecz jasna, grała niezniszczalna ABBA, która z powodzeniem zastąpiła w tych okolicznościach underground), że nawet nie zauważyliśmy mamutki i Włodzia, którzy już chyba od jakichś dziesięciu minut stali z rozdziawionymi buziami w drzwiach, nie wiedząc, co powiedzieć i jak dostać się do własnej sypialni. W końcu Włodek, wyrwany z letargu ucichnięciem muzyki, chrząknął i wreszcie spostrzegliśmy przybyłych. Trochę głupio się poczuliśmy ale chyba się nie obrazili, to przecież tylko takie niewinne wygłupy.. W końcu sami także przeżywają młodość, drugą młodość, i też by się pewnie chętnie po-wygłupiali. Mamutka miała mi potem za złe jedynie to, że prawie na golasa latałyśmy z Izką za parawanem, a chłopcy byli tuż obok. Według niej niepotrzebnie ich prowokowałyśmy

Hej, mamutko, to nie średniowiecze, nie przesadzajmy!

28 listopada

Wesoło było w tym jesiennym listopadzie, ale dziś nastała pora

smutku: trzeba się było pożegnać z tatusiem. Pojechałam na lotnisko. Jak zwykle nie bardzo wiedział, co mi powiedzieć, pomilczeliśmy więc wspólnie, przybici sytuacją. Zanim tata udał się do odprawy ponaglany komunikatami dla odlatujących pasażerów, wcisnął mi jeszcze trochę forsy żebym sobie kupiła jakiś ciuch. Ale co mi po tej forsie...

Poczułam się przez moment osierocona. Sierotą jednak, dzięki Bogu, nie jestem, pewnie wkrótce zobaczę się z tatusiem, ani się obejrzymy. Jak szybko te samoloty wzbijają się w powietrze i znikają z pola widzenia...

Wróciłam do domu z poczuciem, że miałam jeszcze ojcu powiedzieć coś ważnego, ale zupełnie nie wiem, co takiego. Jestem rozbita, znów nie mogę uczyć się niczego poza mową ojczystą, z naciskiem na poezję. Wesoły nastrój sprzed kilku dni prysł, nie ma już po nim śladu. Śnieg stopniał, zamienił się w pluchę i znowu o szyby deszcz dzwoni... Do tego Boni zaczął gwałtownie i z przejęciem wyć. Długo musiałam go uspokajać, naprawdę nie mam pojęcia, o co temu pokręconemu terierowi mogło tym razem chodzić. Widocznie zaraziłam go melancholią albo odbiera na tych samych falach co ja. W tym ponurym nastroju urodził mi się nagle kolejny wiersz:

### SAMOLOT

Samolot - niebieska machina - z tykiet silnika przecina horyzont i znika rozmyty w tle.

W niebie samolot to deus ex machina, pasażerowie - niebiescy



podróżni o krok od zaświatów, przytwierdzeni pasami do kawałka materii, której już nic nie trzyma. Na niebie biała Unia - ostatni ślad, nitka, po której nie dojdiesz do żadnego kłębka.

29hstopada

Dzisiaj w szkole okrutna gafa. Wtopa na całej linii! Co mnie podkusiło, żeby pogratulować Radkowi ojcostwa. Facet miał taką minę, jakbym mu oznajmiła, że za pięć sekund walnie w nas meteoryt.

- To Monia ci jeszcze nic nie mówiła? Upsss! Cholera, ona mnie zabije. Hej, chyba nie będę musiała cię cucić? Proszę, nie mdlej, nie znam się na sztucznym oddychaniu. Zobaczysz, wszystko się ułoży Cieszysz się, prawda? Co ja narobiłam! Odezwij się wreszcie!

- Co ty pleciesz, to niemożliwe! Starzy mnie ukatrupią. To ona się nie zabezpieczyła?

A niech to diabli!

- No, mnie się wydaj e, że te rzeczy to się jakoś razem ustala... Teraz pomyśl raczej o dziecku, będziesz niedługo ojcem! Chyba się cieszysz?

- Co ja powiem starym?! Zabiją mnie. To jakaś niemożliwa ścierna...

Nie słucham dłużej jęków zszokowanego Radka, nie ma sensu. Lecę do Moni.

- Daj mi po łbie! Niechcący uświadomiłam twój ego Radka, co go niebawem czeka. Skąd ja mogłam wiedzieć, że on jeszcze nic nie wie...

Monia, nie gniewaj się, nie miałam pojęcia. Czemu jeszcze mu nic nie powiedziałaś?

- Nie miałam odwagi, tak samo, jak nie mogłam tego z siebie wydusić przed tobą. Może i dobrze, że tak się stało, że ty mu powiedziałaś, ja bym chyba czekała, aż sam zauważy Zresztą, wiesz, postanowiłam wychować to dziecko sama, nie chcę wiązać się z Radkiem. To ostateczna decyzja, już jej nie zmienię.

- Jak to? - zostaję wprawiona w totalne osłupienie. - Czy ty wiesz, co to znaczy?

Będzie ci potwornie ciężko, a dziecko unieszczęśliwisz, coś wiem na ten temat. Nie rób tego, Monia, popełniasz błąd. Radek dojrzeje, musi po prostu oswoić się z sytuacją, to trochę potrwa. On się zmieni, zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

- Droga Joško! Rozumiem twoje przejęcie, ale musisz mi uwierzyć, że tak będzie lepiej. On nie darowałby mi tego, gdybym teraz pokrzyżowała mu plany. Ma swoje ambicje jak my wszyscy. Niech przynajmniej on się realizuje. Poza tym jego rodzina jest trudna. Miałby w plecy, że z czymś takim wyskoczył. Jego rodzice inaczej sobie wyobrażają przyszłość Radka i jego dziewczynę, dano mi to odczuć. I wiesz co? Teraz zrozumiałam, że jednak nic do niego nie czuję. To było jakieś chwilowe zauroczenie. Nie chcę już z nim być. Wolę się męczyć sama, nie zrobię niczego wbrew sobie.

- A dziecko?!

- Nie martw się, niczego mu nie zabraknie, mam poczucie odpowiedzialności, w końcu jesteśmy już prawie dorośli.

- Monia, dziecko, z tego, co wiem, oprócz matki potrzebuje jeszcze ojca. Nie jestem psychologiem, ale mam intuicję. Ta intuicja podpowiada mi, że wychowanie bez ojca może mieć fatalne skutki, no wiesz, ono może potem nie radzić sobie z emocjami, uczuciami i tak dalej... Poczytaj poradniki.

Moje wywody przerywa dzwonek. Widzę po minie Moni, że nic do niej nie dociera. Taka już jest. Kiedy podejmie jakąś decyzję, nie dopuszcza więcej żadnych wątpliwości, jest zaprogramowana od A do Z. Wcześniejsza rozmowa z Radkiem pozostawiła na mnie zresztą tak niemiłe wrażenie, że zaczynam się zastanawiać, czy Monia rzeczywiście nie ma trochę racji, wycofując się z tego związku. Jak to się mówi, nic na siłę. Nigdy też nie wiadomo, co przyniesie życie. Już nie raz zdarzało się, że z sytuacji z pozoru beznadziejnej znajdowało się jakieś nieoczekiwane wyjście i decyzja daleka od tego, co sprzyjałoby ogólnej pomyślności, w końcu popłacała. A może Radek otrząśnie się i powalczy o Monie i swoje dziecko? Pewnie tak będzie, nie ma się co martwić na zapas. Natomiast jeśli chodzi o Monie, to czuję, że znów się od siebie oddalamy. Nie ma już między nami takiej szczerości i spontaniczności jak kiedyś. Moja przyjaciółka stała się sztywna, zamyka się w sobie. Nie wiem, jak do niej dotrzeć. Może po prostu żyje teraz zupełnie innymi sprawami niż ja i stąd to wrażenie. Nagle uświadomiłam sobie, że o

Marcinie nie zamieniła ze mną jeszcze nawet słowa, choć się jej oczywiście pochwaliłam, że jesteśmy parą. Chyba kompletnie ją nie obchodzi moje szczęście. Widocznie jak sama ma kłopoty, nie potrafi cieszyć się jednocześnie cudzym szczęściem - to zresztą niełatwa sztuka. Może Monia wpadła w depresję...? Jest taka zamknięta, a ja nie potrafię wczuć się w jej sytuację. Wygląda na to, że zaczęło zgrzytać między nami na stałe. Coś pękło i rysa pozostanie. Szkoda.

Aha! Teraz trochę z innej beczki - wciągam Anulkę do „Głosu Ucznia”. Przyznała się, że ma w szufladzie parę własnych wierszy. Poprosiłam ją, żeby przyniosła, choć strasznie się wzbraniała, że nie są warte ujawniania. Na szczęście na kółku ludzie są bardziej cywilizowani niż w klasie i tutaj nikt nie odważy się na jakiegokolwiek protesty. Wypromuję Anulkę, taki mam plan.

1 grudnia

I znowu Święty Mikołaj zaprzęga pomału swe renifery do sań. Jakie niespodzianki szykuje w tym roku?

W szkole spotkała mnie dziś niespodzianka z rodzaju tych nie najmiłszych, zaburzająca obraną przeze mnie strategię dystansu. Otóż jedna z Praworządnych, kujonka Dorota - kujon z prawdziwego zdarzenia - śmiała zaatakować mnie wprost, podchodząc na przerwie z wybitnie wredną miną i pytając, czy zamierzam dalej obnosić się ze swoją rzekomą wyższością. Uświadomiła mi (dla mojego własnego dobra, żebym się jeszcze zdążyła nawrócić na praworządność), że klasa

ma już dość tego wyróżniania mnie w związku z jakąś tam olimpiadą i stawiania ocen, które mi się nie należą. Powiedziała mi, że drażni ich mój indywidualny tok nauczania - dlaczego reszta musi chodzić do budy a ja nie? Dorocia nakazała mi pokorę - oznajmiła, że jak okażę skruchę, zrezygnuję z przywilejów i zrównam się z tłumem zwykłych śmiertelników, to zostanę przywrócona do łask. Oto przykład praworządności! Tyle że - moim nieskromnym zdaniem, bo przecież przemawia przeze mnie jedynie pycha - praworządności fałszywie pojętej. Te czarownice nawet nie zauważyły że ja właściwie mało korzystam z przywilejów. Prawdę mówiąc, zaczynam mieć dość tej nagonki, robi się niesmacznie, niczym w pełnej afer polityce, na siłę zaczynam być wciągana w jakieś gierki i różne inwektywy cisną mi się na usta (kompletnie wbrew polityce dystansu). Miałabym ochotę, na przykład nazwać kujona Dorotę kujonem przebrzydłym, nawet chętnie rzucić to kujonowi Dorocie prosto w twarz, by ulżyć sobie w ten sposób, ale... rozsądek podpowiada mi, że byłby to tylko niepotrzebny wydatek energii, którą należy skierować zupełnie gdzie indziej. Tylko ile to wymaga wysiłku! Uch, jak gorąco!

Poszłam się wyżalić Anulce, ona to doskonale rozumie! (Potem jeszcze wypłaczę się w rękaw Marcinowi).

Po lekcjach poszliśmy z Anulką na kółko. Tu przynajmniej panuje spokój - Praworządne się nie pojawiają, bo od siebie raczej nic nie mają do powiedzenia, a brakuje tutaj podręcznika, z którego można by wyryc

regułki na pamięć. Wiem, złośliwość znów doszła do głosu. Dziś rezygnuję z mojej zdystansowanej polityki, jestem w końcu tylko człowiekiem, mam ograniczoną wytrzymałość! Przegięłyście, drogie koleżaneczki, jak słowo daję!

W tym ogólnym wzburzeniu odczytany przez Anulkę cichym, nieśmiałym głosem jej wiersz uderzył mnie nagle jak obuchem w łeb. Moje problemy stały się już tylko śmiesznymi problemikami, gdy naraz zdałam sobie sprawę, w jakim pesymizmie i wyobcowaniu żyje Anulka. Zachowałam go dla siebie za zgodą autorki. Kochana

Pani zdecydowała, że umieszczamy go w najbliższym „Głosie Ucznia”, i zaczęła podpytywać Anulkę, czy zna Końcówkę Becketta i czy wie coś na temat egzystencjalistów. Owszem, coś tam z nich czytała, ale wiersz oparła na własnych doświadczeniach. Co to za piekielne doświadczenia? No tak, przypominałam sobie, co Ewcia mówiła mi o sytuacji domowej u Anulki... A oto ten wstrząsający wiersz: PO ZABIEGU - ALIENUS

Parę lat temu wycięto mi kawałek mózgu - ten odpowiedzialny za ból i cierpienie i wiedzę o tym, że umrzemy jak pies. Odtąd żyję, nie martwice się o nic. Nie pytam już, czemu życie jest takie a me inne, czemu kazano nam cierpieć. Drzemię spokojnie, zasłuchany w bicie swego serca.

Jestem bezkształtną masę, która pulsuje, bo ciągle jeszcze żyje.

Nie dociera do mnie już nic. Jedynie od czasu do czasu słyszę

odległe pukanie do drzwi.

Ale na szczęście nie mogę już otworzyć.

To ona marzy o usunięciu kawałka mózgu, żeby nie musiała kontaktować się z innymi ludźmi, a życie to dla niej wyłącznie pasmo cierpień...? Przeraził mnie świat opisany w tym wierszu. Utwór jest dobry a jednak chciałabym o nim jak najszybciej zapomnieć. Nie powstał pod wpływem jakiejś tam jesiennej przypadłości zwanej melancholią! Ale mnie wgniotło w posadzkę! Wojaczki, poeci przekłęci... Mam nadzieję, że Anulka nie nosiła się z zamiarem samobójstwa!

Pod wieczór zjawiała się u mnie Izka, na szczęście z problemami zupełnie innego typu. Otóż - czemu ja się tego spodziewałam? - Paweł chodzi j ej po głowie od naszego upójnego wieczoru. Tylko on jest taki brzydki, to znaczy jej to nie przeszkadza, bardzo się Izce podoba, ale co ludzie powiedzą...?

- No, bo wiesz, mnie wszyscy uważają za gwiazdę...

- Poważnie? Nie gadaj!

- No tak. A on nie jest przecież żadnym Kenem.

- I Bogu dzięki - odpowiadam bez zastanowienia. - Ty też nie jesteś Barbie. A może chcesz, żeby kawały o blondynce dotyczyły ciebie? Na tym ci zależy?

- Jośka, no coś ty! Pewnie, że nie, zwariowałaś?

- No właśnie, więc w czym rzecz? Paweł jest inteligentny, może

zaimponować, choćby graniem. A wygląd? To chyba najmniej istotne, nie uważasz? Zresztą nie jest wcale szpetny, mnie się podoba. To znaczy nie to miałam na myśli, no wiesz... Zaraz, zaraz, czy on ci się już zdążył oświadczyć? Mów, przede mną niczego nie ukryjesz, mam szpiegów w całej okolicy.

- Skoro tak nalegasz... Gdy wyszliśmy od ciebie, Marcin od razu poszedł do domu, a Paweł odprowadził mnie i tak nam się miło gawędziło, że umówiliśmy się na kawę następnego dnia, i tak jakby coś się zaczęło, trudno do końca powiedzieć, zobaczymy..

Yes, yes, yes! Dobrze, i o to chodziło! Tak, wreszcie znalazł się sensowny facet dla mojej Izki. W każdym razie na pewno nie będzie jej ciągał po miejscach podejrzanych spotkań towarzyskich albo wywoził do lasu jak ten jej ostatni... Brr, lepiej nie wspominać!

4 grudnia

Znów wieczorek towarzyski w szacownym gronie: Izka, Paweł, Marcin i ja (tym razem u Izki, przy dzbanku czarnej herbaty z sokiem malinowym i szarlotce pani Wiesi) i znów luzacka atmosfera, gadanie o wszystkim i o niczym, kupa śmiechu, już nawet nie pamiętam dobrze, z jakiego powodu. Aha, wiem, wspominaliśmy najlepsze wystąpienia i teksty naszego groźnego Dziadka od PO („Baśka, skocz no do apteki i kup dla Dziadka parę tabletek viagry” i tym podobne).

Dla Pawła to kompletna egzotyka, on takich atrakcji w Dwójce nie ma, tam u niego to tak naprawdę nudy na pudy Opowiedziałam mu o



tym, jak nie chciałam dać z siebie zrobić egipskiej mumii na biurku Dziadka. Obgadaliśmy innych belfrów. Niektórzy naprawdę bywają pocieszni, na przykład nasza geografica, która raz przyszła do nas na lekcję lekko chwiejnym krokiem (a była ósma rano, czyżby przypadłość z dnia poprzedniego?!) i kiedy sprawdzała obecność, wyraźnie miała problemy z czytaniem, plątała się, litery skakały jej przed oczami... Czkawki też, bidulka, dostała. Ciekawe, dlaczego? Nie to jednak było najbardziej interesujące. Najciekawszy był jej makijaż - zupełna nowość, przebój sezonu letniego. Otóż jedno oko miała pięknie pomalowane: cieniem, tuszem, konturówką, drugie zaś - w ogóle niepomalowane, co dawało zaskakujący kontrast. I pewnie o to właśnie chodziło! Wracając do mojej nowej-nienowej czteroosobowej paczki, nigdy jeszcze czegoś takiego nie było. Czuję, że dzieje się coś wyjątkowego, takie rzeczy po prostu się wie. Nawet mamutka przestała narzekać, też chyba coś spostrzegła. Z Izką, Marcinem i Pawłem można konie kraść, rozumiemy się bez słów. Wywołałam zdjęcia z „pokazu mody”, więc mogliśmy je wspólnie pooglądać i powspominać poprzedni wieczorek towarzyski. Zdjęcia zresztą wyszły czadowe, Paweł stwierdził, że na okładkach czasopism rzadko tak dobre bywają - wiadomo, sekret tkwi w modelkach!

Chłopcy wzięli sobie po lalka fotek na pamiątkę. W takich chwilach chciałabym zatrzymać czas. Kiedy tak siedzimy i gawędzimy a pokój oświetlają pozapalane przez nas świece, w tle gra muza, tworzy się

supernastrój, po prostu sielanka. Kiedyś kochana Pani pokazywała nam na języku polskim reprodukcje obrazów Watteau: towarzystwo, które leniwie rozsiadło się na trawie, rozkoszując się słońcem. U nas jest podobnie, tylko że my chętniej zamykamy się w czyjejs kanciapie, podziwiając blask świec. Marcin ma niesamowity dar wprowadzania atmosfery jakby blisko nas krążyły duchy A może rzeczywiście krążą?

Przecież on je wywołuje... Ostatnio zrobił się znowu jakiś bardziej tajemniczy zamknięty w sobie - czy to ma jakiś związek z duchami?

5 grudnia

Od wczoraj dręczy mnie myśl o tajemniczości Marcina. Zaczęłam podejrzewać, że coś przede mną ukrywa. Próbowałam go nawet dzisiaj na ten temat podpytać, ale wykręca się i mówi, że jestem przewrażliwiona.

6 grudnia, wczesnym rankiem

Zdaje się, że grzecznym dzieciom Mikołaj coś wkłada do buta, idę zobaczyć... Już jestem z powrotem. No pewnie, że byłam grzeczna, przecież to jasna sprawa. Mamutka nigdy nie odzwyczała się od traktowania mnie jak malutkiego dziecka, a więc również nie zaniechała pewnych rytuałów z dzieciństwa. To zupełnie tak jak ja nie odzwyczałam się nigdy od mówienia na nią mamutka, choć czasem kojarzy mi się to z mamutem, a ona raczej mamuta nie przypomina. Wręcz przeciwnie, jest całkiem zgrabna, a odrobina tłuszczu, która jej przybyła, wcale nie przeszkadza. Dostałam całą furę czekolady i zielone

cienie do moich zielonych oczu - jak to miło, muszę jej podziękować. Mamutka pewnie dostanie od Włodka jakieś perfumy A co ja mam dla niej...? Rzecz jasna - apaszeczkę, żeby już nie musiała pożyczać mojej, kiedy chce zrobić z siebie bóstwo. O rany, zupełnie zapomniałam o szkole, lecę, jestem spóźniona! wieczorem (późnym bardzo, czyli właściwie nocą) W szkole na godzinie wychowawczej Praworządne urządziły dziś mikołajkową fetę z upominkami (wcześniej była zbiórka prezentów, każdy coś przynosił, a teraz dziewczyny losowo rozdawały: skarbonki za pięć złotych, słoniki w kwiatki za trzy z hakiem albo ramki do zdjęć z modeliny za grosze - cud, miód, ultramaryna! Nawet dla mnie jakiś mniamniu-śny drobiażdżek się znalazł. Już się zaczęłam wzruszać do łez, gdy dotarło do mnie, że wszyscy w klasie coś dostali oprócz jednej Anulki - zapomniano o niej, akurat jej nie było, kiedy trwała zbiórka świątecznych podarunków, no i nikt nie pomyślał... Ukatrupiłabym... O nie, muszę przecież zachować dystans! Ale jak już ktoś podejmuje się takiej akcji, to mógłby nad wszystkim czuwać! Wstałam i bez słowa podeszłam do ławki, w której siedzi Anulka, a następnie położyłam przed nią mój prezent. Zanim się zorientowała, co robię, wróciłam na swoje miejsce. To była demonstracja. Ktoś musi się sprzeciwiać, mówić „nie” bezmyślności i podłości - padło na rtmie, niech i tak będzie, podejmę się tego zadania. Anulka jednak nie była zadowolona, ona nie chce zwracać na siebie uwagi - Powiedziała mi potem, po lekcji, że takie incydenty z banem jej w obronę czy

udowadnianiem, że jest dyskryminowana, tylko pogarszają sytuację. Racja, nie pomyślałam o tym, ale z drugiej strony jak tu zachować spokój...

Izka przybiegła do mnie na kolejnej przerwie z rewelacją: Paweł odezwał się w sprawie chóru. To nie żarty - możemy śpiewać u nieb, to znaczy w tym garażowym zespole (notabene nazywali się UFFO - to ma być skrót od: UltraFajna Ferajna

Odjechanychalbo-jakktowoli-od: Uff, odetchnijmy). Warunek, jaki musimy spełnić, to mieć trochę muzycznego słuchu i głosu, a poza tym minimum dwa razy w tygodniu przychodzić na półtoragodzinną próbę, bo szykuje się występ z prawdziwego zdarzenia! Na razie jednak nie podano nam żadnych szczegółów, po prostu mamy zacząć chodzić na próby. Jak ja to pogodzę z nauką, „Głosem Ucznia” i olimpiadą? Nie, nie mogę zrezygnować ze śpiewania w zespole, taka okazja może się już nie powtórzyć. Może to początek kariery? Być sławnym...

Któż o tym nie marzy? Czemu feraj na uffoludków nie miałyby podbić kraju? Większość sław zaczynała kiedyś od zera, od ulicy taniej knajpy garażu albo od jakiegoś przypadku. Jak się poczyta wywiady w kolorowych szmatławcach - czasem przeglądam z nudów, jakiś zawsze się znajdzie pod ręką, bo mamutka czyta, żeby być na bieżąco, co słyhać w wielkim świecie - to wszyscy prawie zaczynali w ten sposób: najpierw bezskutecznie wysyłali do firm fonograficznych swoje nagrania, potem udało się gdzieś wystąpić, ktoś ich odpowiednio

pokierował, by zainteresowała się jakaś znacząca osoba z branży, aż w końcu udało się osiągnąć sukces.

Muszę zatem ułożyć sobie plan dnia, nie mam wyjścia. Zaczę rozpisywać, co kiedy mam zrobić, i będę się trzymać tego planu. „Jak nie masz czasu, weź sobie dodatkowe zajęcie” - zdaje się, że jakoś tak brzmi to powiedzenie. Tylko przed mamutką muszę jak zwykle lawirować, ona by tego nie przełknęła. Moja decyzja zakrawa o szaleństwo niemieszczące się nawet w granicach tolerancji i szaleństw menopauzalnych.

7 grudnia

Ale mnie dziś w szkółce spotkała niespodzianka! A niech to! Tego się nie spodziewałam! Proszę państwa, afera przez wielkie A! A więc (wiem, nie zaczyna się zdania od „a więc”, ale już trudno, skoro napisałam, nie będę zmieniać) wchodzę rano, jeszcze półprzytomna, do naszej szacownej szkoły, nie zwracając szczególnej uwagi na to, co się dzieje wokół mnie. Dopiero na dole, w szatni, widzę, że wszyscy dziwnie na mnie wytrzeszczają gały a niektórzy urządzają sobie ze mnie śmichy-chichy O co chodzi? - zachodzę w głowę. Wiem, pewnie nie zapięłam rozporaka albo gorzej, przyszłam w samych rajstopach, a spodnie wiszą na moim krześle pogrążone w otchłani zapomnienia. Ale nie, spodnie są tam, gdzie być powinny, rozporek też bez zarzutu. W końcu pytam wprost stojącą obok Praworządną z prośbą o nakierowanie na właściwy tor.

- Idź do góry i zobacz na gazetkę wiszącą obok pokoju nauczycielskiego - mówi, chichocząc.

Idę zatem, wiedziona dziką ciekawością, co takiego może być przyczyną dziwnego zachowania moich kolegów. Pewnie to nie lada rewelacja, skoro działa tak rozweselająco... I już z daleka widzę, że nie lada rewelacja. Otóż... Boże, jak ja to opiszę?! No dobrze, już biorę się w garść. Otóż obok materiałów na temat powstań w

XIX wieku, bo jest to gazetka koła historycznego, ktoś dorobił nowy dział: Aktualności. Umieszczono w nim kilka zdjęć - poznaję i nie poznaję - fotki z naszej przebieranki na imprezce, tylko że Izce i mnie zostały z całego przebrania jedynie nakrycia głowy i eleganckie butki, a poza tym widać nas tak, jak Pan Bóg nas stworzył. A właściwie nie nas, bo przecież środkowa część między głową a stopami nie jest nasza. Bardzo zręczny fotomontaż, nie można powiedzieć. Zdjęcia stanowią wydruk z Internetu, pod nimi znalazł się napis: Jeśli chcesz zobaczyć więcej, wejdź na stronę: [www.nieziemskielaski.pl](http://www.nieziemskielaski.pl). Teraz nasuwają się pytania: kto i skąd miał te zdjęcia? No tak, Marcinek albo Pawełek - oni weszli niedawno w ich posiadanie.

Jeśli to miał być kawał... Ale to przecież niemożliwe, nie uwierzę. Co jest grane? Patrząc: biegnie zdyszana Izka. Już się dowiedziała, zrywamy wszystko, zanim zgromadzi się tutaj tłum. Tylko że i tak cała buda już o tym huczy, teraz każdy wejdzie na tę stronę, wszystko dojdzie do belfrów i co wtedy?! Wyleją nas na sto procent. Będziemy zwiewać

do Belgii jak Ewcia albo jeszcze dalej, do Kanady, do Meksyku, na biegun północny Zadaję Izce to samo pytanie, które już dziś zadałam sobie: o co chodzi? Śmieszne to raczej nie jest. Może nieźle namieszać w naszych życiorysach. Czy któryś z panów zaczął dbać o zapewnienie nam w ten sposób wiekopomnej sławy? Chyba nie tędy droga, prędzej jest to droga do hańby. Żeby to był chociaż „Playboy”, coś estetycznego... Mam dziwne podejrzenia w stosunku do Pawła.

- Słuchaj - wściekła mówię do Izki - miała być Ferajna Odjechanych, a nie

Zboczonych Erotomanów.

- Jośka, nie mam pojęcia, o co chodzi, uwierz. Może ktoś ukradł zdjęcia Pawłowi albo Marcinowi...

- Jasne, to wielce prawdopodobne - kpię w żywe oczy.

- Jeśli chodzi o mnie, to nikt mi ich nie ukradł, leżą sobie spokojnie na moim biurku - okazało się, że za naszymi plecami stoi Marcin.

- Znasz już rewelacje? - pytam przygnębiona.

- Ehm. Zadzwońmy do Pawła - proponuje mój chłopak.

Ale Paweł ma wyłączoną komórkę. Tymczasem na oddźwięk Aktualności wśród nauczycieli nie musiałyśmy długo czekać, już po drugiej lekcji byłyśmy na dywaniku u dyrki.

- Hm... - mruczy nasza specjalistka od afer - mam dla was propozycję: poserfujmy sobie dziś razem po Internecie. Co powiecie na [www.nieziemskielaski.pl](http://www.nieziemskielaski.pl)?

- Pani dyrektor - odzywa się jęcząco-drżącym, nieśmiałym, cichuteńkim głósikiem

Izka - jest tyle innych, na pewno dużo bardziej interesujących stron...

- A ta czemu miałyby być mało interesująca?

- Bo, bo... - zacina się biedna moja kumpela.

- No dobrze, pani dyrektor - odzywam się normalnym głosem (w końcu nie jesteśmy winne, jesteśmy przecież ofiarami czyjejś wrogiej akcji) - opowiemy naszą wersję wydarzeń, a pani uzna, czy nasza relacja jest wiarygodna.

Opowiadam całą prawdę, jak było i że mogę pokazać autentyczne zdjęcia z imprezki. Dyrca na to, że w takim razie trzeba chyba powiadomić policję. Błagam ją, żeby nie rozdmuchiwać tej sprawy, chcemy spokojnie zdać maturę. Ma jednak rację - bez pomocy policji nie zablokujemy tej strony, a to konieczne. Na koniec ostrzega nas, żebyśmy uważały z kim się zadajemy bo w dzisiejszych czasach dzieją się istne cuda. Uwierzyła, Bogu dzięki, może nawet mamutka nie będzie musiała się o tym dowiedzieć. Oby!

Po południu odbiera wreszcie telefon Paweł. Okazuje się, że fotki zobaczył przez przypadek jego kumpel-niekumpel, który przychodzi na próby, żeby posłuchać, jak chłopaki grają. Chodzi do nas do szkoły, do młodszej klasy Podobały mu się zdjęcia i poprosił, żeby mu je pożyczyć na jeden dzień, bo jego dziewczyna chce sobie przygotować kreację na



sylwestra, ale nie ma na nią pomysłu, a te fotki na pewno by ją natchnęły  
No i Pawełek łyknął ten kit - niestety A podobno oni w tej Dwójce tacy  
są inteligentni... Teraz to my z Izunią namieszamy młodszemu koledze w  
jego życiorysie, jak go dzięki nam namierzy policja.

9 grudnia

Afery ciąg dalszy i, miejmy nadzieję, zarazem zakończenie. Ein,  
zwei Polizei! Czary - mary, hokus-pokus. Policja okazała się nadzwyczaj  
szybka w działaniu - nie tylko zablokowała stronę, ale także namierzyła  
głównego sprawcę. Inna sprawa - nie wymagało to wielkiego sprytu. Po  
prostu dostali od nas wytyczne, zaprosili na pogawędkę kolegę z  
młodszej klasy, niejakiego Wojtka Kopytko, a on im od razu wszystko  
pielenie wyśpiewał, robiąc w portki ze strachu, jak to zwykle z tego typu  
gośćmi w tego typu sytuacjach bywa. Wyśpiewał mianowicie, że ma  
dużo starszego od siebie kolegę, który go kiedyś bardzo „prosił”, że jak  
on, to znaczy Wojtek, nie chce mieć nieprzyjemności, to żeby mu  
koniecznie pomógł i wymyślił sposób na zemstę na Izce, jego, to znaczy  
starszego kolegi, byłej dziewczynie. No tak, odezwał się żigolo, znalazł  
wreszcie sposób na zemstę. Tylko za co on się mści na mnie? W każdym  
razie policja wparowała do niego znienacka z nakazem rewizji i... przy  
okazji znaleźli u niego kilogram kokainy Zakuli go w kajdanki i zawieźli  
do aresztu. Teraz powstaje pytanie: kto się na kim zemścił? Bo jak go  
wsadzą, to na razie jednak bardziej my ale jak go nie daj Boże  
wypuszczą... Kolega Wojtek dostał od dyrci naganę i chyba mu się

odechce na jakiś czas wymyślenia ściennych gazetek. Poza tym wzięli go pod lupę, czy niczego nie bierze. Ja natomiast musiałam studzić zapal Marcina, bo by kolegi Wojtka pewnie własna matka nie poznała. Izkę kiedyś sama własnoręcznie zamorduję za to, że się zadała z takim lumpem. Przez nią i ja mam kłopot. Coś ty dziewczyno, najlepszego narobiła! Swoją drogą, dziwna ta cała historia, raczej z gatunku science fiction - piramidalny zbieg okoliczności. Teraz, po tym wszystkim, należy się nam chwila oddechu, futro sobota, pojedziemy z Izką na świąteczne zakupy. Uff, odetchnijmy!

10 grudnia

Ratunku, pomocy! Jak się robi świąteczne zakupy? W jaki sposób Izka wchodzi do pierwszego lepszego sklepu, który na oko wygląda na składowisko tak potwornego badziewia, że ja nawet nie zwracam na niego uwagi, i natychmiast ma w ręce dziesięć fatałachów po dziesięć groszy każdy, i są to same superodlotowe, megabajeranckie rzeczy? A ja? Snuję się godzinami, przebieram, wybieram - i nic. Mniej więcej raz na sto zdarza mi się znaleźć coś sensownego. Tym razem to nie był ten raz, ale i tak fajowo jest przez cały dzień nurkować w ciuchach, różnych błyskotkach i tym podobnych, mierzyć to i owo, a przy okazji pogadać sobie z kumpelą o wszystkim i o niczym.

W drodze na przystanek, gdy obładowane siatami chciałyśmy już wracać - i Iza, i ja siatami Izy rzecz jasna - natknęłyśmy się w tunelu na... (nie do wiary a jednak to prawda!) Ewcię. W zasadzie chyba

próbowała uniknąć spotkania, ale gdy ją wypatrzyłam w tłumie, nie zważając, czy się jej to podoba, czy nie, natychmiast zawołałam ją do nas (bo nam, babom z siatami, ciężko by się było do niej przeciskać). Ciekawość wprost mnie zżerała, co też Ewcia porabia w kraju.

- Witaj, co cię przygnało z wielkiego świata w nasze odległe, prowincjonalne strony?

- pytam.

- A, wiesz, dużo by gadać... - Widzę, że Ewcia jest nieco zmieszana i niechętna do

Rozmowy.

- Słuchaj, my się z Izką nigdzie specjalnie nie spieszymy O, przepraszam, wy się chyba jeszcze oprócz „zwidzenia” nie znacie: Izka, Ewcia. Wybierzmy się wspólnie na kawkę, opowiesz o dalekich krajach.

- No dobra, niech wam będzie.

Ewcia od początku zrobiła na mnie wrażenie przygnębionej i przemęczonej. Z jej opowieści wynikało, że są ku temu powody Po niecałym miesiącu wróciła z Belgii, to jest wczoraj, rozczarowana i nieszczęśliwa. Po pierwsze, kudłaty har-leyowiec Witek zakochał się z dnia na dzień w jakiejś ciemnoskórej piękności od urodzenia mieszkającej w Belgii. To by mu Ewcia jeszcze jakoś wybaczyła, ale on nagle przestał być harleyowcem, ściął włosy na krótko i zrobił się z niego jakiś yuppie w garniturze. Dostał pracę w biznesie, co konkretnie - nie wiadomo. No i zostawił biedną Ewcię na pastwę losu. Stosunki z

panią Ambłas też się szybko popsuley okazało się, że „baba ma kompletnego bzika”. Pytam, na czym ten bzik polega.

- Dam wam przykład: oprócz tego, że zajmowałam się jej dziećmi, żeby mogła w spokoju chodzić do salonu piękności i na lekcje tańca brzucha, prowadzone przez, cytuję: „takiego pięknego Araba”, gotowałam i musiałam sprzątać. To nie było zwykłe sprzątanie - odkurzanie i tak dalej. Pani Ambłas ma wielki kredens pełen srebra i porcelany Wyobraźcie sobie, ta wariatka kazała mi to codziennie wyjmować i polerować szmatką, a potem układać z powrotem. Pokazywała mi przy tym, na przykład jak mają leżeć łyżeczki. Wszystko robiłam, tak jak mi kazała, tylko że jej się samej myliło i potem urządzała mi awantury że ułożyłam wszystko na odwrót.

Wreszcie jednemu z dzieciaków - one tylko na to czyhały - udało się zbić cenną filiżankę z dziewiętnastego wieku i to był już definitywny koniec mojej kariery zawodowej w Belgii. Takie to były niewesołe historyjki z tą panią Ambłas. Jej mąż też miał swoje za uszami: wiecznie mnie podszczypywał, ale jego szanownej małżonki wcale to nie obchodziło. Dzieci niewątpliwie wdały się w rodziców, ale już mi się nie chce o nich opowiadać, nie mam siły A tak w ogóle Belgia - muszę wam powiedzieć - jest straszna.

- Jak to straszna? - dziwi się Izka. - Przecież tam musi być ekstra, to przecież Zachód, no nie?

- Słuchajcie - mówi Ewcia - tam naprawdę jest strasznie, wierzcie

mi. Belgowie są do niczego, żaden spontan, zero poczucia humoru, nie potrafią się bawić tak jak my, Polacy. Poza tym tam panuje taki klimat... wieczne mgły i wilgoć, wszyscy cierpią na depresję, mnie się już chyba też udzieliło.

- Dziwne... - zadumała się Izka.

- A kasy chociaż sobie troszkę odłożyłaś? - pytam.

- Całą furę, jak się domyślasz. W Belgii życie jest drogie, a pani Ambłas potrąciła mi za filiżankę i za nie tak ułożone łyżeczki, więc ledwo zapłaciłam za powrotną podróż do Polski. Ale wiecie co? To nieważne, zapraszam was na imprez-kę zaraz po świętach, bo przecież w Wigilię są moje imieniny.

- Dzięki. Powiedz, co teraz będziesz robić w Polsce? - pytam zatroskana, bo mi się

Ewci zrobiło żal.

- Załatwiam sobie „ciepłą posadkę” sprzedawczyni w lumpeksie - mówi niefrasobliwym tonem. - Jak przyjdziecie do mnie na zakupy to kilogram macie gratis, a za dwa zeta załatwicie kwestię całego karnawału. Ten lumpeks prowadzi tata mojej kumpelki. Wcześniej ona tam sprzedawała, ale teraz przyjęli ją do banku.

Opowiadała, że w secondhandzie czasem bywa dosyć śmiesznie, bo zaraz obok jest dom wariatów i jak niektórych (tych łagodniejszych, oczywiście) wypuszczają na przepustkę, to dla nich wtedy największą atrakcją jest właśnie lumpeks. Przychodzi, na przykład, taki wieli facet,

dwa metry z hakiem, i wybiera zawsze jakieś dziecinne podkoszulki, pyta grzecznie, czy może przymierzyć. Grzecznie się mu odpowiada, że tak, a potem on naciąga je na siebie na siłę (co często graniczy z cudem, a czasem źle się kończy dla podkoszulka) i jak się wreszcie z tym upora, prosi, żeby mu powiedzieć, czy mu pasuje. To się wtedy kiwa głową z aprobatą, że tak, świetnie pasuje. On sobie za złotówkę coś takiego kupuje i jest bardzo zadowolony

Ewcia rozbawiła nas tymi opowieściami do łez, ale potem na poważnie zaczęłam się zastanawiać nad jej dalszym losem.

- Słuchaj - mówię powoli, z namysłem - szczerze mówiąc, to wszystko wygląda mi na pomysły z mchu i paproci. Wiesz, co mam na myśli? To wszystko jest na pięć minut. A co potem? Może spróbowałabyś wrócić do budy? Jeszcze nie jest za późno. Dyrca jest OK. Jak okażesz skruchę i napiszesz jakieś podanie, może przywróci ci prawa ucznia. Nam ostatnio darowała niezmierną aferę - zaraz ci Izka opowie. Chodzi mi o to, że uwierzyła nam, chociaż nie musiała. Tobie też by darowała, tylko musiałabyś przestać z nią walczyć i drzeć koty..

- Coś ty Jośka, zapomnij. Ona mnie nienawidzi, ja już zresztą też tam nie chcę wracać. Chcę zarabiać kasę, żebym o nic nie musiała prosić starych. Na razie zaczepię się w lum-peksie, dopóki nie znajdzie się coś lepszego. A na maturę i na dyplom magistra sama zarobię. Taka jest moja filozofia.

- Jak uważasz, róbta, co chceta!

- Dobra, niech Izka nawija o tej aferze... Opowiedziałyśmy Ewci o aferze ze zdjęciami. W końcu trzeba się było zbierać do domu.

- Do zobaczenia u mnie na imprezce! Dam znać, co i jak - pożegnała nas Ewcia.

- Dzięki! Powodzenia! Pa!

18 grudnia

Minął pracowity tydzień - tydzień zakuwania po nocach, bo wszyscy belfrzy koniecznie uparli się, żeby zrobić nam sprawdziany jeszcze przed świętami. No, może nie było to siedem dni ciągłego zakuwania. Wyjątek stanowił jeden wieczór, kiedy tradycyjnie nie mogłam zasiać do wkuwania chemii i znowu słuchałam muzyki, którą mi kiedyś podrzucił Marcin. Były to stare dobre nagrania, przy których świat wokół przestaje istnieć. Myślałam o moim chłopaku, jak to cudownie z nim być i że wciąż mam wrażenie, jakbym niewiele o nim wiedziała, jakby coś przede mną ukrywał. Bez względu na to całkowicie odechciało mi się pisanie wierszy, zwłaszcza tych o miłości, bo ta po prostu zawitała w moje progi. Nie wiem, jak daleko może posunąć się dziewczyna, żeby nie znalazła się na straconej pozycji, żeby chłopak nie poczuł się zbyt pewnie... Mam ogromną ochotę napisać Marciniowi czułego SMS-a i chyba zaryzykuję...

Już. Teraz czekam na odpowiedź... Czekam... Czekam. Czekam... Jest! Odpowiedział tekstem jednej z moich ulubionych, starych piosenek: „Dziecinko, będziemy razem tysiąc lat, dokońca świata,

tyja...”. Czyżby? Tak, to prawda, będziemy razem do końca świata, nawet gdybyśmy się kiedyś rozstali, będziemy razem, on na pewno będzie zawsze w moim sercu. Nie mogę pisać o tym dłużej, bo brzmi zbyt sentymentalnie, banalnie, brakuje mi słów...

Drugim wyjątkiem od zakuwania była w tym tygodniu próba UFFO. Niestety, była dla mnie porażką. Izce idzie w śpiewaniu lepiej niż mnie, ma lepszy słuch, ja nie bardzo umiałam się wstrzelić. Na scenie jestem sztywna, nie potrafię się poruszać.

Chyba jednak zrezygnuję ze śpiewania. Paweł mnie pocieszał, że muszę poćwiczyć, że będzie lepiej, nie od razu Kraków zbudowano. Czuję jednak, że to nie dla mnie. Żegnaj, sławo! Nie można mieć wszystkiego, będę raczej kibicować Izce.

W budzie panuje względny spokój, poza tym, że mamy z Izką nową ksywkę - Nieziemskie Laski. Wszyscy - znajomi i nieznajomi - tak nas w szkole witają:

„Cześć, Nieziemskie Laski!”. Cóż, trzeba przywyknąć do tej lokalnej sławy

Praworządnym na razie odechciało się intryg, siedzą po domach i zakuwają. Zauważyłam tylko, że już dosyć długo nie ma Anulki, muszę się jutro koniecznie do niej wybrać, bo nie sądzę, żeby ktoś jeszcze oprócz mnie zauważył jej nieobecność. Aha, Monia zupełnie odjechała, niby rozmawiamy po staremu, ale jest taka zamknięta, że już nie mam pomysłu, jak do niej dotrzeć. Nie chce się spotykać, nie odpisuje na



maile, nie odbiera telefonu. Ja z kolei nie chcę się narzucać, więc chyba dam wreszcie za wygraną. Radek też się przed wszystkimi kamufluje, a zwłaszcza przed Monia. Oboje zachowują się jak dzieci. w środka nocy.

Coś tajemniczego zbudziło mnie przed godziną, jakby delikatny dotyk czyjejś ręki. Jest noc, cisza dźwięczy w uszach. Wstałam z łóżka i nie zapalając światła, wyjrzałam przez okno. Środkiem naszego starego bruku biegł... lis, zamiatając jezdnię swoim puszystym ogonem. Po chwili czmychnął w podwórko. Skąd on się tu wziął - na skraju miasta? Nie mamy w pobliżu lasu... Kto mnie zbudził, żeby mi go pokazać? Potem spojrzałam w niebo. Ani jednej chmury pełno gwiazd. Wpatrując się w firmament, poczułam się nagle, jakbym zawisła w próżni, jakbym rozpływała się gdzieś w przestrzeni międzyplanetarnej. Ogarnął mnie dziwny nastrój. Wyobraziłam sobie, że gwiazdy to gigantyczne kostki do gry unoszące się z wolna w przestrzeni kosmicznej, niby chaotyczne, a jednak w układzie jakiejś odwiecznej harmonii, przesuwane podmuchami kosmicznego wiatru i - jak w kalejdoskopie - tworzące nowe układy. Nagle wszystkie moje sprawy wydały mi się takie nieważne, malutkie, a sama poczułam się jak Tomcio Paluch. Co za różnica, czy wygram olimpiadę, czy nie, czy pójdę na studia, czy nie, czy będę kimś, czy nikim? Poczułam potęgę gwiazd, którym nasze ludzkie losy są zupełnie obojętne. Dawno nas nie będzie, a one dalej będą majestatycznie krążyć... trwać. A może my ludzie, po śmierci tam zamieszkujemy? Często coś mi szeptem do ucha, że w kosmosie muszą

żyć umarli.

Pojawiło się przede mną pytanie, którego już długo sobie nie zadawałam: jaki jest sens tego wszystkiego - naszych wysiłków, trudów, dążeń? Nie wiem, ciągle szukam odpowiedzi, ale nie znajduję.

Niekiedy zdarza mi się, że otwieram jakąś książkę na chybił trafił i czytam, co jest tam napisane. Wierzę w to, że w ważnych życiowych momentach takie niby przypadkowe fragmenty kryją w sobie głębszy sens, są jakimś przesłaniem, wskazówką. Czytam ostatnio wiersze Kazimierza Wierzyńskiego z czasów jego emigracji do Ameryki - to kochana Pani podrzuca mi takie dziwne rzeczy Otworzyłam jego poezje na przypadkowej stronie i... natknęłam się na wiersz, który muszę przytoczyć chociaż we fragmentach (i niech mi nikt nie wmawia, że wszystko na świecie, nawet rzeczy dziwne i niepojęte, to tylko czysty przypadek - przypadek nie istnieje. To jest odpowiedź na pytanie o sens!). WIERSZ OKREŚLAJĄCY ŚWIATOWE ZNACZENIE LISA

Jerzemu Stempowskiemu [a kto to na Boga? - muszę sprawdzić]

Nic mi z tych zabobonów, Dyrzymałek, andronów, Filozofii sukcesu:

Cross your fingers, please.

Wszystko jest nieprawdą.

Vanitas omnia, Maszyny, ekonomia.

Hollywood, Churchill, Walpurgia.

Cała światowa liturgia.

Prawdą jest, że rano przychodzi do nas lis. ['.]

Sens poszedł na dno a świat się wygłupia.

Gdy tymczasem z lasu

Lis wypada, jak duch.

Idzie. Na pochyłej, śnieżnej goliźnie Ani razu się nie pośhźnie,  
leciutko stawia powabny, koci krok, Leśny opar na nim polata, Srebrna  
mgła tajemnicy świata, Srebrne marzenie, Srebrny mrok.

Staął. Patrzy. W las. Na dom. Na pole. Węszy. Wydłuża się  
mordka wścibska.

Rozwija swą ogoniastą etolę, Futrzarz z boru. Prawdziwy, Nie z  
Lipska. Grzebie w śniegu. Wywachał. Pysk, jak koncha. Zębami tryska:  
Żre.

Nie bój się mnie, śhczny grabieżco, Dzikie, puszyste zjawisko,  
Cudo moje, a może ty wiesz co Uleczyłoby świat ten i mnie?

[-.]

Ale on mnie nie słucha. Już po nim.

Przepadł leśny anonim.

Przepadł mój dziki lis. Rozbiegło się żywe futro, Może znów zjawi  
się jutro: Cross.your fingers, please\*.

\*Cyt. wgwyd.: K. Wierzyński, Wybór poezji, wybór, opracowanie  
tekstu, wstęp

Krzysztof Dybciak, Wrocław 1991, s. 302-304.

Pomyślałam o tacie - świeżo upieczonym emigrancie, który zniknął

tak nagle z mojego życia. Jest gdzieś daleko, wśród nieznanych ludzi. Czy jest szczęśliwy? Czy tęskni? Bo ja tak. Czy przychodzi do niego lis?

Potem z nieba i poezji wróciłam na Ziemię i spojrzałam w okno naprzeciwko. U Izki świeci się lampka - czyżby też nie mogła spać i pisała pamiętnik?

Co za dziwna, lisia noc...

19 grudnia

Po lekcjach (czyli po tysiącu kartkówek i sprawdzianów) wybrałam się dziś z zeszytami i tabliczką mlecznej czekolady do Anulki. Mieszka jeszcze dalej od centrum niż ja, w tak zwanej kolonii, czyli dzielnicy slumsów - po drugiej stronie kanału, gdzie rzadko kto się zapuszcza. Jej dom wygląda z zewnątrz na większą altankę. Jedyne, co jest w tym wszystkim ładnego, to otaczające go stare dęby.

Nie były to najłatwiejsze odwiedziny, napatrzyłam się i nasłuchałam koszmarów za wszystkie czasy Mój Boże, co za obraz nędzy i rozpacz, co za makabra! Było tak: otworzył mi chwiejący się na nogach, zarośnięty i zachrypnięty facet, który twierdził, że Anulki nie ma w domu. Wewnątrz panował półmrok, po chwili dostrzegłam jednak, że Anulka pojawiła się za jego plecami. Facet odwrócił się, spoglądając w tym samym kierunku co ja.

- A, jesteś! To nie byłaś dzisiaj w szkole, łachudro?

- Tato, przecież od tygodnia mam grypę! - Widzę, jak Anulka odruchowo kurczy się, tak jakby za chwilę spodziewała się ciosu.

- Zmyślasz, migasz się po prostu od szkoły, ty cholerny nieuku!

- Naprawdę jestem chora, z trudem wstaję z łóżka - tłumaczy Anulka, mając łzy w oczach.

- Łzesz! Już ja ci te fanaberie chyba pięścią z głowy wybiję! Masz się zacząć uczyć, ty zakało rodziny! - Tato zaczyna się wyraźnie nakręcać, jest w swoim żywiole. Stoję w drzwiach przerażona, ale mężczyzna zupełnie nie zwraca na mnie uwagi. W przedpokoju pojawia się chudziutka i malutka, pomarszczona na twarzy pani w brudnym fartuchu, z przetłuszczonymi, rzadkimi kosmykami włosów. To pewnie mama Anulki, choć mogłaby być równie dobrze jej babcią.

- Heniu, zlituj się, daj spokój biedaczce, ona naprawdę ledwie na nogach się trzyma. Miej litość nad własnym dzieckiem - odzywa się bojaźliwym, jęczącym głosem.

- Milcz, kobieto, jeśli ci życie miłe!!! - ryczy rozwścieczony mężczyzna.

Anulka zanosi się nagle straszliwym, duszącym kaszlem. W drzwiach pokoju, z którego się wynurzyła, staje teraz jeszcze mniejsza, chudsza i dużo bardziej pomarszczona, rozczochrana pani z dziwnym, bardzo podejrzliwym i jednocześnie jakby nieobecnym wyrazem twarzy. To pewnie babcia.

- Anula, przyznaj się, dziecko, znowu żeś ukradła mi czapkę - mówi skrzekliwym, napastliwym głosem. Podchodzi do kaszlącej świszcząco i przeciągle Anulki i szarpie ją za rękaw. - No, przyznaj się

bez bicia, to ty mi ją ukradłaś, prawda?

- Babciu, nie zabrałam ci tej czapki - mówi Anulka, z trudem łapiąc oddech między kolejnymi atakami kaszlu. - Jest w twój ej szafce, na górnej półce. Anulka usiłuje uwolnić się z uścisku, ale babcia nie puszcza.

- Mamo, zostaw ją, ona niczego ci nie kradnie, nie wymyślaj głupot  
- wtrąca się mama Anulki.

- Jak ty się odzywasz do mojej matki, bo jak ci... - Tato zamachuje się niebezpiecznie ręką w stronę mamy.

Chrząkam głośno, by ściągnąć na siebie uwagę. Mężczyzna na moment opamiętuje się. Teraz babcia zbliża się do mnie:

- A to co za lafirynda?! To na pewno ty ukradłaś mi czapkę. Znam twoją matkę. Też ladacznicą, stoi na ulicy i kieckę zadziera. Niezłe ziółko! Córka się w matkę wrodziła. Akysz!

- Babciu, dosyć, wracaj do pokoju! - Anulka przeprasząco patrzy w moją stronę, a ja daję znak, że wszystko jest OK.

Mama Anulki prowadzi babcię pod rękę do pokoju. Staruszka nagle robi się łagodna i uległa, głaszcze swoją synową po rękę, mówiąc:

- Bardzo pani miła, dziękuję.

Mężczyzna macha na to wszystko ręką, narzuca płaszcz na ramiona i wychodzi. Anulka zaprasza mnie do środka, do kuchni. Przeprasza, że może mnie przyjąć tylko tutaj. Mówię jej, że to wszystko jedno, żeby się nie przejmowała, i wręczam czekoladę. Anulka jest strasznie zmieszana,

dziękuje chyba z dziesięć razy za odwiedziny i prezent, przeprasza za tatę i za babcię, tłumacząc, że staruszka ma

Alzheimera. Domyśliłam się.

Kuchnia to ciemna nora z mnóstwem zacieków na ścianach, w całym domu czuć moczem i stęchlizną - trudno się do tego przyzwyczaić. Z początku mam odruch wymiotny, ale jakoś to zwalczam. Boże, jak można tak żyć? Pytam Anulkę, czym się leczy. Odpowiada mi, że właściwie niczym. Postanawiam podrzucić jej coś z mojej domowej apteczki. Myślę o zbliżających się świętach i nie wyobrażam sobie, jak ci ludzie zamierzają je spędzić. W ogóle to wszystko przerasta wszelkie moje wyobrażenia. Pytam Anulkę, co będzie, jak jej tato wróci.

- Co? To, co zwykle, będzie się pieniał, awanturował, bił - mówi o tym jak o najzwyklejszych sprawach.

- Jak się przed nim bronicie? - pytam.

- Jak już nie damy rady, mama wzywa policję. Czasem go na trochę zamykają, ale potem bywa jeszcze gorzej. Nie ma na to rady, musieliśmy przywyknąć.

Skrzypnęły drzwi, do kuchni wchodzi kilkuletni, błydy wychudzony chłopczyk z mocno podkrążonymi oczyma. Jest głodny, rzuca się na czekoladę, dosłownie połyka ją w całości.

- Maruś, nie tak szybko, brzusek cię rozboli - odzywa się Anulka z troską w głosie. Mały wchodzi do niej na kolana i przytula się jak do

mamy Łzy stają mi w oczach.

Tego już za wiele jak na jedną wizytę, po prostu wymiękam. Zostawiam Anulce zeszyty, obiecuję, że podrzucę leki i coś do jedzenia. Wychodząc, widzę zataczającego się, a raczej na czworakach pełznącego w stronę domu tatę Anulki. W domu zastaję na biurku list od mojego taty (całe szczęście, że mój ojciec nigdy nie pił i jest normalny - teraz dopiero to doceniam). Wyjmuję z koperty wspaniałą, grającą kartkę świąteczną z serdecznymi życzeniami oraz list z przeprosinami, że do

Polski na razie nie da rady przyjechać. Namawia mnie, żebym przyleciała na jego koszt do Anglii, i przesyła pieniądze, żebym sobie kupiła coś ładnego pod choinkę. I znowu trzeba będzie jechać na zakupy! Ale i tak bym musiała, ciągle przecież nie mam prezentów. Chyba nie uda mi się uniknąć przedświątecznego szaleństwa w sklepach. Muszę też wysłać świąteczne kartki, przede wszystkim do tatusia, teraz już tylko priorytetem! Ale się zagapiłam!

Mamutka wpadła pod wieczór jak burza do mojego pokoju oznajmić mi, że... (w tym momencie wzięła głęboki wdech) na Boże Narodzenie przyjadą do nas (znów głęboki wdech i dalej na jednym wydechu): babcia Sabina, mama Włodka („poznasz ją, to bardzo miła pani”) i ciocia Merry Very. Ciocia Merry Very to Marysia, którą mama nieco dziwnie kiedyś przezwiała, i tak się już w rodzinie utarło. Jest młodszą siostrą mamutki i wielkim naukowcem na uniwersytecie w Warszawie. Mama zawsze miała przez nią kompleksy myśląc, że tak



naprawdę jest od niej dużo inteligentniejsza i to ona powinna była pracować na uczelni, bo lepiej się uczyła i w ogóle, co tu kryć, po prostu była lepsza pod każdym względem. Tylko że najpierw jako starsza siostra musiała się opiekować ciocią Merry Very, a potem wyszła za męża i urodziła dziecko. Karierą zajął się w naszej rodzinie tatuś, a mamut-ka wylądowała w biurze, którego nie cierpi („nie cierpieć” to zresztą jedno z jej ulubionych słówek). Może ten tradycyjny schemat rodziny nie odpowiadał jej i dlatego tak się skończyło jej małżeństwo...

- Słuchaj, a jaka jest ta mama Włodka? - pytam nie bez pewnych obaw, w końcu to mają być święta, a tu nagle przy wspólnym stole pojawi się całkiem obca osoba.

- Pani Jagoda? Zobaczysz sama, jest... trudno ją opisać w kilku słowach, zobaczysz.

- Mamo, a gdzie my wszyscy będziemy spać?

- Nie rób problemów, coś się wymyśli. Maryśka w twoim łóżku, ty na materacu, babcie w gościnnym pokoju, jakoś się pomieścimy.

Dobrze, że chociaż ona w niczym nie widzi problemu. Tak więc zbliżają się święta... Tymczasem jutro ma być kolejna próba UFFO, Izka już do mnie dzwoniła w tej sprawie. Nie mam odwagi pójść, nie mogę im przecież wszystkiego popsuć moim fałszowaniem. Przyszło mi do głowy, że napiszę dla nich słowa piosenki. I tak też zrobiłam. Jak Paweł skomponuje do tekstu muzykę - musiałyby to być coś transowochilloutowo-psychodelicz-nego - będą mieli przebój, czuję to w

kościach. Uffoludki, oto prezent świąteczny ode mnie:

UFF, ODETCNIJ Z ULGĄ I Pośrodku nocy miasta, wpatrzeni w ciemność gwiazd i w oczu swoich gniazda, gdzie lęgnie się miłości ptak, stoimy tak naprzeciw swych pragnień i swych żądz.

Ref.: Uff, odetchnij z ulgą - nie jesteś sam. W labiryncie ciemnych ulic znalazłeś jasny znak.

Ulice pełne zgiełku, neonów nęci blask. Zatańczmy pośród tłumu, patrz: spowija nas tu mgła. Stoimy tak naprzeciw już tylko ty i ja.

Ref.: Uff, odetchnij z ulgą - nie jesteś sam. W labiryncie ciemnych ulic znalazłeś jasny znak.

Ufff, odetchnij z ulgą... Uffff, odetchnij z ulgą...

## **Rozdział IV**

### **O mniejszych i większych nieporozumieniach, o radosnych chwilach i o wielkim, niezmiernym smutku z powodu niepojętego zdarzenia, które o mały włos nie doprowadza mnie do obłądu**

26 grudnia, przed zaśnięciem, po dniu nieprzyzwoitego obżarstwa, które owo zaśnięcie znacząco utrudnia, co zmusza do zajęcia się chwilowo inną jakąś czynnością; zatem najlepiej - jak zwykle - zaczęłam pisać, zwłaszcza że donośne chrapanie pani Jagody, słyszalne w całym domu, również nie rokuje zbyt dobrze zasypianiu

Wreszcie udało mi się znaleźć wolną chwilę. W tym świątecznym zamieszaniu trudno wykraść choćby moment na pisanie pamiętnika. Ciocia Merry Very pojechała dziś z powrotem do Warszawy. Dobrze, że była, wypytałam ją przy okazji o studia - na jaki kierunek radzi mi zdawać. Ona jest umysłem ścisłym, ale mnie do nauk ścisłych nie nakłaniała. Powiedziała, żebym studia wybrała zgodnie z zainteresowaniami. Poza tym pogadałyśmy wczoraj i dziś o wielu innych sprawach. Bardzo lubię ciocię. Pod choinkę dostałam od niej jakieś uczone książki, jedna jest zdaje się o fizyce gwiazd, a więc na czasie, wzięwszy pod uwagę moje niedawne nocne medytacje.

Nie obeszło się, niestety, bez kłótni między ciocią Merry i mamutką przy wigilijnym stole. Na szczęście babcia Sabina prędko

ucięła wszelkie utarczki. Ciocia jest zupełnie inna niż mama, wcale nie widać - ani po wyglądzie, ani po zachowaniu - że to rodzone siostry. Jest dużo szczuplejsza od ma-mutki, ma ostrzejsze rysy twarzy za to mniej krzykliwie się maluje. Nosi supereleganckie ciuchy z drogich sklepów, używa perfum o dyskretnym zapachu. W niczym nie przypomina typowego naukowca, na przykład takiego, który nie dba o siebie, chodzi z głową w chmurach i zapomina się uczesać albo zakłada sweter na lewą stronę. Zachowuje się bardziej powściągliwie niż mamutka. Gdy chce komuś okazać swoją wyższość (robi to raczej rzadko), używa wyszukanych słów, które nie każdy rozumie. Mamę to chyba drażni, dlatego dość prędko zaczęło się wypominanie przeszłości i wyciąganie brudów sprzed lat. Mamutka ma jedną podstawową wadę: nie potrafi zapomnieć czegoś, co uzna za swoją krzywdę. Jeśli ktoś raz jej zajdzie za skórę, ma do niego pretensje przez całe życie. Będzie do tego wracać, choćby minęło dziesięć czy dwadzieścia lat. Taka już jest i pewnie pod tym względem się nie zmieni. Cóż, trzeba do tego po prostu przywyknąć. Wypomina mi czasem rzeczy których ja kompletnie nie pamiętam, a ona nawija (lubi powtarzać te same teksty jak mantrę), że straszliwie ją zraniłam (powiedzmy jakieś pięć lat temu, psując jej ulubioną lokówkę, którą wzięłam bez pytania). No, ma te swoje różne-mniejsze i większe-wady ale i tak jest kochana.

Wracając do świąt, a przede wszystkim do Wigilii - mamutka była spięta, chyba nawet nie tyle z powodu cioci Merry, ile z uwagi na

obecność pani Jagody Ta starsza, siwa pani w lokach, ubrana w koronki, obwieszona złotem i umalowana różową szminką, okazała się niesamowitą duszą towarzystwa. Sypała z rękawa wesołymi anegdotami i wszyscy zaśmiewaliśmy się do łez, zwłaszcza gdy zaczęła opowiadać o swoich zalotnikach z czasów młodości, których napuszczała na siebie nawzajem. Co drugie zdanie kończyła charakterystycznym stwierdzeniem: „fajno jest”. Wyraźnie nadużywa tego powiedzonka, co daje komiczny efekt. Siedziałam obok niej przy stole. Co chwilę nachylała się ku mnie, ścisnęła moją rękę, mocno nią potrząsała, puszczała do mnie oko i powtarzała to swoje: „fajno jest, prawda?”. Na swojego syna pokrzykiwała co i rusz, czemu się nie odzywa, że ma coś sensownego wreszcie powiedzieć, ale Włodek jakoś nie bardzo się do tego kwapił. Po mamutce widać było natomiast, że śmieje się raczej odruchowo, a tak naprawdę myślami jest gdzie indziej - pewnie zastanawiała się, co też ta pani Jagoda myśli o naszej rodzinie i o naszej kuchni. W gotowaniu pomagała nam oczywiście babcia Sabina, bez niej przepadłybyśmy z kretesem. Na szczęście na stole niczego nie zabrakło. Pod choinką zaś znalazło się mnóstwo prezentów - Włodek wcielił się w rolę Świętego Mikołaja. Pani Jagoda powiedziała mu, że ma nikomu nie przepuścić - każdy musiał coś zaśpiewać albo przedstawić, by odebrać prezent. Tym sposobem odśpiewaliśmy całkiem sporo kolęd. Potem pani Jagoda zagadała się z babcią Sabiną, mamutka i ciocia Merry zabrały się za zmywanie naczyń (oczywiście wracając przy tej okazji do sprzeczki o

to, która z nich w młodości miała bardziej przechlapane), Włodek uciekł do telewizora, a po mnie jak co roku przyszła Izka, żeby mnie wyciągnąć na pasterkę. Pod klatką czekali już na nas Marcin i Paweł. W kościele wdrapaliśmy się na chór, skąd dobrze widać było ołtarz i żłóbek. Gdy patrzyłam szopkę, przypomniałam sobie o istocie świąt - narodzinach Chrystusa - i ogarnął mnie wtedy miły i błogi spokój.

Następne dwa dni upłynęły nam na jedzeniu, rozmowach o wszystkim i o niczym na zmianę oraz na bezmyślnym gapieniu się w telewizor.

28 grudnia

Po świątecznym zamieszaniu w domu zapanował spokój. Wczoraj jednak trafiłyśmy z Izką na odlotową imprezę do Ewci. Było naprawdę odlotowo, tylko, niestety, ze szczególnymi, niezbyt odlotowymi atrakcjami, które postaram się opisać.

Postanowiłyśmy nie zabierać ze sobą naszych panów, poszłyśmy we dwie, taki miałyśmy kaprys, sama nie wiem dlaczego. Ewcia urządziła balangę w mało znanej, piwnicznej knajpce, do której można wejść wyłącznie na specjalne zaproszenie. W drodze do tej knajpki byłyśmy świadkami pewnego niezbyt przyjemnego incydentu na jednej z ulic Starówki. Incydentu z udziałem... naszej kochanej, dawno niewidzianej kumpeli z ulicy Urokliwej - Mariolki! Idąc, w pewnej chwili zauważyłyśmy bandę szalikowców okupujących mały skwerek, a wśród nich Mariolkę pociągającą razem z nimi jakieś tanie wino z

gwinta. Nie wierzyłam własnym oczom, a jednak to była prawda! Tym razem Mariola nie robiła fikołków, ale prawdę mówiąc, wolałabym być świadkiem najdziwszych akrobacji w jej wykonaniu, niż zobaczyć to, co zobaczyłam. Jeden z kolesiów, duży wytatuowany łysol, szarpał ją za kurtkę i wyzywał od szmat, a ona próbowała mu się odgryzać, rzucając mięsem, że aż uszy wędły. Mariolka na pewno nas nie widziała. Była zamroczona alkoholem. Towarzystwo zachowywało się bardzo głośno, wulgarnie i wyzywająco, zastraszało wszystkich przechodniów. Wykrzykiwali prymitywne bzdury w rodzaju: „Żydzi do gazu”, „Lesby i geje - zrobimy z wami to, co Hitler z Żydami”. Przemknęłyśmy się szybko dalej, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nie wiedziałyśmy jak skomentować tę sytuację - byłyśmy w szoku. No i - co tu dużo kryć - najadłyśmy się strachu.

Na szczęście na imprezce panował klimat całkowicie odmienny. Było wiele osób starszych od nas, różne oryginały. Nie powiem, żeby mi to trochę nie imponowało - znaleźć się nagle w takim towarzystwie. Muzę zapodawała didżejka, kumpela Ewci, i naprawdę nieźle jej to szło, rozkręciła zabawę na całego. W którymś momencie, kiedy zrobiłyśmy sobie z Izką przerwę w tańcach, przysiadł się do nas gość z grupy starszych od nas osób, niesamowity przystojniak. Izka od razu zaniemówiła z wrażenia, ale jak zaczął do nas zagadywać, to mnie od razu odechciało się jego towarzystwa - był zmanierowany do bólu. Przede wszystkim dopytywał się, czego słuchamy. Gdy mu rzuciłyśmy

parę nazw zespołów, skrzywił się i usłyszałyśmy, jak mówi z wyraźnym politowaniem:

- No tak, tak... W tym wieku to się jeszcze takich rzeczy słucha...

- A ty czego słuchasz? - pyta Izka, najwidoczniej zdruzgotana swoim małolactwem i brakiem orientacji w najnowszych trendach.

Jak rozpoczął wymienianie, to oczywiście żadna z nazw nic, ale to zupełnie nic nam nie mówiła, więc znowu miałyśmy uczucie, że jesteśmy zacofane i brak nam wtajemniczenia. Kiedy się wreszcie przeniósł do innego stolika, odetchnęłyśmy z ulgą a propos, szkoda, że nie mam refleksu, mogłam wymienić UFFO, też nie wiedziałby, o co chodzi).

Potem nagle wyrósł przed nami jak spod ziemi Bolek, jako jedyna oprócz mnie osoba z klasy na tej imprezie. Powitał nas radosnym okrzykiem: „Cześć, Nieziemskie Laski!” akurat wtedy gdy na moment przycichła muza, tak że wszyscy to usłyszeli i spojrzeli z zaciekawieniem w naszą stronę. Gorąco mi się zrobiło i chyba musiałam być czerwona po czubek głowy Izka jednak wydawała się zadowolona, lekko uśmiechając się, wodziła wzrokiem po sali. Didżejka miksowała i sampłowała coraz lepiej - nogi same rwały się do tańca, więc udaliśmy się w trójkę na parkiet, a tam dołączyła do nas rozbawiona Ewcia. Ja i Izka poszłyśmy w tańcu na całość, pomyślałam, że teraz już nic nie mam do stracenia, i jakoś udało mi się wyzbyć mojego imprezowego sztywniactwa. Ani Bolek, ani Ewcia za nami nie nadążali - to był istny



trans, nawet przystojniak stanął obok z rozdziawioną gębą. Zamknęłam oczy i poddałam się rytmowi muzyki. Trwało to dość długo. W pewnej chwili mój taneczny trans przerwał jakiś huk - coś się stało. Otworzyłam oczy i z przerażeniem spostrzegłam wkraczających na salę pijanych szalikowców. Po drodze zdążyli już kogoś wprasować w ścianę. Na czele szedł łysol, który szarpał Mariolkę. Jej z nimi już nie było, pewnie zaległa gdzieś na skwerku pod ławką. Łysol rozglądał się groźnie, był wyraźnie nabuzowany i gotowy do bójki, szukał zaczepia. Jego koledzy czekali tylko na jego znak, niewątpliwie to on był ich wodzem. Pewnie przyszli szukać tych „Żydów i gejów”, z którymi trzeba zrobić porządek. Zgroza! Łysy, nalany kark podszedł do ludzi siedzących z boku pod ścianą i przewrócił ich stolik. Potem słychać już było tylko brzęk tłuczonego szkła i trzask łamanych krzeseł. Jakimś cudem nikt na razie - oprócz tego nieszczęśnika zrównanego po drodze ze ścianą - jeszcze nie dostał. Stałyśmy z Izką sparaliżowane. Nagle patrzę, a w stronę łysego idzie Bolek. Chciałam go złapać za rękaw i przytrzymać, ale nie zdążyłam. Zamarłam, przekonana, że z Bolidem już koniec. Stało się jednak inaczej - no tak, racja - Bolek jest przecież kibicem! Dzięki Bogu wiedział, jak gadać z łysolem - kibolem, bo są fanami tej samej drużyny. Przekonał go więc jakimś cudem do odwrotu. Izce po ich wyjściu nerwy kompletnie puściły, zaczęła płakać. Inne laski też się rozbeczały, zapanował zamęt, zbiorowa histeria i panika. Część ludzi (przeważnie starsze od nas oryginały) uznała imprezę za skończoną i opuściła lokal w

poszukiwaniu lepszej mety. Ewcia siedziała z bolcu na krześle zupełnie załamana, patrząc nieruchomym wzrokiem przed siebie. Ktoś pomagał pobitemu chłopakowi, który stracił ząb i miał podbite oko. Ja nie wiedziałam czy uspokajać najpierw Izkę, czy zabrać się za pocieszenie Ewci.

- Jośka, skąd ja wezmę forszę, żeby zapłacić za te zniszczenia? - To były pierwsze słowa Ewci, gdy się wreszcie ocknęła.

- Nie martw się, coś wymyślimy - mówię, ale tak naprawdę nie mam pojęcia co, przecież nie zbiórkę makulatury. - Na szczęście tylko tak się skończyło, mogło być znacznie gorzej, ciesz się, że nie musisz pokrywać komuś kosztów operacji plastycznej. Widzisz, mówiłaś, że w Belgii jest smutno. U nas za to wesoło jak diabli. Ale tak w ogóle imprezka była super, serio, dawno się tak nie bawiłam.

Mimo tych słów myślę, że imprez w knajpach na długo mam dość - lepiej już trzymać się Marcina, Pawła i Izki, zaszyć się z nimi w domowych pieleszach.

Dziś nie dawała mi spokoju myśl o Mariolce - ciągle miałam przed oczami obraz tej żenującej sceny na Starym Mieście. Jak można dać się tak upodlić? Albo raczej samemu się tak upodlić? Czemu Mariolka się nie szanuje? Jak to się stało, że nagle - nie wiadomo kiedy - stoczyła się na dno? Czy mam ją dalej traktować jak swoją koleżankę? A jak narazi mnie na kontakt z tym jej nowym przyjacielem, łysolem-ki - bolem? O nie, tylko nie to! Postanowiłam przepytąć na tę okoliczność Ilonkę.

Akurat siedziała dziś w domu i pociła się nad podręcznikiem do historii.

- Nie wiesz, jak się zapamiętuje daty? - pyta, kiedy wchodzi, z taką rozbijającą bezradnością na twarzy że aż mnie rozczula.

- Mogę ci pożyczyć kasetę Raperów znad Wisły.

- Jasne, dobre i to. A w ogóle po co mi te daty? Chcę się zająć w przyszłości przedłużaniem paznokci, tak jak jedna moja kuzynka. To fajny fach. Jak się wprawię, nawet jest szansa, że zarobię jakieś pieniądze - Ilonka wyraźnie się ożywiła.

- Słuchaj, Ilonka... Zdarzyła się wczoraj dziwna rzecz... - Nie bardzo wiem, jak zacząć temat Mariolki, żeby nie posądziła mnie o wścibstwo. - Byłam z Izką na Starówce i widziałam Mariolkę w takim towarzystwie...

- A tak - przerywa mi Ilonka. - Ona znalazła wreszcie to swoje towarzystwo. Cały czas opowiadała tylko o tym. Mówiła, że to fajowi ludzie, ale uznała, że ja bym do takiego towarzystwa nie pasowałam, i już się teraz razem nie trzymamy. Zaczęła gdzieś znikać beze mnie, a ja się wzięłam za naukę. Zresztą aż tak bardzo mi na jakimś tam towarzystwie nie zależy wolę poczytać o pielęgnacji urody. Kuzynka pożyczyła mi całą stertę czasopism.

- Racja, święta racja, Ilonko! - Nie chcę już niczego dalej komentować.

Dobrze, że Ilonka nie widziała wczoraj Mariolki. Chciałabym zostawić to wydarzenie bez komentarza, ale mimo woli nasuwa mi się na

myśl stare przysłowie o byciu kowalem własnego losu.

29 grudnia

Zastanawiam się, jaki okaże się ten nadchodzący rok, co mi przyniesie. Może iść do wróżki? Izka namawiała mnie kiedyś, ale to chyba nie ma sensu - to tylko wyciąganie forsy od naiwnych. Zawsze gdy jest schyłek roku, myślę już o nowym, że musi być lepszy od poprzedniego, że coś się na pewno radykalnie zmieni, chociaż takie myślenie jest raczej nierozsądne. Potem oczywiście rozczarowuję się, kiedy nic się nie zmienia, wszystko zostaje po staremu. Tym razem też nie mogę pozbyć się natrętnej nadziei na odmianę i nowość, na jakieś wydarzenie, które wszystko zmieni w moim życiu.

Tymczasem zbliża się sylwester. Właśnie przebieram w setkach propozycji i zaproszeń, które się z tej okazji posypały. A tak na serio to nawet gdybym je dostała, nie zamierzam nigdzie się ruszać - mamutka z Włodkiem jadą na jakiś bal [Niech żyje bal...], za miasto. Wrócą dopiero w Nowy Rok wieczorem. Mamutka zdążyła już przefarbować z tej okazji włosy na niebiesko. Nawet nie mrugnęłam na jej widok - człowiek naprawdę do wszystkiego jest w stanie przywyknąć. Do mnie natomiast przychodzi Marcin. Mieli być też Izka i Paweł, ale okazało się, że UFFO gra w pewnym znanym klubie, szykuje się więc dla nich życiowy występ. Izka nie może zrozumieć, dlaczego nie chcemy się tam wybrać z Marcinem - tak jakby już zapomniała, co się może przytrafić w klubie zwyczajnemu, spokojnemu obywatelowi. No dobra, wiem, że

przesadzam, ale po prostu odeszła mi chęć do wszelkich imprez, nawet z udziałem UFFO, choć jestem przecież ich stałą fanką (ciekawe, jak zareagowali na przekazany przeze mnie tekst... Pewnie go wyśmiali, bo Izka milczy na ten temat jak grób).

Kończę na dziś z pisaniem, muszę wykorzystać wolne chwile i sięgnąć do nauki - zaczynam zapominać, co czeka mnie w lutym. Ani się obejrzę, a będę w pociągu do Warszawy Trzeba zrobić wszystko, żeby się nie zbłąźnić na olimpiadzie.

1 stycznia

Sylwester już za nami... Ciężko mi będzie o nim opowiedzieć, wstydzę się - nawet przed samą sobą. Sylwester we dwoje... Napiszę krótko: stało się... TO. Dziewczyny z Urokliwej! Poziom doświadczeń wyrównany! Już Mariolka i Попка nie będą miały podstaw, żeby się ze mnie naśmiewać. Myślałam, że do tego nie dojdzie, bo jest jeszcze za wcześnie. Nikt nam przecież nie kazał się z tym spieszyć. Takie myślenie jest straszliwie staroświeckie, ale lubię czasem iść pod prąd. Myślałam nawet o poczekaniu, aż będziemy po ślubie, licząc na to, że Marcin mi się oświadczy Miałam różne - okropnie nie na czasie - marzenia. Marcin postawił jednak sprawę jasno: nie zamierza czekać w nieskończoność.

Wieczór zaczął się od lawiny telefonów: wydzwaniała Izka na zmianę z całą resztą uffoludków, że mamy natychmiast przyjeżdżać do klubu, bo bez nas nie wyobrażają sobie sylwestra. Nie było wyjścia,

pojechaliśmy Wchodzimy do klubu: pełno ludzi, trochę znajomych twarzy. Nagle słyszę su-permelodię - UFFO właśnie wznowiło koncert po przerwie - i... słyszę swój tekst. A więc jednak! Piosenka brzmiała bosko! Podziękowałam im przy okazji składania życzeń noworocznych, a oni odwdzięczyli się, mówiąc, że tekst bardzo przypadł im do gustu. Zaraz potem wyrwałam się z Marcinem z klubu - bałam się o Boniego, źle znosi fajerwerki. Po powrocie (oraz drobnej reanimacji Boniego, który, tocząc pianę z pyska, zdawał się właśnie schodzić z tego świata) wznieśliśmy jeszcze jeden toast i wtedy trochę mi się zakręciło w głowie. Potem wszystko potoczyło się już szybko - zdecydowanie za szybko. Czułam się tak, jakbym cały czas była gdzieś obok, jakbym nie miała wpływu na to, co się ze mną dzieje. Ogarnął mnie jakiś rodzaj paraliżu. Marcin okazał się w TYCH sprawach niezwykle doświadczony mimo to nie odczułam ani odrobiny przyjemności, tylko ból. Cały czas byłam spięta. A miało być tak pięknie...

Zaskoczyła go wiadomość, że ja wcześniej z nikim TEGO nie robiłam. Miałam wrażenie, jakby wrócił na jego twarz ten nielubiany przeze mnie cynizm czy może ironia - ciężko to określić. Przez moment poczułam się upokorzona. Było to uczucie podobne do tego, co czułam na imprezie u Ewci w obecności nadętego przystojniaka, że jestem jakaś dziecinna i zacofana. Myślałam, że Marcin doceni to, że się ucieszy. Chyba jednak jestem naiwna... Mam romantyczne wyobrażenia, rodem z Romea i Julii. Niektóre głupie dziewczyny tak mają. Nagle spadły mi

klapki z oczu: nie ma takiego Marcina, jakiego widziałam - nieśmiałego, wrażliwego... Ja go po prostu wymyśliłam. I co ja miałam powiedzieć na jego z lekka rozbawioną minę, kiedy mówił z niedowierzaniem:

- To ty, dziecinko, jeszcze nigdy z nikim? Nie gadaj... W dzisiejszych czasach... No, no... Co za podziwu godna wytrwałość!

Nie wiedziałam, jak się zachować, byłam strasznie skrępowana. Spodziewałam się po

Marcinie większej delikatności, ale on po prostu sięgnął po swoje. Kiedy już było po wszystkim, zapalił papierosa.

- Wiesz, że na co dzień nie palę, ale w takich momentach papieros dobrze robi, spróbuj.

Właściwie nie miałam najmniejszej ochoty ale żeby znów nie wypaść na zacofaną, wzięłam. Skończyło się moim straszliwym kaszlem i śmiechem Marcina, który zaczął mi pokazywać, jak się należy zaciągać. Chciało mi się płakać, z trudem powstrzymywałam łzy. Coś we mnie nagle pękło, poczułam jakiś ból w środku i olbrzymi żal, że to wszystko nie tak... Zgasiłam papierosa (chciałam to zrobić na czole Marcina, szkoda, że się nie odważyłam). Potwornie zapragnęłam cofnąć czas, nie dopuścić do tego, żeby ta sytuacja zaistniała. Świadomość, że jest za późno, stała się niemal koszmarem. Na domiar złego Marcinowi zebrało się na zwierzenia i zaczął opowiadać mi o swojej największej miłosnej przygodzie życia ze starszą od siebie babką, o tym, co razem wyrabiali, dopóki nie dorwał go w swoje ręce jej zazdrosny mąż... Boże,

litości! Co się dzieje? Czy świat zwariował? Nie wytrzymam! W dodatku mam to głupie przeświadczenie, że sylwester i to, jak się bawiłam w tę noc, będzie miało wpływ na cały nowy rok.

4 stycznia

Marcin przyszedł następnego dnia. Wydawał się nieco skruszony starał się załagodzić sytuację, widząc, że nie bardzo mam ochotę z nim rozmawiać, ale tylko pogorszył mój nastrój:

- Słuchaj, nie bierz wszystkiego tak na serio - mówi.  
- Wiem, pewnie sobie wyobraziłaś, że jestem księciem na białym rumaku. Nic z tego, nie ma książąt z bajki. Jestem tylko zwykłym chłopakiem - ciekawym życia jak wszyscy.

- No i co, zaspokoiliś swoją ciekawość? Czujesz się z tym lepiej?  
- Proszę, nie dogryzaj mi, czy musimy się kłócić w Nowy Rok?  
- Nie, nie musimy wystarczy, żebyś stąd zniknął! Nagle ogarnęła mnie wściekłość, już w zasadzie nie tyle na Marcina, co na cały świat. Poszedł, a gdy tylko zostałam sama, natychmiast miałam ochotę go wołać, żeby wrócił, tylko mój honor na to nie pozwalał. Pojawił się we mnie lęk, że już nigdy nikt mnie teraz nie zechce, że jestem splamiona i za wszelką cenę muszę zatrzymać przy sobie Marcina. Jakiś obłąd. Poniżenie, zero poczucia własnej wartości.

W pewnym momencie - gdy zdołałam na chwilę wyłączyć to moje głupie myślenie, które natrętnie powracało - coś mnie tknęło, coś sobie nagle przypomniałam. Odnalazłam w notesie numer do Bolka i nie



zastanawiając się nad niczym, złapałam za telefon. Odebrała mama

Bolka:

- Dzień dobry przepraszam, że dzwonię w Nowy Rok, ale to bardzo pilne - czy mogłabym rozmawiać z Bolidem?

- Tak, chwileczkę, już go proszę. - Halo! Kto mówi?

- Cześć Bolek, tu Jośka. Sorry, że ci zajmuję świąteczny czas, ale muszę wiedzieć jedną rzecz, to dla mnie cholernie ważne.

- Jasne, nawijaj.

- Czy w listopadzie Marcin był razem z tobą na meczu, a po tym meczu była zadyma i Marcin oberwał od pseudokibica?

- Pierwsze słyszę, w listopadzie w ogóle chyba nie było żadnych meczów... Z tego, co sobie przypominam... A Marcin nigdy..

- Dobra, dzięki, miłego świętowania!

Rzuciłam słuchawkę. Okłamał mnie - śliwa pod okiem była dziełem zazdrosnego męża. To wtedy miał miejsce romans, a Marcin już zabezpieczał tyły czarując mnie swoimi tekstami, by nie zostać na lodzie. Będziemy razem tysiąc lat... Ty idiotko! Na co ty się dałaś nabrać! Czemu ja nie słuchałam mamutki - nie myliła się, od początku czuła pismo nosem. Byłam zdruzgotana...

Wczoraj rano Marcin przysłał mi SMS-a z przeprosinami i błaganiem o spotkanie. Po długim namyśle zgodziłam się - z zamiarem, że zabiorę na nie jakieś tępe narzędzie do zgładzenia go w okrutny i bolesny sposób, uciekając się przedtem do wyrafinowanych tortur.

Spotkaliśmy się w parku, zrywając się - jak za starych dobrych czasów - z budy W drodze do parku obmyślałam tortury..

Dowiedziałam się od Marcina, że tamta to zła kobieta była, więc też mu odpaliłam tekstem z Psów. Nie chce mi się z tobą gadać (kiedyś razem oglądaliśmy ten film na wideo i czasem - tak dla żartu - rozmawiamy ze sobą cytatami). Co mnie to obchodzi, jaka ona była - jeśli go wykorzystwała, nie znaczy jeszcze, że teraz on mógł wykorzystać mnie. Wiele przykrych słów padło później między nami, ja płakałam, a Marcin tłumaczył mi, że nie można idealizować facetów, że jestem oderwana od życia, że w życiu nie jest wcale tak jak w tej mojej poezji. Odparowałam mu, że jest cynicznym gnojem i zaraz go zabiję (niezupełnie w stylu „tej mojej poezji”) - niestety, nie panowałam nad sobą i cała moja polityka dystansu, której jeszcze do niedawna starałam się za wszelką cenę trzymać, odeszła w kompletną niepamięć. W końcu zapędziłam się tak, że zapomniałam, o co właściwie się na niego wydzieram, o co mi samej w tym wszystkim chodzi i czego od niego i od życia oczekuję. Właśnie zaczął sypać gęsty śnieg, a ja stałam naprzeciw Marcina i patrzyłam już tylko otępiałym wzrokiem. Wtedy podszedł do mnie i przytulił mnie. Nagle opadły ze mnie wszystkie emocje.

- Już cicho, dziecinko, jestem z tobą, naprawdę będziemy razem tysiąc lat, nie kłamałam, tylko po prostu nie jestem doskonały Wybacz. Nie powinienem lekceważyć tego, że to był twój pierwszy raz, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Tak naprawdę bardzo ci tego zazdroszczę i jestem

zły na siebie, że też nie zaczekałem. I wiesz co? Mam coś dla ciebie.

- Marcin wygrzebał z kieszeni pudełeczko. W środku znajdował się pierścionek z oczkiem. - Możesz to potraktować jako moje oświadczyzny. Dobra? Od dziś jesteśmy zaręczeni.

Znowu, po raz kolejny w ostatnich burzliwych czasach, odetchnęłam z ulgą. Nagle ogarnął mnie głęboki spokój - niepotrzebnie spanikowałam, za szybko zwątpiłam w Marcina. Każdy ma przecież prawo do słabości czy błędów. Chyba rzeczywiście za dużo od niego wymagałam. Jestem pewna, że wszystko się ułoży (choć zaręczyn nie biorę do końca na serio - cóż, odezwała się we mnie jednak polityka dystansu). A skąd ta pewność? Nie wiem, spłynęła na mnie z nagłą niczym łaska z niebios.

5 stycznia

Za tydzień będą moje urodziny. Szykujemy małą prywatkę? No pewnie! Mam pomysł: będzie to impreza w stylu lat 70. Nagrania z tego okresu pożyczę od mamutki! Teraz jednak do nauki!

Aha, muszę jeszcze wspomnieć o Anulce - odwiedziłam ją jakiś czas temu ponownie - z lekarstwami i żarciem, którego my i tak nie przejadamy. Na tatusia - przyjemniaczka natknęłam się już przed ich domem, właśnie wychodził się przewietrzyć. Zaczął mnie zaczepiać, obłapywać i robić różne propozycje nie do odrzucenia. Trochę się wystraszyłam, zwłaszcza gdy zauważyłam w pobliżu jeszcze dwóch podobnych typów, z pewnością jego kompanów do wypitki. Na

szczęście w progu stanęła mama Anulki i tatuś raczył się oddalić z kolegami. Z Anulką niedobrze - jest jeszcze chudsza, niż była, nie może wyzdrowieć, ciągle kaszle. Poradziłam jej, żeby poszła z tym wreszcie do lekarza. Szkoda mi tej dziewczyny i jej bliskich, ale nie bardzo wiem, jak można by im pomóc. Te moje podarunki chyba mogą ich stawiać w niezręcznej sytuacji. Przypomniałam sobie, że Anulka ma duże poczucie godności i z pomaganiem trzeba raczej podchodzić ostrożnie.

Babcia Anulki tym razem na mój widok ruszyła do ataku z parasolką i zaczęła mnie nią solidnie okładać, tak że trzeba ją było siłą odciągać. Może to znak, żebym się tam jednak nie pojawiała...

6 stycznia

Dziś w szkole podeszła do mnie Monia. Wreszcie. Rozmawiając z nią, miałam poczucie, jakbym rozmawiała z kimś dawno niewidzianym, kto wrócił z dalekiej podróży. Nie owijając w bawełnę, zwróciła się do mnie z prośbą tak dziwną, że z początku kompletnie oniemiałam. Monia zapytała, czy pójdę z nią na USG takim tonem, jakby chodziło o pójście do kina.

- Wiesz, samej byłoby mi jakoś dziwnie, ktoś musi ze mną przy tym być.

- Jasne - wydukałam. - Najlepiej, kiedy jest to ojciec dziecka, nie uważasz?

- Jośka, zapomnij, nie ma o czym gadać. To co? Dasz się namówić czy nie? Jesteś jedyną osobą, do której mogłam z tym uderzyć.

- No dobra, mam jakieś inne wyjście?!

Zaraz po lekcjach wylądowałyśmy w poczekalni przychodni, załadowanej po brzegi kobietami, w większości brzuchatymi, którym towarzyszyli dumni mężowie, a czasem także dzieci - niektóre z nich niemiłosiernie piszczały i biegały po ciasnym pomieszczeniu wte i wewte. Panował zaduch, a krzesła były strasznie niewygodne. Zastanawiałam się, jak te kobiety to wytrzymują. Jedna zresztą nie mogła usiedzieć, ciągle wstawiała, stękając przy tym i trzymając się za brzuch wielki jak beczka.

Patrzyłam na to i zachodziłam w głowę, jak to się dzieje, że kobiecy brzuch może się tak rozciągać i nie pęka. Próbowałam też wyobrazić sobie poród, ale to przechodzi wszelkie moje wyobrażenia - pamiętam tylko scenę z jakiegoś filmu z Barbarą Streisand, kiedy facet pyta ją, co czuła, rodząc syna. Ona odpowiedziała wtedy mniej więcej tak: „No, wiesz, to tak, jakbyś chciał wypchnąć szafę przez lufcik”. Zapytałam Monie, czy bardzo się boi porodu. Głupie pytanie, z góry znałam przecież odpowiedź - jak tu się nie bać? Szafa przez lufcik... Komoda przez dziurkę od klucza... Może lepiej o tym po prostu za dużo nie myśleć.

Oczekiwanie na wejście do gabinetu ciągnęło się w nieskończoność, ale wreszcie doczekałyśmy się. Lekarz, mówiąc bardzo oględnie, był na nasz widok nieco zdziwiony, Monia wytłumaczyła mu jednak krótko, o co chodzi, i chcąc nie chcąc, zgodził się na moją

obecność. Potem zniknął wraz z Monia za zasłonką, a po chwili usłyszałam... bicie serduszka. To było naprawdę niesamowite przeżycie - nigdy nie myślałam, że jestem zdolna do takich wzruszeń. Łzy stanęły mi w oczach, w żaden sposób nie mogłam nad tym zapanować. Nagle to, co jeszcze przed chwilą było totalną abstrakcją, stało się konkretne, niemal namacalne. A więc będziemy mieć dziecko...

- Jośka, czy chcemy znać płeć? - woła do mnie Monia, a po jej głosie słyszę, że jest podekscytowana i jeszcze bardziej przejęta niż ja.

- Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić - mówi lekarz rzeczowym tonem i zaczyna nam objaśniać rozwój płodu.

- To nic. - Monia zdaje się tym wcale nie przejmować. - Ja i tak wiem, że to dziewczynka.

- Skąd wiesz? - pytam zaskoczona.

- Po prostu mam takie przeczucie, a moje przeczucia zawsze się sprawdzają. Myśl, jak ją nazwiemy.

- Dobra, ale na wszelki wypadek poszukam też paru męskich imion.

- Mówię ci, że to dziewczyna, uwierz - odzywa się Monia zza zasłonki apodyktycznym tonem.

- Zaraz zobaczycie zdjęcia - wtrąca się lekarz. - Ma 38 milimetrów.

- Ile?! Boże, to tyle, co ziarno fasoli! - wołam zszokowana. Po wyjściu z gabinetu, w drodze na przystanek, oglądamy zdjęcia, rozczulając się nad naszą fasolką. Z żeńskich imion najbardziej podobają się nam:

Malwina, Antonina, Pola i Marianna. W duchu przygotowuję jednak też parę męskich: Olaf, Łukasz, Jan, Tymon...

- Słuchaj, Jośka - odzywa się nagle Monia - chcę cię przeprosić za to, że byłam taka zamknięta w sobie. Aż do dzisiaj miałam depresję, zastanawiałam się, czy nie usunąć ciąży..

- No nie, ty chyba całkiem zwariowałaś!

- Wiem, dziś już wszystko wiem. Dziękuję ci, że ze mną poszłaś, jesteś wspaniała.

- Nie przesadzaj, w zasadzie nie dałaś mi wyboru. Ale od dziś to jest w pewnym sensie nasze wspólne dziecko, pamiętaj!

- Jasne, będziesz mamą chrzestną. Jak zgodzą się je ochrzcić, masz to jak w banku.

- No to super, nawet nie wiesz, jak się cieszę.

- Słuchaj, byłam tak skupiona na sobie, że chyba nawet nie pogratulowałam ci

Marcina... Fajna z was para, pasujecie do siebie. Jak się wam układa? - pyta zaciekawiona Monia.

- Dzięki - nagle poczułam się zmieszana, nie miałam ochoty opowiadać o ostatnich sprawach. - Wszystko w porządku, jestem naprawdę szczęśliwa.

- To czemu się nie cieszysz? - Monia robi podejrzliwą minę. - Mówisz to smutnym głosem.

- Coś ty zdaje ci się, wszystko gra. - Siłę się na naturalność.

- Na pewno? - Monia nadal patrzy z niedowierzaniem.

- Na pewno, on jest... to znaczy jesteście dla siebie stworzeni, wiesz? - Sama nie wierzę w to, co mówię. Jednak moja pewność co do Marcina mocno się zachwiała, może coś sobie wmawiam...? Na wszelki wypadek wracam zatem do tematu dziecka.

- A więc proponuję: na pierwsze Malwina, a na drugie...

- Na drugie damy jej Joanna, to już postanowione.

W domu opowiadam o dzisiejszym dniu mamutce. Jest wyraźnie zdziwiona moimi nowymi zainteresowaniami, a przede wszystkim samym faktem, że Monia spodziewa się dziecka. No tak, zdaje się, że nic jej o tym nie wspomniałam. Nie może uwierzyć, że byłam z Monia na USG. Jeśli chodzi o dzieci, to rzeczywiście, do tej pory w ogóle mnie nie interesowały ale teraz, prawdę mówiąc, nie mogę się już doczekać przyjścia Malwinki na świat - bo to z pewnością będzie ona - Malwinka!

8 stycznia

Napiszę tylko, że muszę się uczyć. To życiowa konieczność.

9 stycznia Uczę się.

10 stycznia

Nadal się uczę, nawet chemii, ale przede wszystkim mowy ojcowskiej.

11 stycznia

Uff, zarządzam dziś przerwę w uczeniu - idziemy z Marcinem do kina. Trafiliśmy na niezły film, który wykorzystuje zabawę



konwencjami, jest typowym pastiszem, z dużym poczuciem humoru, coś a la Tarantino. Zaśmiewaliśmy się, jak można doprowadzić do absurdu gangsterskie kino akcji, thriller czy sensację. Mieliliśmy niezłą zabawę, widząc na ekranie krew lejącą się wiadrami albo bohaterów walczących nadal, mimo iż zadano im jakieś pięć tysięcy ciosów i ran i w dodatku mają strzałę w głowie. Reszta sali oglądała obraz w grobowym milczeniu, z niezrozumiałą dla nas powagą, tak że mało nas nie zlinczowała za zakłócanie odbioru. Co za sztywniaki! A może to z nami rzeczywiście coś jest nie tak?

13 stycznia

Wczoraj były moje urodziny Powiem tylko: gorączka sobotniej nocy, szła ciał. Tak dobrze chyba się jeszcze nie bawiłam. Mamutkę z Włodkiem wyekspediowałam do ich starych dobrych znajomych za miasto. Przed wyjazdem mamut-ka zaproponowała, że ufarbuje mi włosy, ale grzecznie jej podziękowałam - potem sama by mnie jeszcze nie poznała i dopiero by było!

Na imprezkę oprócz Marcina i Izki przyszła brygada uffoludków, Ewcia, Bolek i Monia, która sprawia ostatnio wrażenie zmartwychwstałej. Będzie co wspominać, oj, będzie. Oczywiście dominowały stare hity, były przebieranki w stylu ABBY (ale zdjęć na wszelki wypadek nikomu nie udostępniam!). Najlepiej z przebraniem wypadła Ewcia - trudno się dziwić, pracuje już w lumpeksie, więc znalazła się u samego źródła inspiracji. Cóż, było naprawdę super,

zabawa do białego rana! Tylko sąsiadom współczuję, mam nadzieję, że mi wybaczą.

16 stycznia

Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem:

Jest czas rodzenia i czas umierania... czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płasów... (Księga Koheleta, 3,1-2; 3,4)

Przed chwilą jeszcze był czas śmiechu i czas płasów, ale minął, i zaraz potem przyszła pora płaczu, pora zawodzenia... Szukam słów, żeby opowiedzieć o tym, co się stało, i nie znajduję. Tłucze mi się tylko po głowie cytaty z Koheleta, zapamiętany z lekcji polskiego w pierwszej klasie. Próbuję wyrwać się z apatii, bo zazwyczaj po długotrwałym zawodzeniu przychodzi otępienie. Jestem w szoku, który nie mija. W sobotę była impreza mojego życia, bawiliśmy się jak nigdy, a potem przyszedł ten koszmarny poniedziałek... Weszłam do szkoły i poczułam, że coś jest nie tak. Zbyt cicho i pusto. Na korytarzu zobaczyłam Izkę, która przycupnęła na podłodze pod ścianą. To od niej dowiedziałam się, że Arti nie żyje.

18 stycznia

Nadal ciężko mi znaleźć słowa, by opisać to, co się stało... Mam wrażenie, że najlepiej byłoby po prostu milczeć. Tego poniedziałkowego ranka usiadłam obok Izki i zaczął dławić mnie płacz, jakiego wcześniej nie znałam - z trudem powstrzymałam wymioty. W taki sposób organizm

reaguje na psychiczny szok, teraz już wiem...

19 stycznia

Historia Artiego - o rany zupełnie przestałam o nim myśleć od czasu, gdy trafił do zakładu. Byłam taka o niego spokojna, że wyrzuciłam go kompletnie poza nawias moich myśli i spraw. A historia Artura... nie jest zawiła, jest całkiem prosta w swoim okrucieństwie: w zakładzie dobrze się przyjął, robił, co mu kazano, bardzo chciał zerwać z nałogiem. Niestety, był tam pewien koleś... To on przekonał Artura, żeby razem coś wzięli, tylko raz, bo to przecież nic takiego, potem dalej wszystko będzie po staremu. Arti dał się namówić. Nie wiadomo, skąd wzięli towar. Następnego dnia

Artur uciekł z zakładu i trafił prosto na dworzec. Dzięki starym znajomościom dostał to, na czym mu najbardziej zależało, i... przedawkował... albo może było to jakieś zanieczyszczone świństwo, trefny towar. Kiedy policjant patrolujący dworzec zaczął go szturchać nogą, żeby się obudził i nie leżał w przejściu podziemnym, Arti już nie żył. Jutro pogrzeb.

21 stycznia

Przez cały czas miałam spokojne sumienie - zrobiłam przecież, co do mnie należało. Ale czy naprawdę zrobiłam wszystko? Czy nie można było temu zapobiec? Czy my wszyscy którzy wiedzieliśmy o tym, że Arti bierze, nie mogliśmy zrobić czegoś więcej? Zbyt szybko wpadłam w samozadowolenie - nagryzmoliłam artykuł do

„Głosu Ucznia” i po sprawie... Co teraz powie Blondi, jak mnie spotka na ulicy? Wolę o tym nie myśleć. Na pogrzebie była nieprzytomna, na pewno wzięła silne prochy. Ledwo trzymała się na nogach, wyglądała jak własny cień. Na twarzy ojca

Artura nie dostrzegłam emocji. Co to za gość? Nigdy takich ludzi nie zrozumiałam.

Nie obyło się bez przykrego incydentu, i to, niestety, z moim udziałem. Uczniowie ze szkoły podchodzili kolejno z kondolencjami. Gdy zbliżyłam się do Blondi - prawdę mówiąc, wcale nie chciałam do niej podchodzić, ale nie było wyjścia, tłum popychał mnie po prostu w jej stronę i nie miałam jak się wycofać - nagle rzuciła się w moim kierunku i zawodząc, uczepiła się mojej szyi, tak że w żaden sposób nie mogłam się uwolnić z jej histerycznego uścisku. Mój widok musiał obudzić w niej bolesne wspomnienia. Dopiero mąż, który również i teraz nie okazywał emocji - mimo że słyszał przecież przejmujący płacz żony - oderwał ją ode mnie siłą. Mnie też nerwy całkiem puściły, już nie płakałam, tylko wprostwyłam, podobnie jak inne osoby-istne piekło. A najgorsze, że taki płacz w niczym nie pomaga. Wciąż nie mogę otrząsnąć się z szoku.

22 stycznia

Jutro studniówka. Nauczyciele postanowili jej nie odwoływać, lecz tańców oprócz poloneza nie będzie.

23 stycznia

Miało być tak uroczyście i podniosłe, ale na naszym studniówkowym balu zapanował wielki smutek - przynajmniej jeśli chodzi o tych, którzy znali Artiego osobiście. Trudno to zresztą nazwać bale. Rozpoczęło się minutą ciszy dla uczczenia pamięci Artura. Potem był polonez - przypomniałam sobie w tym momencie grę Artura na pianinie, zaczęła mi tak wyraźnie dźwięczeć w uszach, że zastanawiałam się, czy nie mam omamów. Nie wiem, czy nie należało jednak odwołać studniówki... Po polonezie był poczęstunek. Z czasem część osób zaczęła się przy stołach ożywiać, żartować - chęć zabawy powoli brała u nich górę nad smutkiem. Ja, Izka, Paweł (osoba towarzysząca), Marcin, Monia i Bolek - ubrani na czarno - do końca mieliśmy bardzo ponury nastrój. Zresztą dość szybko wyrwaliśmy się stamtąd i pojechaliśmy do Izki. Po drodze dowiedziałam się od niej, że po szkole krążą już niesamowite ploty o tym, jak doszło do śmierci Artura. Ponoć zrobiono z tego sensację, wszyscy snują fantastyczne scenariusze i się nimi emocjonują co najmniej jak jakąś gangsterską aferą. Czy oni naprawdę nie potrafią inaczej? Nie mają poczucia przyzwoitości. Postanowiłam - to był taki nagły impuls - że napiszę o Artim do „Głosu Ucznia”, o tym, jakim był wrażliwym człowiekiem, o jego niezrealizowanych marzeniach, o tym, jak bezsensownie dał się zniszczyć potwornemu nałogowi, o dilerach, których miałabym ochotę rozstrzelać, a przy okazji o uszanowaniu jego pamięci. U Izki zapaliliśmy świece i siedzieliśmy długo w milczeniu. Marcin wpadł na szatański pomysł - chciał, byśmy

wywołali ducha

Artiego, spróbowali się z nim skontaktować, żeby nam opowiedział, jak tam jest, po drugiej stronie, co się z nim teraz dzieje. Nikt nie poparł jednak Marcina, baliśmy się. Zresztą to by o nas też nie najlepiej świadczyło - ducha trzeba zostawić w spokoju, dać mu odejść (choć przyznam, że jak Marcin zaczął nas namawiać, przez moment kusiło mnie, żeby spróbować, byłam ciekawa, ale na szczęście strach wziął górę).

Arti... Jaki on musiał być samotny! Mam nadzieję, że jest mu tam lepiej, niż było tutaj. Kiedyś wszyscy się tam spotkamy. Do zobaczenia! Znowu ciekną mi łzy po policzkach - z żalu, smutku, bezsilności, beznadziei, fatalności. Cały świat wydaje się martwy.

25 stycznia

Usiłuję otrząsnąć się z szoku i wrócić do nauki. To niełatwe. O żadnej matmie czy chemii nie ma mowy, nie jestem w stanie się skupić. Termin olimpiady w Warszawie z każdym dniem jest coraz bliżej, a ja mam pustkę w głowie. Ponieważ śmierć stała się już niemal obsesją i nie mogę się uwolnić od tego tematu, zaczęłam sprawdzać, co napisali o niej moi ulubieni poeci. W literaturze to jedna z najistotniejszych kwestii.

Kiedyś dyskutowaliśmy o tym z kochaną Panią na polskim i próbowaliśmy mówić różne mądre rzeczy, ale tak naprawdę nie mieliśmy pojęcia, o czym mówimy. Teraz, gdy myślę o śmierci, jest już trochę inaczej - myślę o tej konkretnej śmierci i sędzę, że żaden wiersz

nie odda naszego smutku czy cierpienia i rozpaczony Blondi. W każdym razie rozumiem już odrobinę lepiej poetów „porażonych” śmiercią. Próbowałam pisać tekst o Artim do „Głosu Ucznia”, ale też, podobnie jak z nauką, niewiele mi z tego wychodziło - czego bym nie napisała, brzmiało zbyt sztucznie i patetycznie. W końcu przyszedł mi do głowy wiersz:

### ŻDŹBŁA SŁOŃCA

A więc jesteś już tam - na drugim brzegu, to jest koniec twojej wędrówki. Jesteś tam, gdzie zawsze świeci słońce, nawet gdy tu u nas noc i ziąb.

Leżysz beztrosko w trawie, słyszysz szum rzeki za sobą, twój przewoźnik opuszcza cię, jego zadanie spełnione.

I tylko ptaki śmigają wte i wewte, bez żadnego respektu dla granic między światami. A źdźbła słońca tymczasem delikatnie muskają cię po twarzy.

Chwytasz jedno z nich i wkładasz do ust jak źdźbło trawy. Powoli ściągasz ku sobie blask.

W ten oto sposób to nie ty idziesz do nieba, ono przychodzi do ciebie usłużne, a przy tym chyli się też nad rzeką, która rozciąga jego okrągłość w poszarpany, migocący romb.

27 stycznia

Miałam sen, a raczej istny koszmar. Teraz już zupełnie nie mogę dojść do siebie, mam kompletnego doła, jestem roztrzęsiona i panicznie

się boję. Czego? Nie wiem - czegoś, czego lękam się nawet nazwać. Ten sen jakby szydził z moich błogich wizji, snutyh we wczorajszym wierszu. Znow, tak jak kiedyś, kilka miesięcy temu, śnił mi się Artur krążący po wielkim, opustoszałym mieście. Biegłam za nim, żeby mu przekazać coś ważnego, ale nie mogłam go dogonić. Artur ciągle znikał za jakimś zakrętem, nie zwracając uwagi na moje nawoływanie. W końcu trafiłam za nim na przedmieścia - całkiem podobne do tych, gdzie mieszkam. Zobaczyłam, że Artur wchodzi do domu przypominającego ten, w którym kiedyś przez przypadek go widziałam - na odrapanej klatce schodowej, wbiegając za uciekającym Bonim. Zanim tam weszłam w moim śnie, coś mnie nagle zatrzymało, jakaś niewyjaśniona obawa, nagły opór, dreszcz grozy. Wreszcie z trudem przełamalam je i uchylilam drzwi. Zobaczyłam długi, ciemny korytarz, a na jego końcu kobiecą postać. Stojąca w jasnym oknie kobieta była ubrana na czarno, miała czarne włosy ostry makijaż kontrastujący z nienaturalnie bladą twarzą i pomalowane na czarno paznokcie, co mogłam spostrzec, zbliżając się do niej. W ręce trzymała czarną reklamówkę. Właściwie próbowałam uciec stamtąd, ale drzwi się za mną zatrzasnęły i tajemnicza siła popychała mnie teraz w jej stronę. Kobieta wbiła we mnie wzrok i uporczywie patrzyła mi w oczy. Miała dziwny skupiony wyraz twarzy, jakby próbowała coś ze mnie wydobyć, a jednocześnie do czegoś mnie przekonać. Jej spojrzenie pomału stawało się upiorne, przewiercała mnie nim na wylot. Ogarnął mnie paniczny strach, nie mogłam się ruszyć,



stałam jak sparaliżowana, zahipnotyzowana. Nagle kobieta skierowała wzrok gdzieś poza mnie. Odwróciłam się: za moimi plecami stał Arti ze strzykawką wbitą w rękę i nieobecnym wyrazem twarzy. Obudziłam się z krzykiem na ustach, zлана potem.

28 stycznia

Nie dość, że dręczą mnie nocne koszmary, to jeszcze w szkole muszę przeżywać piekło. Dowiedziałam się, że po szkolnych korytarzach wśród spragnionej sensacji uczniowskiej gawiedzi krążą o mnie plotki. Otóż Artur rzekomo targnął się na swoje życie z mojego powodu, o czym ma świadczyć zachowanie Blondi podczas pogrzebu. Bo niby dlaczego rzucałaby mi się na szyję? Nie trudno domyślić się, kto mógł być autorem tak perfidnego kłamstwa - oczywiście wyznawczyni swoiście pojętej praworządności. Ich myślenie jak zwykle biegnie pokrętnymi torami i niełatwo się w nim połapać, ale - z tego, co zrozumiałam - chodzi o to, że miałam najpierw uwodzić Artura, by go potem odtrącić z powodu Marcina, natomiast Blondi miała zamiar mnie udusić, tylko w ostatniej chwili z rozpaczy zgłupiała i dlatego zawisła na mojej szyi. Litości!

29 stycznia (w nocy)

Zdaje się, że do drzwi mojego pokoju dobijała się dziś Izka, a potem Marcin. Mamutce zabroniłam kogokolwiek do mnie wpuszczać i zaryglowałam się przed całym światem. Nie chcę nikogo widzieć. Okno też zasłoniłam. Mamutka i Włodek próbują ze mną pogadać, ale

wszystko dociera do mnie jak przez mgłę. Ostatnie kilka godzin leżałam odrętwiała na łóżku, nie mogąc się ruszyć. Z nikim nie chce mi się gadać. Jestem jak „alienus” z wiersza Anulki, odizolowana, sparaliżowana, jakby wycięto mi kawałek mózgu.

30 stycznia (w nocy)

Ciężko mi się było przemóc, ale poszłam dzisiaj do szkoły - zaniósłam mój wiersz o

Artim na koło, zostanie opublikowany w „Głosie Ucznia”. Wszystko mi jedno, co wygadują w szkole na mój temat - co to ma za znaczenie?

Jest noc. Patrzę w niebo przez okno. Widać na nim ogrom gwiazd... Arti, na której mieszkasz? Która z tych gwiazd była jeszcze niezamieszkała i teraz jest Twoja?

31 stycznia

Kolejny samotny wieczór w zamknięciu (mimo rozpaczliwych protestów mamutki, która myśli, że teraz to ja na pewno biorę narkotyki i dlatego nikogo nie wpuszczam - cóż, niemamsiłyjej tłumaczyć, że jest w błędzie). Boję się, przeraźliwie się boję. Zrobiłam coś strasznego... Spróbuję o tym napisać, ale to jeszcze większa zgroza niż mój niedawny koszmar. Przedwczoraj, kiedy leżałam na łóżku, naszła mnie nagle myśl, że muszę wywołać ducha Artiego - sama, bez Marcina. Coś mnie naprawdę opętało - ciągle prześladowała mnie myśl, że Arti ma mi coś ważnego do przekazania. Przygotowałam planszę z alfabetem i cyframi,

na porcelanowym talerzyku narysowałam strzałkę, zapaliłam świecę i postawiłam pośrodku stołu.

Kiedy tylko delikatnie dotknęłam dna odwróconego talerzyka, ten natychmiast drgnął, a już po chwili krążył po całym stole jak szalony zjeżdżając co i rusz po nodze stołowej w dół i zachowując się wbrew wszelkim prawom fizyki. W myślach - pełna obaw, że to wcale nie Arti - zaczęłam prosić ducha, żeby odszedł, ale talerzyk dalej krążył i przemieszczał się w stronę podłogi, jakby chciał zwiedzić cały pokój. Trochę czytałam o seansach spirytystycznych, latających stolikach i tym podobnych sprawach, nie brałam tego jednak do końca na serio. Teraz włos mi się na głowie zjeżył, to wszystko prawda! O sensownych odpowiedziach od ducha na moje pytania nie było mowy. Nie udało mi się go oddalić. Talerzyk uspokoił się dopiero, gdy zdmuchnęłam świecę, ale nie wiem, czy w końcu ta dziwna siła odeszła, czy też może... weszła we mnie albo pozostała gdzieś w pobliżu. To upiorne - czy ja zaczynam wariować?

2 lutego

Znowu miałam męczący dziwaczny, pokręcony sen: śniło mi się, że Arti trafił do piekła. Piekło wyglądało w ten sposób, że przebywający tam ludzie siedzieli w kręgu ciemności, odwróceny plecami do Boga. Czuli Jego obecność i blask ale nie mogli Go zobaczyć, co sprawiało okrutną mękę. W ślad za Artim trafiła tam też Blondi i mogła go uratować. Widziała dziesiątki odwróconych tyłem sylwetek - takich

samych - wszystkie wyglądały jak Arti, ale tylko jedna postać była jej prawdziwym synem. Zadaniem Blondi było rozpoznanie prawdziwego Artura, podejście do niego i dotknięcie jego ramienia. Pomyłka skazywała go na pozostanie w Piekło na zawsze, trafny wybór nagrodzony był pójściem syna do Nieba. Obudziłam się w momencie, w którym Blondi po długim, bezradnym chodzeniu i przyglądaniu się nieruchomym postaciom dotykała właśnie ramienia jednej z odwróconych sylwetek - nie wiem, czy jej misja się powiodła. I już nigdy się nie dowiem. I znów się zastanawiam, czy to jest początek obłądu...

3 lutego

W końcu otworzyłam drzwi Marcinowi - wpadł do pokoju z pretensjami, że wyprawiam jakieś cuda, że to niepoważne i tak dalej, ale zamilkł na mój widok. Musiałam wyglądać jak upiór. Zaczęłam płakać, to wszystko chyba mnie przerosło.

- Słuchaj - mówiłam roztrzęsiona - a jeśli oni mają rację? Może to naprawdę moja wina, że on umarł?

- Jośka, co ty bredzisz?! Jacy oni? Jaka twoja wina? - Marcin wyraźnie nie nadążał za tokiem mojego myślenia.

- Boja...

Chciałam mu to wszystko wytłumaczyć, ale nagle usłyszałam muzykę. Znowu dźwięczała mi w uszach gra na pianinie, tak jakby Artur był gdzieś tuż obok nas. Marcin zmusił mnie do wyjścia na spacer.

Zimne powietrze trochę mnie ocuciło i omamy minęły.

- Boję się, boję się przeraźliwie. - Utkwiłam w Marcinie bezradne spojrzenie, szukając pomocy.

- Dziecinko, niczego się nie bój. Ty przecież ledwo znałaś tego Artura... Prawda? -

Wyczułam chwilę zawahania w jego głosie.

Kiwnęłam głową, trudno było zaprzeczyć. Właściwie Arti był dla mnie obcym człowiekiem. Jedna wspólna impreza niewiele nas zbliżyła. To, że próbowałam mu w jakiś sposób pomóc, też. Może bardziej zadziałała moja dziwaczna znajomość z

Blondi, a może to, że w swoim czasie potaj emnie czułam coś do jej syna. Marcin pewnie intensywnie wyteęza teraz umysł nad tym, co takiego sprawiło, że tak bardzo przeżywam tę śmierć. Może nawet przyszło mu na myśl, że nie tylko on mógł mieć różne „przygody sercowe”, jakby to pewnie określiła pani Jagoda. A, właśnie, jej syn Włodek podobno na serio się na mnie wnerwił za te zamknięte drzwi i niewiele brakowało, a by je wyważył. Mamutka natomiast w którymś momencie po prostu poddała się, machnęła ręką na moje dziwactwa i wróciła do własnych spraw. Najgorsze są napady lęku. Najbardziej boję się snu po tym, co mi się ostatnio śniło. Czy to Arti chce mi coś powiedzieć ważnego, czy to moje podświadome poczucie winy? Za co ja siebie właściwie obwiniam? Co to za duch, który nie chciał odejść? Czy nie dotknęłam czegoś zakazanego? Powiedziałam o duchu Marcinowi -

popatrzył na mnie zdziwiony.

- A więc jednak spróbowałaś... na własną rękę. - Marcin miał taki wyraz twarzy, jakby naprawdę nie wiedział, co o tym myśleć.

- Nie mam pojęcia, co mnie napadło...

- Nie martw się, razem go odpędzimy jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Oby... Wiesz co? Może będziemy wspólnie recytować:

A kto prośby nie posłucha,  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz Pański krzyż?  
Nie chciałeś jadła, napoju?  
Zostawże nas w pokoju.  
A kysz, a kysz!

A. Mickiewicz, Dziady, Warszawa 1998.

## Rozdział V

### O rodzinnych sekretach, nowych znajomościach, zmaganiach olimpijskich i o pewnej mądrej filozofii

10 lutego.

- Mamo, właściwie dlaczego rozeszłaś się z tatą? - pytam niespodziewanie mamutkę, gdy siedzimy we dwie przy sobotniej porannej kawie, a blade słońeczko nieśmiało wdziera się do mieszkania przez zabrudzone okno (Włodek pojechał do pani Jagody która trafiła z chorą wątrobą do szpitala - oby to nie było nic poważnego).

- Czemu pytasz? Nigdy się tym nie interesowałaś...

- Mamutka jest wyraźnie zaskoczona i wydaje się bezbronna, przyparta do muru. Mimo to nie rezygnuję.

- Powiedz, nie wymiguj się. Pewnie, że się interesowałam, tylko nie umiałam zapytać, no wiesz, nie miałam śmiałości. Chcę wreszcie wiedzieć, jak między wami było - mówię stanowczym tonem. - Jestem już dorosła, należy mi się wyjaśnienie.

- Joasiu, co ci mam powiedzieć? - Widzę, że mamutka szuka odpowiednich słów, ciężko jej to wyjaśnić. - Byliśmy młodzi, zakochani w sobie po uszy i... bardzo szybko pojawiłaś się na świecie ty. Czesiu nie był dla mnie zły, ale z czasem okazało się, że tak bardzo się od siebie różnimy.. Tobie jako malutkiemu dziecku mało poświęcał uwagi, mało miał dla ciebie czasu. Zajął się karierą naukową, podczas gdy ja

musiałam przerwać studia. W domu wszystko robiłam sama, babcia Sabina była daleko - wtedy jeszcze pracowała, więc też nie mogła wiele pomóc. Wiecznie brakowało nam pieniędzy a jak już twój tata coś wreszcie zarobił, bo złapał jakąś fuchę na boku, to - nie pytając mnie o zdanie - kupował coś drogiego, czego jako rodzina zupełnie w danym momencie nie potrzebowaliśmy na przykład nowy, większy telewizor albo wysokiej jakości sprzęt, choć przy tobie i tak nie bardzo dało się słuchać muzyki czy oglądać telewizję. Po prostu sam był jak dziecko, nie dorósł jeszcze wtedy do tego, żeby mieć rodzinę, myślał wyłącznie o sobie. Przepraszam, jeśli ci tymi słowami sprawiłam przykrość, ale tak było, nic na to nie poradzę.

-I nie było żadnej szansy na zmianę tej sytuacji? - pytam dociekliwie.

- Pewnie byłaby gdybym umiała na to wszystko inaczej reagować, gdybym była wtedy inna, mniej porywcza... - Mamutka na chwilę popada w zadumę. - Dziś jestem już całkiem inna, przynajmniej się staram. Potrafię więcej wybaczyć. Już się tak nie gorączkuję, nie płaczę, nie histeryzuję, nie lamentuję, nie krzyczę, kiedy coś dzieje się nie po mojej myśli... Z wieloma sprawami nie umiałam się wtedy pogodzić, nie szłam na kompromis, walczyłam z tatą, chciałam go zmienić na siłę, a to dawało fatalny skutek: tata zrażał się do mnie coraz bardziej i robił mi na złość. W końcu doszłam do wniosku, że lepiej, żebyś nie dorastała w takiej atmosferze. Lepiej było się rozwieść.



Opowiadając tak, mamutka zaczyna zbierać myśli, przypominać sobie przeszłość, układać ją w logiczną całość. Trzeba przyznać, że idzie jej coraz lepiej i składniej.

- Wiesz, myślę, że jeszcze coś odegrało tu ważną rolę.

- Pamięć mamutki odblokowuje się, a ja słucham zaciekawiona. -  
W gruncie rzeczy w młodości byłam mocno zbuntowana przeciw domowi, nie chciałam żyć tak jak babcia Sabina, która całkowicie podporządkowała się dziadkowi Stefanowi. Dziadek był dobrym i sprawiedliwym człowiekiem, ale do łagodnych nie należał i rodzinie narzucił straszliwy rygor. Szkolił mnie niemiłosiernie, a ja ciągle byłam niepokorna, nigdy mnie do końca nie złamał. Cierpiałam, uważałam go za domowego tyrana - po części z pewnością nim był - i narażając się na kolejne kary, chodziłam jak kot własnymi ścieżkami, udowadniałam mu swoją niezależność. Próbowalam nawet podburzać przeciwko niemu moją mamę, raczej bez skutku, bo była zastraszona. Poprzysięgłam sobie: nie dam się stłamsić żadnemu mężczyźnie, a byłam przeświadczona, iż wszyscy są tyranami. No i, koniec końców, twojemu tatusiowi też udowodniłam swoją niezależność... Muszę cię przeprosić, że to się odbyło twoim kosztem - pewnie nigdy mi tego nie wybaczysz i będziesz miała rację...

O nie! Mój kochany łagodny dziadek Stefan, robiący dla mnie kanapki z serkiem homogenizowanym i miodem, gotujący najpyszniejszą na świecie kartoflankę był domowym tyranem?! Nie chcę

tego słyszeć, to niemożliwe! Co ona wymyśliła?

Chyba mówi o jakimś innym człowieku, który się podszył pod dziadka. A jeśli chodzi o nią i o ojca, to chyba oboje byli bardzo niedojrzali, słowo daję!

- Mamo, nie ma o czym mówić, wybrałaś mniejsze zło, przecież co by to było za dzieciństwo wśród wiecznych awantur. - Gdzieś w głębi czuję się jednak trochę pokrzywdzona, odrobinę, gdzieś we mnie tkwi jednak jakiś mały żal do obojga.

- Uważaj, córeczko, z wchodzeniem w dorosłe życie. Nie spiesz się z tym. Wiem, że jesteś zakochana, ale mimo to uważaj! - Teraz mamutka robi zatroskaną minę, jakby naprawdę nie wiadomo co się dzieje - Tej twojej przyjaciółce Moni, będzie bardzo ciężko, zobaczysz. Nie rób takich błędów, pamiętaj! Postaraj się...

- Oj, mamo! Tylko nie kracz, proszę! I nie moralizuj, dobra? Przecież to jasne, że będę się starała...

Trochę mnie rozdrażniła tym swoim czarnowidztwem - przecież Monia urodzi cudną Malwinę i pewnie gdy Radek pozna tę malutką istotkę (a nie wytrzyma i będzie ją chciał poznać, na sto procent!), to już świata poza nią nie będzie widział. I wszystko się dobrze ułoży, trzeba w to wierzyć! Mnie natomiast pouczać nikt nie musi - wiem, co jest teraz najważniejsze. Żeby się niepotrzebnie nie irytować, zmieniam temat.

- Mamo, pojutrze jadę do Warszawy Trochę się boję... Mam wrażenie, że niczego się nie nauczyłam. W głowie mam kompletną

puszki. Tyle rzeczy się działo, czas zleciał nie wiadomo kiedy ferii zimowych nawet dobrze nie zauważyłam. Mamo... zmarł nasz kolega, po prostu już go nie ma... Zmarł, bo nikt nie potrafił mu pomóc.

Chciałam nawiązać z nim pośmiertny kontakt i wywołałam ducha, który nie chciał nic mówić ani odejść. Myślałam, że wariuję, właściwie omal nie zwariowałam...

Mamo, czyja jestem normalna, czy ze mną wszystko w porządku?

- Hmm...! Słuchaj, jeśli chcesz znać moje zdanie, myślę, że to jest tak: czasem trzeba zdecydować, czy ważniejsze są książki, czy ludzie. Inni mają swoje życie i swoje sprawy - ty nie musisz w nie wnikać. A jednak są tacy którzy angażują się w czyjeś życie, bo chcą komuś pomóc, bo go lubią albo mu współczują i dlatego nie potrafią być obojętni. Ty należysz do takich właśnie ludzi, i to jest dobre, piękne. Ja też taka zawsze byłam - zamiast myśleć o sobie myślałam o innych, przejmowałam się. A wiesz, że duchy też wywoływałam?

- Tak? - pytam zaskoczona. - I nie bałaś się?

- Chyba nawet nie za bardzo. Zadawało się pytania o to, ile lat się będzie żyło i tak dalej. W młodości nie byłabym sobą, gdybym wszystkiego nie spróbowała, także wywoływania duchów. Miałam jednego kolegę, który mnie w to wciągnął... - No i proszę: historia lubi się powtarzać, nieprawdaż? - A jeśli chodzi o twoją olimpiadę, to już jestem z ciebie dumna. Nieważne, co będzie dalej, już osiągnęłaś sukces. Zresztą, wierzę w ciebie, potrafisz się przecież świetnie zmobilizować.

Na pewno dasz sobie radę!

- Cicho, mamutko, nie zapeszaj!

- Ale przede wszystkim, Joanno, bądź dobrym człowiekiem.

- Mamutko... - mówię z lekkim wyrzutem w głosie. - Tego już nie musiałaś dodawać, to przecież oczywiste.

Nie lubię, kiedy mamutka wpada w taki ton i zaczyna doradzać mi, jaka mam być. Drażnią mnie takie uwagi, choć może niepotrzebnie... Podoba mi się jednak wiele rzeczy które od niej usłyszałam. To był bardzo miły sobotni poranek, mamutko, dziękuję.

11 lutego

Zaczynają mnie zżerać coraz większe nerwy. W poszukiwaniu spokoju idę do Izki i pani Wiesi na pyszną kawę cappuccino z cynamonem (specjalność zakładu). Obie zagrzewają mnie do walki i pomалу strach przeradza się w chęć rywalizacji. Nabieram pewności siebie - przecież nie jestem głupia, zawsze coś wymyślę. Po prostu muszę sobie jakoś poradzić!

13 lutego

Warszawa przywitała mnie wczoraj deszczem ze śniegiem, a przede wszystkim straszliwym zgiełkiem i pośpiechem. Jak ci ludzie wytrzymują w tym hałasie? W ogóle nie słyszałam własnych myśli! Kiedy tylko wyszłam z dworca ktoś mnie potrącił, tak że mało nie upadłam. Po chwili ktoś inny potrącił mnie z drugiej strony Życie w stolicy musi być zwariowane. Od razu zatęskniłam za moim

przedmieściem. Pod opieką przydzielonej nam pani i w towarzystwie miłego starszego profesora z uniwersytetu, u którego można się wypytać o wszystko z literatury przyjechało nas tu pięć osób, pięciu wybrańców - w tym aż trzy osoby ze słynnej Dwójki. Niestety, żadna z nich w niczym nie przypomina Pawła. Wydają się pokręcani, i to do granic możliwości. Nie jestem do nich uprzedzona, broń Boże, ale chyba nie będę umiała się z nimi dogadać.

Przykładem niech będzie Daniela z dredami, z którą dzielę pokój. Moja współlokatorka niczego nie je (z pobudek filozoficznych, rzecz jasna, z szacunku do życia). Dąży do tego, by żywić się samym światłem. W tym celu wpatruje się w niebo i ćwiczy jogę. Doprawdy niezwykła postać - wychodząc z łazienki, mogłam dziś podziwiać jej medytacje na środku dywanu w rozmaitych skrętach i pozach, których nie opiszę, bo od samej próby mogłabym sobie połamać pióro, a wtedy na olimpiadzie byłabym już bez szans. Daniela fascynuje się ezoteryką, czyli wiedzą tajemną, oraz filozofią Wschodu, przeczytała na ten temat wszystko, co opublikowano. Twierdzi, że każdy utwór literacki ma swoje drugie dno - ezoteryczne oczywiście. Pod tym kątem zinterpretowała już między innymi Przedwiośnie i twórczość Jana Chryzostoma Paska. Według niej jej polonistka jest głupia, bo w ogóle nie zna się na ezoteryce i nie docenia nowatorskich interpretacji swojej uczennicy tylko chce, żeby interpretować dzieła „po bożemu”. Daniela wkrótce wybiera się do Indii, a stamtąd do Tybetu. Niewykluczone, że

zostanie tam, medytując razem z mnichami buddyjskimi. Cóż by to była za ulga dla ludzkości! Ups! Chyba znów zapomniałam o polityce dystansu. Ale jak mam być zdystansowana, jeśli ona - nie wiedząc, z jakiej jestem szkoły - zaczyna poufale, licząc na pełne zrozumienie, opowiadać o mojej budzie z pogardą, że to największa wylegarnia matołów i dresiarzy w mieście, „tych tłuków, co to potem idą do prywatnych uczelni i za forszę robią dyplom”. Daniela, jak wróci już z Indii, złoży papiery na Cambridge. Nie wytrzymałam i mówię:

- Wiesz, Daniela, ja jestem właśnie jednym z tych dresów i tłuków.

Trochę ją zamurowało, zaczęła się sztucznie śmiać i mrużyć pod nosem, że żartowała, ale był to koniec naszej pogawędki. Uff, odetchnij z ulgą. Wreszcie mogłam zajrzeć do książki, żeby się jeszcze poduczyć, ale dosyć szybko usnęłam. W środku nocy zbudziły mnie szmery. Daniela stała w oknie, przez które wdzierało się światło latarni. Myślałam, że odżywia się tym światłem, ale ona odżywiała się czymś zupełnie innym - nie zauważywszy że ją obserwuję, w najlepsze wcinała kawał kiełbasy. Wygląda więc na to, że nie tak szybko zacznie lewitować, jak to sobie wyobrażałam... Cóż, smacznego, Danielo!

Dziś z samego rana zaproszono wszystkich olimpijczyków do wielkiej auli i rozpoczął się pierwszy etap zmagania - praca pisemna. I... los się do mnie uśmiechnął! Jeden z tematów brzmiał: Symbolika różnych ujęć śmierci w polskiej poezji współczesnej (na wybranych przykładach). Tak się składa, że coś na ten temat wiem, obcy z

pewnością mi nie jest, miałam zatem o czym pisać. Niestety przy okazji wróciły ponure wspomnienia, więc z sali wyszłam przygnębiona. Na korytarzu przydybała mnie Daniela, która wybrała ten sam temat, i natychmiast zostałam zaatakowana serią natarczywych pytań o moją pracę. Po co jej w ogóle odpowiadałam! Uważała, że we wszystkim się mylę, podważała moje zdanie i udowadniała swoje racje w nachalny sposób. W pewnym momencie poczułam się strasznie zmęczona naszą niepotrzebną dyskusją. Daniela oczywiście pisała o reinkarnacji i nirwanie jako najważniejszych motywach w polskiej współczesnej poezji. W końcu pytam ją zirytowana:

- Słuchaj, a o motywie „śmierci nie ma” pisałaś?

- No... nie... Co to takiego?

- Nie wiesz? - nadaję swojemu głosowi ton wyraźnego zgorszenia, tak jakby jej niewiedza była równoznaczna z międzynarodowym skandalem. - To socrealizm!

Socrealiści byli przecież znani z ezoteryki i wierzyli w reinkarnację. Gdzieś o tym czytałam artykuł, ale już nie pamiętam gdzie...

- Coś ty, serio?

- Serio!

- Nie gadaj, idę do biblioteki.

Nawiedzona, jak słowo daję! Mam nadzieję, że już jej tego dnia nie zobaczę. Okazało się jednak, że to jeszcze nie koniec. Ledwie zniknęła

Daniela, przyczepiła się do mnie jej koleżanka, Marian-na-feministka. Ona z kolei interpretuje wszystko z perspektywy społecznego ucisku kobiet, tych od wieków dyskryminowanych istot (na równi z czarnoskórymi albo i gorzej). Jest w tym trochę racji: też uważam, że kobiety zawsze miały przechlapane, ale z drugiej strony nie lubię, kiedy ktoś wpada w skrajność - obojętnie na jakim tle, więc również Marianna zaczęła mnie strasznie drażnić tym swoim jednostronnym patrzeniem na wszystko. Po prostu przegina i tyle! Feministka z Dwójki ubiera się wyłącznie w powyciągane swetry i T-shirty z wojowniczymi hasłami wymierzonymi przeciwko facetom, odwiecznym wrogom naszej płci, twierdząc, że na każdym kroku ktoś ją obraża.

- Ta cholerna kultura męskiej dominacji, w której musimy żyć, mierzi mnie i obraża - skanduje Marianna na cały korytarz, tak że ludzie się odwracają. - A ciebie nie?

- Ale co? - pytam, bo lubię konkrety.

- No, że jesteś ciągle, na każdym kroku dyskryminowana? W reklamach używają kobiecego ciała jak przedmiotu. Wiesz, o czym mówię: pornografia i tak dalej...

- Wydaje mi się - odpieram, ważąc każde słowo, żeby się czymś nie narazić - że można nie dać się tak wykorzystywać, bo my, kobiety mamy coś takiego jak wola, same o sobie decydujemy. Może niektóre robią to, bo to lubią i już... Mnie, na przykład, nikt do takich rzeczy nie używa - tu trochę się zawahałam, bo przypomniałam sobie stronę



internetową: [nieziemskielaski.pl](http://nieziemskielaski.pl). A więc jednak można zostać zmanipulowanym...

- Zwariowałaś! - wrzasnęła Marianna, tym razem stawiając dokładnie wszystkich dookoła na równe nogi. - Kobiety są wykorzystywane, ale nie mają świadomości tego. Trzeba im o tym mówić, bo nie wiedzą, co im grozi ze strony mężczyzn!

-1 myślisz, że jak im rozdasz uświadamiające ulotki, to przestaną pozować do rozbieranych zdjęć w różnych szmatławcach albo przestaną nosić krótkie spódniczki, stringi i wysokie obcasy?

- Pewnie!

Grunt to przekonanie! Nie będę polemizować, na pewno coś jest na rzeczy. Ale gdy pomyślę, że Marianna interpretuje przez pryzmat feminizmu utwory Kochanowskiego i Mickiewicza, to... sama nie wiem, co o tym sądzić. No i chyba szkoda by było tych miniówek i obcasów - moim zdaniem są całkiem fajne. Zresztą z moim wzrostem wcale nie marzę o obcasach, i tak muszę się kurczyć przy Marcinie, bo mi głupio, że jestem trochę wyższa od niego. (Tak mi teraz przyszło do głowy: a właściwie czemu jest mi głupio?). Za to chętnie noszę spódniczki. Niech sobie będą! Przyznam po cichu, bo głośno się nie odważę - Marianna z miejsca by mnie ukatrupiła - że lubię wyglądać kobieco. Pewnie mam to po mamutce.

14 lutego (godzina 12.10)

Są wyniki: dziesięć minut temu oficjalnie je ogłosili. Yes, yes, yes!

Udało się! Pod tablicą stoi jeszcze Daniela i oczom nie wierzy - nie przeszła. Czyżby Cambridge zaczęło się oddalać? Za to Tybet cały czas aktualny, bez względu na wyniki... Czemu jestem wiecznie taka złośliwa? Muszę do niej podejść i ją pocieszyć, teraz właściwie patrzę na nią inaczej niż wczoraj - jest po prostu dziwaczna i komiczna, ale w sumie nieszkodliwa. Ma pasję, podobnie jak wojownicza Marianna (która przeszła do dalszego etapu), a czy ja ją mam? Jestem jednak zadowolona, że to właśnie ja, ten tłuk z najgorszego liceum w mieście, zakwalifikowałam się do dalszego etapu.

18 lutego

Już po wszystkim. Zostałam... laureatką olimpiady! Trzeba było zdać jeszcze egzamin ustny - z nim nie było tak łatwo, ale jakoś przebrnęłam, nieco onieśmielona widokiem szacownej komisji. Mamutka z pięć razy przybiegała do mnie po moim triumfalnym powrocie z Warszawy mówiąc podekscytowanym głosem: „Pokaż, no pokaż jeszcze raz ten dyplom, niech się napatrzę i nacieszę. Ty naprawdę wygrałaś! Moja ty zdolna córeczko! Daj buzi mamusi. Boże, masz wolny wstęp na studia!” i tak dalej. Zupełnie jakby najadła się szaleju. Zadzwoiłam do taty też jest ze mnie dumny Przy okazji zmusił mnie, żebym mu przyrzekła, że przyjadę do niego na wakacje. W ogóle wszyscy mi gratulowali: Włodek, a potem Izka, Marcin, Paweł i Monia. Dzwoniła też babcia Sabina i ciocia Merry Very (z którą nie mogłam zobaczyć się w Warszawie, bo wyjechała na jakąś ważną konferencję do

Sztokholmu). Jednym słowem: to mój wielki dzień.

19 lutego

Poszłam do szkoły Dyrca, jak mnie zobaczyła, mało nie rzuciła mi się na szyję. Teraz jestem jej chlubą, bo wreszcie ta „wylęgarnia matołów” może się czymś poszczycić. Kochana Pani też ucieszyła się na mój widok, ale nie chciała mi tego zanadto okazywać, żeby nie pogarszać sytuacji... Chyba domyślam się, o co chodzi. Spod pokoju nauczycielskiego, gdzie dopadła mnie dumna z moich osiągnięć dyrekcja i kadra, zaczęłam z ociąganiem przemieszczać się w stronę klasy. Przeczuwałam, co mnie czeka. Już z daleka dosięgło mnie groźne, złowieszcze spojrzenie zbitej w kłęb pod ścianą grupy dziewczyn słynących ze swej praworządności. Moje istnienie na tym padole najwyraźniej stwarza tym dziewczynom jakiś problem. Przez moment miałam wrażenie, że kłębią się jak zmije. Zrozumiałam: nie należy spodziewać się od nich gratulacji. I rzeczywiście, miałam rację. Od Moni dowiedziałam się, o co chodzi tym razem. Otóż dotarło do ich uszu, że nie będę musiała zdawać matury z polaka (od razu zostanie mi wpisana maksymalna liczba punktów na świadectwie). Tego już za wiele - trzeba mnie wreszcie zgładzić. Jak śmiałam zrobić im coś takiego? A w ogóle jak ktoś mógł wymyślić taki niesprawiedliwy regulamin! Podobno zamierzają pisać protest do dyrca, a nawet do samego ministra edukacji.

Zaczynam żałować, że nie wzięłam kilku lekcji jogi i medytowania u Danieli, mogłabym uciec od rzeczywistości, która znów zaczyna mnie

przerastać. W sumie nic straconego, bo z Danielą pożegnałyśmy się wylewnie, wymieniając się numerami telefonu. Przełamalam się w stosunku do niej, nawet zrobiło mi się jej żal, że odpadła z olimpiady. Przecież nie trafiła tam przez przypadek, na pewno umie ciekawie pisać, ma wiedzę i, co tu dużo mówić, jest oryginalna. Chociaż na początku drażniła mnie, to w drodze powrotnej nie mogłyśmy się ze sobą rozstać. Przyznała, że z tą opinią o mojej budzie przesadziła, bo chyba nie przemyślała sprawy, i zaczęła mnie przeproszać. Ja przyznałam natomiast, że podpuściłam ją z tym socrealizmem (a ona, że pokapowała się w drodze do biblioteki). Poza tym zdradziłam jej moją opinię na temat Dwójki i przyznałam, że pewnie też do końca nie przemyślałam sprawy, o czym świadczy to, że tak miło nam się razem gawędzi. W ten sposób wszystko sobie wyjaśniłyśmy. Porażka na olimpiadzie chyba dobrze zrobiła Danieli, od razu stała się pokorniej sza i znormalniała.

20 lutego

Śniło mi się, że zrobiłam sobie motor ze stołka od pianina.

21 lutego

A może by tak... napisać wiersz?

22 lutego

Chyba nie napiszę. Jestem wypompowana, uszło ze mnie całe powietrze. Nawet przeczytać wiersza mi się nie chce, obojętnie jakiego, a co dopiero pisać. Nawet pamiętnika pisać mi się nie chce! Obejrzałam wczoraj i dziś wszystkie komedie romantyczne, jakie mi wpadły w ręce

w wypożyczalni kaset. Śmiałam się i płakałam rzewnymi łzami na zmianę. Czas spędzam teraz bezproduktywnie i bezmyślnie. Zadzwoiłabym do Izki, żeby tu przyszła, ale też mi się nie chce. Spoczęłam na laurach. I dobrze mi z tym. Obym przez najbliższą dobę nic nie musiała robić.

23 lutego

Mamutka szaleje. Z okazji moich sukcesów zorganizowała wczoraj spęd swoich koleżanek, których „lata całe już nie widziała”. Włódka wyprawiła na ten wieczór w nieznane. Gwoździem programu była oczywiście prezentacja mojego dyplomu (i mnie przy okazji, z komentarzem: „Zobaczcie, jak wyrosła” oraz licznymi zachwykami, achami i ochami koleżanek). Po prezentacji mogłam się już urwać do

Marcina albo Izki i nie wracać wcześniej jak o północy. O, wyrodna matko! Ale to dopiero początek historii. Gdy wreszcie odważyłam się przekroczyć próg mego domu, mamutka radośnie oznajmiła mi w drzwiach, wpadając na mnie ciężarem całego ciała i w ostatniej chwili chwytając się futryny, żebyśmy obie nie runęły w dół:

- Kompletnie się ubzdryn... (czkawka)...goliłam.

- Tak, mammo, nie da się ukryć - odparłam nieszczerze zachwycona tą sytuacją. -

Może położysz się spać?

- Nieee ma mowy Joanno, musimy napić się razem (przerwa na czkawkę). Przecież jesteś już dorosła. Zaraz ci czegoś naleję.

Dobrze, że właśnie wtedy wrócił Włodek. Oj, mamutko, jak mogłaś? Obyś jak najszybciej wytrzeźwiała, w tym wydaniu chyba za Tobą nie przepadam.

24 lutego

Po szkole (bo mimo wszystko nadal do niej chodzę) spotkała mnie dziś miła niespodzianka - przyjechała do nas babcia Sabina. Chciała mi jeszcze raz osobiście pogratulować i pobyc z nami parę dni. Fajowo! Przy okazji jest szansa na normalne jedzonko, bo jeśli chodzi o zupy i sosy z torebek, to przestałam je rozróżniać, wszystkie smakują tak samo - podobno tak się dzieje, kiedy się je spożywa za często, od pewnego momentu czuje się już tylko glutaminian sodu. Jak to się stało, że mamutka nabrała wstrętu do gotowania? Kiedyś potrafiła wyczarować nawet trzypiętrowy tort. Babcia Sabina też zachodzi w głowę i ani ona, ani ja nie znajdujemy wytłumaczenia. W sumie to dobrze, że Włodek nie narzeka, znosi cierpliwie zarówno to, jak i wiele innych rzeczy. Doszliśmy z babcią do wniosku, że pojawienie się Włodka w naszej rodzinie wyszło na dobre nie tylko mamutce, ale i nam. Mogłyśmy swobodnie plotkować w kuchni, gdyż syndrom dnia drugiego nie pozwalał dziś mojej rodzicielce na zbyt częste opuszczanie sypialni - ku lekkiemu zgorszeniu domyślającej się powodów babci, która chyba nie uwierzyła w zatrucie fasolką po bretońsku (ze słoika). Mamutka jest teraz spokojniejsza (pomijam oczywiście rozmaite ekscesy, te zresztą świadczą jedynie o odzyskaniu młodszej fantazji!), przede

wszystkim szczęśliwsza, na pewno ma większe poczucie bezpieczeństwa. Słowem: same plusy A co do gotowania, to pomyślałam, że tym razem sama muszę nauczyć się czegoś od babci Sabiny Zamiast krytykować biedną mamutkę, która może czuje się zmęczona i dlatego jej się nie chce (no, zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj!), zacznę gotować. Jutro wezmę od babci jakiś przepis, to jest myśl!

25 lutego

Babcia Sabina bardzo, ale to bardzo się ucieszyła, że chcę się uczyć gotowania. Zasypała mnie mnóstwem przepisów na najróżniejsze potrawy, które nie mają, dzięki Bogu, nic wspólnego ze słowem instant, lecz, prawdę mówiąc, sprawiają wrażenie skomplikowanych w przygotowaniu i nie wiem, czy sama dam sobie radę. Dowiedziałam się, że niektóre przepisy babcia dostała kiedyś od swojej babci, czyli mojej pra-prababci, bo też zapragnęła nauczyć się od niej wyśmienitego gotowania!

Są zatem niezmiernie stare! Nie wiedziałam, że gotowanie to taka trudna sztuka, teraz zaczynam rozumieć mamutkę. Nie poddam się jednak tak łatwo, trzeba się z tym zmierzyć, a zarazem podtrzymać rodzinną tradycję (nagle odezwała się we mnie duma, że mamy rodzinne tradycje). Na jutro, kiedy będę gotować pod okiem babci, wybrałam następujący przepis:

**KACZKA Z NADZIENIEM I JABŁKAMI**

1. Nadzienie: Zmilić razem podroby z kaczki i kawałek (ok. 10 dag) mięsa wieprzowego lub wołowego (lepiej wołowego). Do tego dodać rozmoczone bułkę oraz przyprawy: sól, pieprz, majeranek. To wszystko wyrobić i nadziać tym kaczkę.

2. Kaczkę zaszyć, natrzeć solą i majerankiem, obłożyć w wysmarowanej tłuszczem brytfance kwaskowatymi jabłkami, obranymi i podzielonymi na ćwiartki (z wydrążonymi gniazdami nasiennymi). Piec w piekarniku, smarując tuszę stopionym masłem. Podawać z kaszą lub pieczonymi ziemniakami.

Zamierzam zaprosić na obiad Marcina...

Okazało się, że babcia Sabina wozi zawsze ze sobą starą, ale to bardzo starą książkę kucharską Marii Ślezańskiej pod tytułem Co dziś na obiad, wydaną w Warszawie w

1935 roku w Wydawnictwie J. Przeworskiego. Babcia traktuje ją niemalże jak Biblię, z namaszczeniem, zwłaszcza że książka jest w bardzo złym stanie. Dostała ją jako dziewczyna, wczasach wojny od pewnej kobiety, przyjaciółki rodziny która potem zginęła. Babcia mówi, że ta książka ma dla niej przede wszystkim wartość pamiątkową, ale zawiera też wiele cennych wskazówek, z których nadal korzysta. Zmieniłam zatem na moment rodzaj moich lektur, oderwałam się od łaciny i historii, które muszę teraz zakuwać, i delikatnie przewracając poźółkłe kartki, pograżyłam się w tajnikach kulinariów. Znalazłam tam cały rozdział zatytułowany Sosy do różnych mięs (przykładowo: sos



cytrynowy do gołębi i kurcząt, sos biały z agrestem do kur lub cielęciny ale także sos majonezowy naprędce, a nawet... sos mózgowy) - chyba nie wytrzymam i pokażę to mamutce. A oto smakowity fragment tej książki, dziś wydający się już swego rodzaju poezją:

365. Szyńka z pieczeni baraniej. Ładną dużą pieczeń baranią zbić pałką. Wymieszać razem ćwierć funta prażonej soli, 1 dag saletry, 2 dag cukru, po łyżce przetłuczonego kolendru i jałowcu, kilka goździków, garść angielskiego ziela i wcierać mocno w baranię, aż wszystka sól wejdzie. Potem włożyć ją do ciasnej miski, obłożyć cebulą i bobkowymi liśćmi, przycisnąć denkiem i kamieniem i postawić w kuchni na 24 godziny, aby puściła sok. Nazajutrz wynieść ją do zimnego miejsca i co drugi dzień przewracać. Po trzech tygodniach szynka jest już do użycia. Jeśli ma być podana na gorąco, trzeba ją wymyć w kilku wodach, oskrobać z korzeni, włożyć do rondla, a dodawszy dużo jarzyn i włoszczyzny, nalać tylko tyle wody, aby szynka była przykryta, i więcej dusić niż gotować, tak długo, aż będzie zupełnie miękka. Pokrajać ją w cienkie plastry na kości i podać z pu-ree z gruszką (pewnie powinno być „gruszką”) lub z fasoh. Można wlać do gotowania pół litra białego wina, a szynka będzie o wiele smaczniejsza.

27 lutego

Ale mieliśmy wczoraj ucztę! Była zupa-krem z brokułów z grzankami chlebowymi (zagęszcza się ją smażonymi razem z cebulą, następnie gotowanymi i zmiksowanymi ziemniaczkami oraz gęstą

śmietaną), kaczka z nadzieniem i jabłkami, kasza gryczana, a także do wyboru, do koloru: zapiekane, pokrój one w plastry ziemniaki z kminkiem, zestaw surówek, kompot z wiśni i śliwek (o tej porze roku mrożonych, naturalnie), placek z jabłkami posypany cukrem pudrem i cynamonem, babeczki z konfiturami z jagód i bitą śmietaną, prawdziwe cappuccino... Marcin nie wierzył, że sama piekłam i gotowałam. Oczywiście bez pomocy babci Sabiny nic, ale to nic by z tego nie wyszło, zaczynając od zakupu właściwie wyglądającej kaczki, co wcale nie jest proste. Gotowanie jest naprawdę trudne, a do tego czasochłonne - trzeba poświęcić na to cały dzień! Dzięki wielkiemu wsparciu przez babcię wszyscy się zajadali, aż im się uszy trzęsły a ona powtarzała tylko stare powiedzonko dziadka Stefana: „Jeść, pić, nie żałować, bieda musi pofolgować!”. Co tu się będzie działo na Wielkanoc, jak ta bieda na dobre zacznie folgować?

Problem jest jednak inny: jak ja teraz wrócę do jedzenia chińskich zupek? Nie przejdą mi przez gardło! Poza tym zauważyłam chytre spojrzenie mamutki, gdy zachwalała obiad, dziwiąc się moim umiejętnościom: „Joasiu, nigdy bym nie przypuszczała, że masz takie zainteresowania...”. Już chyba wiem, kto teraz będzie gotował w naszym domu. Tylko najpierw muszę zdać maturę!

3 marca

Pomyślałam dziś o Anulce, która oczywiście cieszy się z moich olimpijskich sukcesów, ale sama dosłownie obumiera, wygląda coraz

gorzej, jest coraz chudsza i bledsza - prawdziwa Anulka-bidulka. Opuściła się w nauce, a jak się na nią patrzy, serce się kraje. Postanowiłam się z nią spotkać, chociaż to trudne, bo nie wiem, jak jej pomóc, a chciałabym coś dla niej zrobić. Zaprosiłam ją na obiad - babcia tak się rozpędziła z gotowaniem, że już za nią nie nadążam. Dzisiaj był krupnik, na drugie pyszny gulasz, pyzy i sałata ze śmietaną, a na deser budyń czekoladowy z bakaliami. Patrzę... a Anulce łzy stoją w oczach na ten widok. Zaczęła wspominać czasy kiedy jej tata nie pił i przynosił do domu trochę pieniędzy a jej babunia też wtedy przyrządzała takie cuda. Teraz, gdy zapadła na tę straszną chorobę, nikogo już prawie nie poznaje poza jednym wujkiem, który niedawno odwiedził ją po... dwudziestu latach. Bezbłędnie go rozpoznała, mówiąc: „Witaj, Rysiu, co słyhać?” i uśmiechając się promiennie, jakby ostatni raz widziała go tydzień temu.

Anulka pokazała mi zeszyt ze swoimi wierszami. Zaczęła więcej pisać. Mówi, że to dzięki mnie. A więc mam na kogoś dobry wpływ! Ten króciutki wiersz bez tytułu szczególnie mi się spodobał.

Do widzenia, mój mały uśmiechu, zawisłeś wśród liści na szczycie drzewa jak balon, który cichcem umknął z ręki nieuważnego dziecka. Żegnaj, odchodzę z miną pierrota, nie widząc już tego, jak wiatr porywa cię w stronę w nieba.

Anulka ma talent, nie da się ukryć. Tylko jej wiersze są strasznie smutne, nie ma w nich żadnej nadziei. Ten o uśmiechu też paradoksalnie jest smutny tak jak inne, ale przynajmniej nie mroczny Może dlatego

spodobał mi się bardziej od pozostałych? Wpadłam na pewien pomysł: usiadłam do komputera i zaczęłam wyszukiwać w Internecie informacje na temat konkursów poetyckich. Znalazłam kilka, w których może wziąć udział każdy. Zaczęłam namawiać Anulkę, żeby spróbowała. Na początku się wzbraniała - jak to Anulka, która nigdy nie może uwierzyć w siebie - ale w końcu się zgodziła. Zobaczymy co z tego wyniknie...

4 marca

Od Moni, która wyraźnie cierpiała, że musi mi przekazywać takie nowiny, dowiedziałam się dzisiaj o akcji Praworządnych: one nie żartowały! Gdzieżbym zresztą śmiała przypuszczać, że żartują. Wysłały protest do ministra z prośbą o zmianę regulaminu i stekiem skarg. No dobra! Niech im będzie! W państwie demokracji i prawa nikt im przecież tego nie zabroni. Tylko że ja mam dzisiaj zły dzień. Zaczęło się od tego, że przy wychodzeniu z łóżka z powodu zbyt długiej koszuli nocnej, która zdradziecko oplatała mi nogi, zaliczyłam na dzień dobry glebę, po drodze waląc głową w kant biurka. Jak się zobaczyłam w lustrze, zamarłam ze zgrozy najpierw jednak, żeby coś zobaczyć, musiałam opłukać twarz, bo mi ją krew zalała. A potem ten protest... Staralam się zachować wewnętrzną równowagę, Bóg mi świadkiem, ale po raz drugi tego dnia krew mnie zalała, następnie zaś poryczałam się jak dziecko. Chlipiąc, zadzwoniłam do Marcina, żeby przyszedł i mnie przytulił, bo jestem bardzo nieszczęśliwa... Opowiedziałam mu o niegodziwości, która mnie spotkała. Zupełnie się rozkleiłam i

rozculiłam nad sobą. Cóż, taki dzień.

5 marca

Po południu zadzwoniła Monia. Chciała mi powiedzieć, że wstydzi się za dziewczyny, i jest jej głupio. Niepotrzebnie tak się tym przejęła. Przede wszystkim zadzwoniła jednak po to, żeby mi się zwierzyć z niesłychanie ważnej rzeczy: właśnie dzisiaj rano poczuła pierwsze ruchy - Malwinka zaczęła kopać! To niesamowite! Zapytałam Monie, czy będę mogła dotykać jej coraz okrągłego brzuszka, bo też chciałabym poczuć, jak mała dziewczynka beztrosko fika nóżkami. Oczywiście zgodziła się, przecież od czasów USG to „nasze” dziecko! O kurczę, mam tylko nadzieję, że Monia nie poprosi mnie o towarzyszenie jej przy porodzie. Tego przeżycia bym już chyba nie dźwignęła, mimo najszczerzych chęci!

7 marca

Wybrałam się z Izką na grób Artura. Po drodze kupiliśmy znicze, dużo zniczy, żeby

Arti dojrzał z góry światło - symbol naszej pamięci - i żeby pomogło mu ono, ogrzało go. Na grobie leżało mnóstwo świeżych kwiatów i stało wiele palących się, dopiero co poustawianych zniczy, tak że z trudem poupychałyśmy nasze. Nie miałam wątpliwości, kto tu codziennie przychodzi - na pewno Blondi. Teraz oprócz pracy został jej już tylko ten grób. Szeptem gadałyśmy z Izką o tym, że musi to być dla niej jakiś horror, trudno sobie wyobrazić, jak ona sobie z tym radzi.

Nagle patrzymy, a w naszą stronę idzie siwy facet. Dopiero, gdy stanął przy grobie, poznałam go - to był ojciec Artura. Facet kompletnie osiwiiał. Natychmiast zaczęłyśmy się zbierać, ale on zatrzymał nas, zagajając rozmowę:

- Dobrze, że tu jesteście. Nie uciekajcie. Artur na pewno nas widzi i cieszy się, że ktoś o nim pamięta. Trzeba się za niego modlić, żeby został zbawiony. On był niewinny, będzie zbawiony, wierzę w to... - ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym naciskiem, jakby sam siebie chciał o tym przekonać. Potem jego głos znowu przycichł: - Wszystko moja wina, to mnie piekło pochłonie. Wy się módlcie, ja nie potrafię.

Nie wiedziałyśmy, co odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, zrobiło mi się go żal, chociaż pamiętam, jaki był, i właściwie... nie należałoby mu współczuć. To było takie przygnębiające.

Byłyśmy w szoku, że mówi z nami tak otwarcie. W końcu odważyłam się odezwać.

- Będziemy się modlić i nie zapomnimy o tym grobie, może być pan pewien. Proszę się nie obwiniać...

- Wszystko schrzaniłem, jestem przegrany, zupełny bankrut!

- Mimo to niech pan też spróbuje się modlić - mówi Izka.

- Trzeba próbować, nawet jak nie wychodzi. Może w końcu dostanie pan łaskę... - chciała chyba powiedzieć „dostąpi pan łaski”, ale w sumie to wszystko jedno.

- Dziękuję.

- Proszę pozdrowić żonę - mówię jeszcze, ale nie śmiem pytać, jak się ma.

- Dziękuję, przekażę pozdrowienia, jestem u niej w zakładzie codziennie, dzisiaj też jeszcze podjadę. Nie wiem, czy coś do niej dotrze, nie reaguje na nic od miesiąca. Tylko siedzi albo leży nieruchomo, patrząc tępo przed siebie. Ale przekażę. A od kogo?

- Od Jośki - wyjaśniam i łzy stają mi w oczach. Co za tragedia!

12 marca

Na lekcji polskiego kochana Pani pojawiła się dziś z tajemniczą, nieco groźną miną. Po przywitaniu się z nami i sprawdzeniu obecności oznajmiła suchym, urzędowym tonem, że przyszło do szkoły pismo z ministerstwa edukacji - prawdopodobnie odpowiedź na wystosowany niedawno protest uczniowski. Wywołało to duże poruszenie wśród Praworządnych, które nawet nie próbowały kryć swojej ekscytacji i zadowolenia z takiego przebiegu sprawy Kochana Pani otworzyła przy nas kopertę i po krótkim zerknięciu na papier potwierdziła swoje przypuszczenie kiwnięciem głowy.

- Myślę, że najlepszym rozwiązaniem będzie głośne odczytanie tego pisma przy was, jako że sprawa dotyczy tej klasy - oznajmiła, nadal trzymając się urzędowego tonu. Widać po niej było, że jest podenerwowana - chyba zbulwersowała ją akcja

Praworządnych, bo to, że osiągnęłam sukces na olimpiadzie, jest

wbardzo dużym stopniu jej zasługą. Bez jej wskazówek niczego bym nie osiągnęła, więc cieszy się tym, że mi dobrze poszło, a tu tymczasem coś takiego... List, który zaczęła czytać, brzmiał mniej więcej tak:

Odpowiedź na pismo protestacyjnego komitetu uczniowskiego VIII LO...

W odpowiedzi na pismo uczniów VIII LO, protestujących przeciw zasadom obowiązującym w szkolnictwie średnim w przypadku uczniów „szczególnie uzdolnionych” - laureatów olimpiad wiedzy (zgodnie z Rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej i Sportu z dnia 14 lutego 1990 r. o laureatach olimpiad wiedzy), stwierdza się, co następuje:

Uczniom „szczególnie uzdolnionym” - laureatom olimpiad wiedzy przysługują określone przywileje, do których należy zwolnienie ze zdawania na maturze przedmiotu, którego dotyczyła olimpiada, jak również wstęp wolny na wybrane kierunki studiów. Jest to rozporządzenie ministerialne, od którego nie ma możliwości odwołania. Minister nie przewiduje w tym zakresie żadnych zmian, gdyż powyższe regulacje prawne uważa za całkowicie prawidłowe i zasadne. A jak to się komuś nie podoba, to na drzewo! Wy... bezczelne... dzie-wu-chy co zazdrościcie... innym, bo... w tym momencie głos kochanej Pani zaczyna się rwać, a na jej twarzy rysuje się zdziwienie; podnosi wzrok znad kartki i patrzy na nas szeroko otwartymi oczyma, wyraźnie pytającymi, o co tutaj chodzi) same... umiecie tylko... bezmyślnie... zakuwać na



pamięć...???

- No, dobrze, wystarczy, czyj to był pomysł? Joanno, czy coś ci na ten temat wiadomo?

Wzruszam ramionami (choć już zaczynam się domyślać, czyja to może być sprawka - mama Marcinka ma zakład wykonujący pieczętki, kto inny jak nie on mógłby wyprodukować takie pismo z urzędowymi pieczęciami?). W klasie zapanowała grobowa cisza, Praworządne skamieniały - z pewnością ze świętego oburzenia. Toż to obraza majestatu!

I naraz ktoś wybuchnął gromkim śmiechem - to Anulka nie wytrzymała. Tak ją to rozbawiło, że po prostu ryknęła zdrowym, gromkim śmiechem. Potem przyłączyła się do niej Monia, a później chłopcy, ja i wreszcie kochana Pani, która za wszelką cenę starała się zachować poważną minę. Walczyła dzielnie, ale w końcu też nie wytrzymała. Tak więc pół sali zanosilo się śmiechem, coraz to wybuchającym od nowa i coraz głośniejszym, a drugie pół siedziało zamarte i blade z wściekłości. W końcu Praworządne zaczęły się podnosić i dostojnie, z obrażonymi minami, opuszczać klasę. Chłopcy tak się rozkręcili, że nawet doszło do gwizdów Nagle wpadła do sali dyrcia, wrzeszcząc: „Co tu się dzieje?!”. Na moment opamiętaliśmy się, a kochana Pani w milczeniu podała jej „pismo z ministerstwa”. Dyrci najwyraźniej nie było do śmiechu, oznajmiła, że takie podrabianie urzędowych dokumentów to poważne wykroczenie i prawdopodobnie

trzeba będzie to zgłosić na policję. Trochę mi mina zrzęda... Na przerwie dopadłam Marcina. Uspokoił mnie, że nikt mu niczego nie udowodni, pismo zostało wysłane z Warszawy przez osobę trzecią i tak dalej.

-1 co? Fajnie to wymyśliłem? - pyta zadowolony z siebie. - W tajemnicy powiem ci, że pomogli mi w tym mama i Rafał - on najlepiej wie, jak takie pisma wyglądają, bo u niego w robocie, w tym jego biurze, ma na co dzień z tym do czynienia. No, powiedz, że fajny pomysł. To jest taki mój prywatny protest.

Zdziwiłam się, że mama Marcina się w to włączyła. Dotychczas miałam wrażenie, że w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Kiedy przychodzę do niego, odpowiada jedynie na dzień dobry i natychmiast gdzieś znika. Zresztą i tak jest to więcej niż w przypadku taty Marcina. Ten zawsze siedzi w fotelu z gazetą w ręce i odpowiadając na moje powitanie, pozostaje nią zasłonięty słychać zza niej tylko jego tubalny głos.

Wydaje mi się, że rodzice Marcina wcale się nim nie interesują, może robić, co chce, zadawać się, z kim chce, jest trochę jak bezpański pies. Ale może się mylę... No a Rafał to jego przystojny starszy brat. Jakoś nie było do tej pory okazji, żeby o nim wspomnieć. Jest już dorosły robi karierę w biurze doradczym i od niedawna zarabia dużo forsy. Mieszka we własnej kawalerce w bloku i mimo że jest naprawdę bardzo, ale to bardzo przystojny, nie ma żadnej przyjaciółki. Marcin,

który chyba nie przepada za nadto za swoim bratem, mówi, nie owijając w bawełnę (jak to on), że Rafał to gej. Jawtonie wierzę, mi się zdaje, że Rafał po prostu woli być sam, z nikim się nie wiązać. Na pewno miewa czasem jakieś przygody i to mu wystarcza. Używa życia, ma kupę znajomych, po pracy bawi się na rozmaitych imprezach... Całkiem inne życie niż moje...

Tymczasem musiałam coś odpowiedzieć rozentuzjzmowanemu „ministrowi edukacji”.

- No... fajnie to wymyśliłeś, chociaż zamiast „bezczelne dziewczuchy” wolałabym

„parszywe larwy”. Wiesz co? Tak na serio, kiedyś miałam taką swoją prywatną politykę - nazwałam ją polityką dystansu. Zdaje się, że nic już z niej nie zostało, całkowicie legła w gruzach. Chodziło o to, żeby nie dać się ponieść emocjom, żeby nie dać się wciągnąć w różne gierki, intrygi, nie musieć nikogo nazywać po imieniu, tak jak ty to zrobiłeś w tym liście...

- Daj spokój, nie rób sobie wyrzutów! Należało im się!

Ja jednak nie byłam tego taka pewna... Postanowiłam porozmawiać z babcią Sabiną. Od niej zawsze można się dowiedzieć czegoś mądrego, wyważonego. Kiedy opowiedziałam jej całą historię, o dziwo przyznała trochę racji Marcinowi. Babcia uważa, że nie można dopuszczać do pewnych sytuacji, na przykład żeby ktoś bez powodu traktował nas jak wroga i w ogóle nie szanował. W którymś momencie należy zawalczyć o

swoją godność, zdobyć się na odwagę, nie można chować głowy w piasek. To jej życiowa filozofia, której zawsze stara się trzymać, kiedy ktoś działa przeciwko niej. Nie pochwaliła jedynie wyzwisk, które pojawiły się w piśmie ministra Marcina. Według niej można to było sformułować w sposób bardziej żartobliwy, ale pomysł jako taki wcale nie był zły. Dobrze, że ktoś wreszcie utarł nosa Praworządnym, może się opamiętają. Babcia Sabina zwróciła też uwagę, że nawet nauczycielka nie potrafiła ukryć zadowolenia, że ktoś wpadł na taki pomysł.

Skoro zatem babcia tak sądzi, to znaczy że tak właśnie miało być!

Howghl

## **Rozdział VI**

### **O wiosennych wagarach, zaskakujących spotkaniach, dziwacznych snach w podróży i wielkanocnej babci. O sukcesach, ale tym razem nie moich, i o tym, że nieubłaganie zbliża się matura**

15 marca

Wszystkim ostatnio udziela się nerwowość związana z niespokojnym oczekiwaniem na maturę. Każdy chciałby mieć ją już za sobą. Wpadłam w panikę, że nie zdam historii i kompletnie się skompromituję. Czuję się tak, jakby moja głowa za chwilę miała pójść pod topór. Zaczęłam nawet męczyć mamutkę o sfinansowanie korepetycji z tego przedmiotu, zwłaszcza gdy zorientowałam się, że oprócz Anulki nie ma w klasie ani jednej osoby która z czegoś by się w ten sposób nie doksztalała. Niektórzy łązą nawet do jakichś profesorów i płacą po stówie za godzinę. Korepetycje wyglądają u nich tak, że profesor daje test czy zadanie do zrobienia, a sam wychodzi na papieroska. Potem zerka na rozwiązanie, coś poprawia, a forsa sypie się z nieba. Żyć i nie umierać! Mamutka powiedziała, że żadnych korków mi nie za-sponsoruje, bo laureatom olimpiad nie przysługują (czemu ona ostatnio zrobiła się znowu taka wyrodna?), ale słuchał tego Włodek i ku ogólnemu zaskoczeniu (znaczy się mojemu i mamutki) zadeklarował poniesienie ewentualnych kosztów, o ile sama wytrzasnę korepetytora.

To miło z jego strony, nie spodziewałam się! A póki co chodzę na doksztalcanie do Izki albo do Marcina, chociaż wolę do niej, bo z Marcinem to żadna nauka. Zwłaszcza że on się niczym nie przejmuje i tradycyjnie olewa budę. Liczy na swoją wrodzoną inteligencję i na to, że jakoś się prześlizgnie. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co on chce robić dalej. Jak zwykle jest tajemniczy zamknięty w sobie. Dzisiaj, na przykład, gdy próbowałam go przekonać do zabrania się za naukę, siedział w swoim pokoju na podłodze, oparty o ścianę, i patrzył z rozleniwieniem na twarzy przez otwarte okno. Mrużył oczy podśpiewywał sobie i w ogóle mnie nie słuchał. W końcu odezwał się jednak:

- Czujesz wiosnę? Słyszysz, jak pod ziemią wszystko zaczyna już się budzić, szemrać, uwijać? Może napiszemy o tym wiersz?

- Nie mogę sobie przypomnieć, co się wydarzyło w 1388 roku. A może nic? Może coś było w 1488, w 1588...?

- Czujesz, jak pachnie wiosną? Lubię te dni, kiedy nagle czuć ją w powietrzu...

Wiosenna rześkość. Piękny czas, kto by go tracił na nudne zakuwanie nudnych rzeczy!

- Potop szwedzki - na pewno wiesz coś na ten temat! Albo opowiedz o

Chmielnickim, XVII wiek nie należy do moich najmocniejszych stron.

- Ptaszki już zaczynają swoje gody...

- To może łacina: gaudere, gaudeamus, omnis... non omnis... Per aspera ad astra... O tempom, o moresl.

- Czy mówiłem ci już, dziecinko, że jesteś piękna? Chodź, to cię pocałuję.

I tak wygląda nasza wspólna nauka. Kończy się na tym, że rzucam książki i wyruszamy na poszukiwanie pierwszych znaków wiosny, a wieczorem włączam dawno niesłuchane-go Marana Gaye'a i pogrążam się w wiosennych, błogich marzeniach, kompletnie zapominając o maturalnych stresach.

21 marca

Dzisiaj dzień wagarowicza. Kto jak kto, ale my, to znaczy ja i Marcin, nie mogliśmy przepuścić takiej okazji. Na dworze zrobiło się jeszcze cieplej, przyjemniej, bardziej pachnąco i rześko... Tak więc szwendaliśmy się cały boży dzień - najpierw po mieście, wśród rozradowanego wolnością tłumu. Tu i ówdzie migąła mi znajoma twarz - a to Ewcia, a to Ilonka, Mariolka, Bolek. Machaliśmy sobie przyjaźnie, ale jakoś nie ciągnęło nas do siebie nawzajem, szliśmy każdy w swoją stronę. Potem, gdy niektórzy bracia i siostry wagarowicze zaczęli padać nam prosto pod nogi jak kłody - pewnie od nadmiaru spożycia coca-coli - wycofaliśmy się na przedmieścia. Trochę poprzytulaliśmy się na mostku nad kanałem, a jak nas stamtąd przepłoszył jakiś bezdomny, poszliśmy na nasze wzgórza, skąd rozciąga się widok na miasto.

Niestety, tu czekała nas niemiła niespodzianka: ogrodzenie, które wyrosło nie wiadomo kiedy, a za nim buldożery. Stało się, zaczęli budować bloki. Prędzej czy później należało się tego spodziewać, mimo to prawie się rozplakałam. Czyżby nasz świat zaczynał się pomału kurczyć i odchodzić?

22 marca

Przybiega dziś do mnie Izka i od razu widzę, że jest COŚ, something very important, o czym niezwłocznie musi mi powiedzieć, o ile uda jej się tylko zaczerpnąć oddechu. Okazuje się, że chodzi o wielką sprawę - niedługo ma się odbyć u nas w mieście koncert U2. Dużo się o tym ostatnio mówi w radiu i w telewizji. No i... przed U2 i przed Myslovitz, które bezpośrednio poprzedzi megagwiazdę, zagra UFFO!!! Izka nieprzytomna ze szczęścia, istny szal. Nie bardzo jest w stanie streścić mi historię, jak do tego doszło. Opowiada tak chaotycznie, że nic z tego nie kapuję. Nieważne, liczy się sam fakt. To rzeczywiście brzmi jak bajka, niewiarygodne! I w ten oto sposób niektórym ziszczają się marzenia o sławie.

- Czekaj, czekaj - mówię z namysłem - a Uff, odetchnij... zagra.) ą?
- No pewnie! - przytakuje Izka. - Ale numer!
- Owszem, numer popisowy!
- Pewnie codziennie będziesz teraz na próbach? - domyślam się.
- Żebyś wiedziała, od rana do nocy. To jedyne sensowne rozwiązanie. Muszę być perfekcyjna.



- A do matury kiedy się przygotujesz?

- E tam, matura, po co mi ta cała matura. - Izka macha lekceważąco ręką. - Mam ci wymienić sławnych ludzi estrady, którzy nigdy nie zrobili matury?

- Nie, nie, dzięki, obejdzcie się, wierzę na słowo. - Zdaję sobie sprawę, że muszę kontynuować przygotowania w osamotnieniu, nie mam wyjścia. Z Marcinem w tej kwestii się nie dogadam, a Izka, niestety znowu gubi rozsądek. - Jesteś pewna, że zostaniesz sławna?

- Wątpisz?

- Eee, nie wątpię, ktoś cię na pewno dostrzeże, tylko drzyj się ze sceny jak najgłośniej i skacz, wymachując rękami.

- Słuchaj, ty mi chyba zazdrościsz. Przecież ze śpiewaniem kompletnie ci nie wyszło.

- Jesteś na właściwym tropie, mój Sherlocku Holmesie. Niech robi, co chce, jej życie, jej sprawa. Nie będę się wiecznie zamartwiała innymi, pomyślę wreszcie o sobie. Oby rzeczywiście ktoś ją dostrzegł i żeby to był prawdziwy łowca talentów, a nie kolejny żigolo. A jednak Izka zmartwiła mnie.

Matura przecież ważna jest, miejmy nadzieję, że uda się nam wszystkim przez nią przebrnąć.

24 marca

Jak przez Marcina nie zdam tej nieszczęsnej matury, to... nie chciałabym być w jego skórze. Wczoraj znów odciągnął mnie od nauki i

zaciągnął tym razem do kina. Włóczykij - jakby go określiła babcia Sabina. Mamutka i Włodek też dokądś szli - nie pytałam dokąd - a my mieliśmy się uczyć. Mamutka jeszcze się upewniała, że będziemy zakuwać, bo zauważyła, że ostatnio coś nietęgo mi z tym idzie.

Uspokoiliam ją: na pewno się razem pouczymy zrobimy solidną powtórkę, zresztą, chyba nie wątpi w laureata olimpiady! Niestety, po tych zapewnieniach dałam się namówić na „drobny występ”. To miał być krótki wypad, którego nikt nie miał zauważyć. Skończyło się straszliwą burą, ale też dzięki temu dowiedziałam się o bardzo ciekawej rzeczy a wszystko z powodu dwóch zaskakujących spotkań. Po pierwsze, z Danielą, a po drugie... z mamutka i Włodkiem, którzy właśnie wybrali się do kina - dokładnie tam, gdzie my na ten sam seans. Nigdy nie podejrzewałam, że Daniela może mieć coś wspólnego z kimś tak dobrze mi znanym jak Włodek, a tu nagle - sensacja! Ale po kolei: najpierw natknęliśmy się na Daniele, samotnie tkwiącą w holu pod filarem. Ucieszyłam się na jej widok, stoimy więc razem i nawijamy co u nas słyhać i tak dalej. Daniela zaczyna właśnie opowieść o wyczynach joginów ze Wschodu, gdy w pewnej chwili kątem oka spostrzegam mamutkę i Włodka. Próbuję skryć się za filar, jest już jednak za późno. Jakbym mogła, to bym się na niego wdrapała, w tym jednym momencie życia pożałowałam, że nie urodziłam się małpą. Mamutka podbiega do mnie, będąc w furii, tak że odruchowo zasłaniam się przed spodziewanym ciosem. Zaczyna się na mnie wydzierać: myślała, że już

jestem dorosła, ale się myliła, bo jestem dalej głupi smarkacz i tak dalej. Marcinowi też się obrywa, a tymczasem stojący obok Włodek zwraca się spokojnie do z lekka osłupiałej Danieli:

- Dzień dobry córeczko, sama tu przyszłaś? Mamutce opada szczęka i zapomina, co chciała jeszcze wywrzeszczyć. To Włodek ma córkę i w dodatku jaja znam! Daniela musi nosić nazwisko po mamie, dlatego nie wiedziałam, że to córka Włodka. W domu nic o niej nie opowiadałam po powrocie z olimpiady. Ona o swoich rodzicielach też nic nie wspominała. A to ci historia!

Dziś, kiedy tylko wyczułam, że już mogę zagadać do mamutki i nie zostanę zabita wzrokiem oraz zbyta złowrogim milczeniem - bo mamutka na szczęście nie umie się długo gniewać - zdybałam ją w kuchni i pytam:

- Czemu nic nie mówiłaś, że Włodek ma córkę?

- Jak to nie mówiłam? - odpowiada mamutka oburzonym głosem. - Pewnie, że mówiłam, musiałaś nie zwrócić uwagi.

- Akurat!

- Mówiłam, mówiłam.

- Nie mówiłaś - tkwię uparcie przy swoim. - No i co z tego?

- Nic, ale teraz, jak już o tym wiem, może zaprosimy Daniele na obiad? Zwłaszcza że ja już ją znam, wiesz, poznałyśmy się na olimpiadzie.

- A tak, Włodek coś wspominał, że ona też się zakwalifikowała,

teraz sobie przypominam... Zupełnie mi to wszystko gdzieś umknęło, musisz mi wybaczyć.

- Straszna z niej dziwaczka, niezły oryginał. Wybiera się w podróż do Tybetu, a potem na Cambridge!

Widzę, że mamutka nie jest tym specjalnie zachwycona. Jest jakaś spięta, kręci, jak zwykle w tego rodzaju sytuacjach. Raz zapomniała mnie poinformować, że wychodzi za męża, a drugi raz o takim „drobiazgu” jak Daniela. Ale i tak kiedyś zaprosimy moją towarzyszkę z olimpiady na obiad. Jest, zdaje się, moją przyszywaną siostrą. Hmm...

I pomyśleć, że nocowałyśmy w Warszawie w jednym pokoju, nie wiedząc, co nas łączy...

27 marca

Zbliżają się święta, kolejny powód do rodzinnego zamieszania. Tym razem nie mogę zapomnieć o tatusiu - już dziś przygotuję świąteczną kartę z życzeniami. Napiszę też list. Myślę, że będzie brzmiał mniej więcej tak:

Drogi Tato!

Nawet nie wiesz, jak mi tu Ciebie brakuje. Na co dzień jest tyle różnych spraw, w których często się gubię, a zbliża się matura i pomału naprawdę zaczynam się bać. Mamut-ka czasem na mnie wrzeszczy (wiesz, jak to ona potrafi), że za mało się uczę, że osiadłam na laurach, i chyba ma trochę racji. Brakuje mi Twojego spokoju i równowagi. Ty nigdy na mnie nie krzychałeś i to w Tobie lubię najbardziej. Mama jest

dużo bardziej nieobchciana. Nie tak dawno zaprosiła na przykład swoje koleżanki z dawnych lat i... A zresztą, nieważne.

Któregoś razu miałyśmy z mamutką długą, szczerą rozmowę. Trochę mi opowiedziała, jak to kiedyś między Wami było. Teraz ciekawa jestem Twojej wersji zdarzeń. Czasem szkoda mi samej siebie, że nie mam normalnej rodziny. Co prawda jest Włodek, którego zresztą polubiłam, bo czasem robi za bufor między mną i mamutką i w ogóle jest w po-rzo... Staram się więc za bardzo nad sobą nie rozczulać, zwłaszcza po odwiedzinach u Anulki-bidulki, o której opowiem Ci, jak się spotkamy.

A jak Tobie się powodzi tam, daleko? Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy i że Twoja kobieta też jest OK. Zadzwoń w Wielkanoc, pogadamy. U mnie wydarzyło się ostatnio mnóstwo rzeczy, nie dam rady napisać o tym w hście, ale myślę, że latem będzie okazja, żeby Ci wszystko zrelacjonować, skoro już przyrzekłam, że przylecę.

Tato, wszelkiej pomyślności, zdrowia, szczęścia, spokoju w święta Wielkiej Nocy i do rychłego zobaczenia!

Twoja Jośka

PS Trzymaj za mnie kciuki, kiedy zaczniesz maturę. A co do studiów - już postanowione: to będzie polonistyka. Pa!

Tato zabije mnie za tę polonistykę. Z tego jednego powodu cieszę się, że jest teraz daleko, może nie będzie próbował na mnie naciskać, żebym zdawała gdzie indziej. W każdym razie na pewno będzie miał ku

temu mniej możliwości. To musi być polonistka, przecież nic innego mnie nie pociąga - nawet gdybym miała do końca życia klepać biedę!

Wracając do świąt, które są już za pasem, najbardziej podoba mi się fakt, że babcia Sabina przedłużyła swój pobyt u nas i wyjedzie dopiero po świętach. W sumie zostanie więc z nami ponad miesiąc, chociaż miała być tylko kilka dni, i znowu uratuje sytuację kulinarną, żebyśmy nie musieli zamawiać pizzy na telefon. (Jeżeli chodzi o kaczkę z nadzieniem, to zajmę się nią sama - udowodnię, że nauka nie poszła w las). Oczywiście nie chodzi tylko o kuchnię, ale przede wszystkim o to, że prawdziwe święta są jedynie z babcią Sabiną, takie jak wtedy, gdy byłam jeszcze dzieckiem, gdy żył dziadek Stefan. To znaczy niezupełnie takie, ale podobne, mające coś z tamtej atmosfery

Odwiedzi nas też pani Jagoda, która przeszła operację, ale już dochodzi do siebie i znowu jest podobno wesoła, tylko schudła i się bardziej pomarszczyła. Włodek ma ją przy-transportować, chociaż lekarze nie są z tego zadowoleni. Pani Jagoda uparła się jednak, że nie zostanie na święta sama. Ucieszyłam się na wieść o jej wizycie, bo bardzo ją polubiłam - mam wrażenie, jakby od dawna należała do naszej rodziny. Pewnie przy stole nie obejdzie się bez rozmów o zdrowiu: co komu dolega, gdzie kogo strzyka, łupie i jakie kto zna cudowne metody domowego leczenia, ale jakoś to przetrwam. Zauważyłam, że babcia Sabina coraz częściej ostatnio stęka, a i mamutka lubi sobie ponarzekać. Oby to było tylko stękanie i nic więcej. Czy ja też się stanę taka jak one?

Na razie sobie tego raczej nie wyobrażam. Podobnie jak nie wyobrażałam sobie do dziś babci Sabiny przy... komputerze. A jednak - ta kobieta jest naprawdę niesamowita. Poprosiła mnie dzisiaj, żebym zaznajomiła ją z obsługą „tego zmyślnego urządzenia”, dodając, że jak nauczyła się posługiwać mikserem, to i komputer okiełzna. Próbowałam dać jej do zrozumienia, iż komputer to niezupełnie to samo co mikser, ale wcale jej nie zniechęciłam. W szczególności chodziło jej o Internet i wyszukiwarki, które nazwała „wyszukiwaczami”.

- Zobaczymy, czy znajdziemy w wyszukiwaczach coś o naszej rodzinie. Podobno można tam znaleźć wszystko - mówi do mnie zaciekawiona.

- Wiesz, babciu, że nigdy mi to nie przyszło do głowy To bardzo ciekawe... -

Właściwie nie byłam do końca pewna, czy to aż takie interesujące.

Po długim przedzieraniu się przez gąszcz informacji tylko z pozoru dotyczących naszej rodziny (za sprawą przypadkowej zbieżności nazwisk) trafiłyśmy wreszcie na coś ciekawego. Otóż dziadek Stefan miał młodszego brata, który tuż przed wojną wyjechał do Ameryki - tyle tylko wiedziała babcia. Potem słuch o nim zaginął. Z dziadkiem był ponoć skłócony, ale o co poszło, niewiadomo - dziadek nie chciał nigdy na ten temat mówić. Natknęłyśmy się na stronę jakiegoś amerykańskiego towarzystwa przyjaciół sztuki, którego honorowym prezesem jest właściciel znanej nowojorskiej galerii. Znalazło się tam nie tylko jego

nazwisko - Kruszewski, ale także zdjęcie: wypisz, wymaluj dziadek Stefan, tylko grubszy z bardziej krzaczastymi brwiami, no i z brodą, której starszy z braci nigdy nie nosił. To musiał być ten Antoni Kruszewski, nie było wątpliwości.

- Joasiu, a jak się pisze tę... emalię, czy jak to tam zwał - pyta babcia, zamyślona już nad tym, co chciałyby powiedzieć wujkowi Antoniemu, którego w ogóle nie znamy.

- E-mail? Napiszę, jeśli chcesz, wystarczy, że mi podyktujesz. Zobacz - tu jest podany adres tego towarzystwa. Mogą to na pewno przekazać wujowi.

- To dobrze, napiszemy. Hmm... jak to się stało, że przez tyle lat nie było z nim żadnego kontaktu? A może lepiej nie pisać, po co? - babcia popada w zwątpienie.

Chyba się trochę wystraszyła.

- Czemu nie? Jak to się mówi: lepiej późno niż wcale. Może wujek chciałby przyjechać do Polski, ale nie wie, jak odnaleźć kogoś z rodziny. A może nie myślał o tym, a teraz, kiedy się dowie, że ktoś sobie tu o nim przypomniał, zaczniemy korespondować. Może opowie nam coś ciekawego...

- No, dobrze - po głosie babci słyszę jednak, że nie jest przekonana.

- Jak zatytułujemy ten liścik?

- Niech będzie tak:

Szanowny Panie Prezesie! I dalej:



Nazywam się Sabina Kraszewska, z domu Nicińska. Natknęłam się na wiadomość o

Panu w Internecie, tu też zobaczyłam Pańskie zdjęcie. To ostatnie rozwiało wszelkie moje wątpliwości - jest Pan bratem mojego świętej pamięci męża, Stefana Kraszewskiego. Pierwszy raz w życiu mam do czynienia z techniką komputerową, która pozwala podróżować po świecie, nie ruszając się z miejsca, i która pozwoliła mi natrafić na Pański ślad. Nie wiem, czy życzy Pan sobie kontaktów z rodziną nieżyjącego brata, pomyślałam jednak, że może po tylu latach...

Mam nadzieję, że się nie mylę i rzeczywiście jest Pan bratem Stefana, a jeśli nie, to z góry przepraszam za pomyłkę. Oczekuję na odpowiedź. łączę wyrazy szacunku Sabina Kraszewska

Opatrzyłam nasz elektroniczny list stosownymi informacjami w języku angielskim. Babcię najbardziej zszokowało to, że po kliknięciu na „Wyślij”, co trwa nie dłużej jak sekundę, wiadomość lotem błyskawicy powędrowała do Ameryki. Nie mogła się temu nadziwić. Tak ją to wszystko wciągnęło, że z trudem oderwała się dziś od komputera (Bogu dzięki nie odkryła jeszcze gier komputerowych). Wyznam po cichu: jestem z niej dumna. Z drugiej strony trochę się jednak obawiam - co zrobię, jeśli teraz zechce, na przykład, nauczyć się jazdy na rolkach? Apetyt rośnie w miarę jedzenia.

28 marca, późnym wieczorem

Tymczasem tatuś, który chyba telepatycznie wyczuł, że o nim

myślałam, zadzwonił już dzisiejszego wieczoru, nie czekając na mój list. Z tej rozmowy z nim wynikała rzecz całkiem nieoczekiwana: okazało się, że w Wielkanoc mam wybrać się w podróż. Podróż do mojej drugiej babci, której na imię Aurelia. Równie dobrze mógł mi oznajmić, że czeka mnie w najbliższym czasie podróż na Księżyc - wcale nie byłabym dużo bardziej zdziwiona.

Parę słów wyjaśnienia: mama mojego taty babcia Aurelia, też wdowa, tak jak babcia

Sabina (dziadka Adama znam tylko ze zdjęć), od lat mieszka ze swoją kuzynką

Weroniką przy głównej ulicy (o nazwie Główna) pewnej zabitej dechami miejsciny na drugim końcu Polski. Przez to szare i brzydkie miasteczko codziennie mkną setki

TIR-ów, a ona siedzi w oknie, oparta na poduszce, i liczy samochody (śmiało można by jej zlecić pomiar ruchu drogowego). Babcia Aurelia od lat jest śmiertelnie obrażona na całą naszą rodzinę za to, że mamutka rozwiodła się z jej synem, a tak się przecież nie godzi. Nawet ze mną - Bogu ducha winną - nie chciała się kontaktować, mimo że sam tatuś niejednokrotnie ją do tego namawiał. Nie wiem, dlaczego zachowuje się tak nierozsądnie, może wiąże się to z jej fanatyczną wiarą. W żaden sposób nie umiała się pogodzić z tym, że mój tata „żyje w grzechu” - z winy mamutki, rzecz jasna. Z tego, co zrozumiałam, jej zdaniem w małżeństwie nie ma przeszkód nie do pokonania i mamutka

w żadnym razie nie powinna się poddawać. Babcia Aurelia zawsze była zatwardziała - tak to określa mamutka, używając czasem jeszcze ostrzejszych epitetów (prawdę mówiąc, ten należy do najłagodniejszych).

Tak więc babcia Aurelia w moim życiu zasadniczo do tej pory nie istniała i nie odgrywała żadnej roli, choć przez pewien czas wysyłałam do niej kartki z życzeniami, nigdy nie uzyskując odpowiedzi. No i dziś dowiaduję się, że babcia Aurelia zażyczyła sobie nagle, żebym do niej przyjechała i spędziła u niej święta. Propozycja wielce szokująca. Już widzę reakcję mamutki, gdy się o niej dowie. Oczywiście zrobi wszystko, żebym z niej nie skorzystała. Sama zresztą mam ochotę puścić ją mimo uszu. Babcia Sabina aż wzdrygnęła się na myśl o tej wycieczce, ale potem, po zastanowieniu, o dziwo stwierdziła, że powinnam jechać. Mówi tak (uwielbiam te jej mądrości):

- Hmm... podobno człowiek zmienia się raz na siedem lat. Może ona się zmieniła, może przeżyła jakąś przemianę, może chce cię przeprosić? Nie należy jej odmawiać prawa do naprawy własnych błędów. Jeżeli jednak zacznie cię obrażać, natychmiast odwracaj się na pięcie i wracaj do domu!

A to ci dopiero diabeł z pudełka, ta moja babcia Aurelia. Jechać czy nie jechać?

29 marca

Właściwie w ogóle nie jestem przekonana do tej podróży - jaki ona

ma sens? Coś się we mnie buntuje. Nastawiłam się już na wyborne przysmaki babci Sabiny i soczyste anegdoty pani Jagody (fajno by było!). Jeśli się zdecydowałam, to częściowo wbrew samej sobie. Coś jednak podświadomie nakazuje mi jechać. Moją decyzję właściwie trudno wytłumaczyć, teraz, miesiąc przed maturą. A jednak... podejmujemy czasem takie niezrozumiałe wyzwania. Oznajmiłam dziś mamutce, że na Wielkanoc udaję się do babci Aurelii. Nie trudno zgadnąć, jak zareagowała - omal nie skończyło się to atakiem apopleksji. Najpierw wrzeszczała i histerycznie protestowała, a następnie zrobiło się jej słabo i Włodek musiał ją cucić. W słowach to ona przy tym wszystkim raczej nie przebierała. W końcu - jak zwykle - machnęła ręką i mówi:

- Jedź, najlepiej przekonasz się na własnej skórze, jedź!

5 kwietnia

No i pojechałam... W sobotę wielkanocną z samego rana malowałam jeszcze z Izką pisanki - zachowałyśmy ten nasz wspólny obyczaj z dzieciństwa. Myślałam, że przy tej okazji trochę pogadamy o tym i o owym, ale stanowczo się przeliczyłam. Izka przez cały czas ćwiczyła chórki do występu UFFO przy akompaniamencie przeraźliwego miauku Fikusa, który tak reaguje na jej śpiewanie, a pani Wiesia, stojąc za jej plecami, tylko robiła do mnie rozpaczliwe miny, mające chyba oznaczać mniej więcej tyle co: kompletnie jej odbiło, w ogóle nie można dojść z nią do ładu, a co z maturą?! Pokiwałam głową

ze współczuciem. Ona pewnie „uffnie” sobie z ulgą dopiero po koncercie.

Zdążyłam jeszcze pobiec z koszykiem do kościoła, potem pędem spakowałam plecak i w drogę. Podróż była nużąca, dwa razy musiałam się przesiadać, a ostatni pociąg włókł się w nieskończoność. Po drodze usiłowałam uczyć się historii, ale usypiałam nad książką, a głowa leciała mi bezwładnie na wszystkie strony, tak że co chwilę w coś nią uderzałam. Nie mogłam przy tym zapanować nad opadającą szczęką, co z pewnością nie robiło miłego wrażenia na współpasażerach. W końcu położyłam plecak na kolanach i oparłam na nim czoło. To też nie wyglądało najlepiej, ale pozwoliło mi na dłuższą drzemkę. Przyśnił mi się wtedy bardzo dziwny sen, a raczej cała sekwencja różnych snów, jakby szereg filmowych kadrów. Zapamiętałam je dokładnie. Oto mój sen w czterech odsłonach:

#### ODSŁONA 1: ANIELSKI DZIADEK

Śniło mi się moje miasto, w którym odkryłam zupełnie nową dzielnicę. Dzielnica ta rozciągała się na terenach za kanałem, gdzie mieszka Anulka, tylko była dużo bardziej rozległa niż kolonia. Obejmowała rejon, gdzie na razie ciągną się pola i podmokłe łąki. W moim śnie wyrosły tam piękne wille, a wokół nich coś na kształt wiszących ogrodów. Błądziłam wśród tych willi i ogrodów - było południe, środek lata, z nieba lał się żar, a słońce przeraźliwie raziło w oczy. We wszystkich oknach opuszczono rolety i nie widziałam żywej

duszy. Było zupełnie cicho, aż dzwoniło w uszach. Doszłam do dużego budynku, przypominającego kościół. To nie był jednak kościół, lecz muzeum nazwane „Nowojorską Galeńą”. Nikt nie pilnował wejścia, mogłam więc zajrzeć do środka. Zobaczyłam korytarz pełen starych komód i szaf, a na jego końcu schody wyłożone czerwoną wykładziną. Udałam się powoli w ich kierunku. Po drodze wystraszył mnie kot, który niespodziewanie wyskoczył z jednej z komód. Schody były długie i kręte. U góry znajdowała się sala z jednym tylko obrazem pośrodku. Wielkiego formatu malowidło przedstawiało wyobrażenie nieba z kręgami anielskimi i Jezusem - królem na tronie w samym centrum obrazu, w towarzystwie Matki Bożej nieco poniżej Jego postaci. Usiadłam na wprost obrazu, na ławeczce dla zwiedzających i przyglądałam się Mu z zachwytem. Nagle spostrzegłam, że jeden z aniołów z najniższego kręgu nieznacznie mrugnął do mnie okiem. Ten anioł miał twarz dziadka Stefana. Myślałam, że się przewidziałam, i zaczęłam przecierać oczy. Gdy znów je otworzyłam, sala i obraz zniknęły. ODSŁONA 2: W LABIRYNCIE ULIC

Naraz znalazłam się na ruchliwej, pełnej zgiełku ulicy, w jakimś ogromnym, obcym mieście. Ktoś mnie potrącił i normalnie wpadłam pod pędzący samochód. W ręce ścisnęłam świstek papieru. Rozwinęłam go i odczytałam zanotowany tam adres, pod który najwidoczniej miałam trafić: ulica Centralna. Numer był jednak nieczytelny. Zaczęłam błądzić po mieście, szukając tej ulicy, i wreszcie ją odnalazłam. Ciągnęły się

wzdłuż niej identyczne wieżowce. Na każdym z nich widniał ten sam numer - 99. Weszłam do pierwszego z nich i pojechałam windą na ostatnie, dziewiąte piętro. Wszystkie drzwi do mieszkań na tym piętrze też nosiły numer 99. Zapukałam do najbliższych i gdy już słyszałam zgrzyt zamka...

...Przebudziłam się, bo właśnie ktoś wychodził z przedziału i stuknął przy tym drzwiami. Ale po chwili znowu pogrążyłam się we śnie, licząc na to, że wrócę do sceny z wieżowca i zobaczę, kto mi otwiera. Ten sen był niczym trans, w ogóle nie chciało mi się wracać do rzeczywistości. ODSŁONA 3: NA POLU BITWY

Tym razem nie było już jednak żadnego wieżowca, miasta ani ulic. Znajdowałam się na wielkim polu, a raczej klepisku, którego koniec sięgał ze wszystkich stron horyzontu. Najpierw panowała tu zupełna cisza, ale potem usłyszałam narastający dźwięk. Jeszcze nie potrafiłam go rozpoznać, wkrótce stał się jednak głośniejszy. Teraz można go już było zidentyfikować - to był tętent kopyt. Na horyzoncie dostrzegłam coś przybliżającego się, co wyglądało z daleka jak olbrzymi rój owadów. Nagle tętent nasilił się tak, że prawie mnie ogłuszył, i ze wszystkich stron w mgnieniu oka ukazały się armie konne z chorągwiami, gotowe do rozpoczęcia wielkiej bitwy. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że to mój egzamin maturalny z historii. Musiałam prawidłowo podać nazwę i datę bitwy oraz jej przebieg, zanim się na dobre zacznie, w przeciwnym razie zostanę stratowana. Oczywiście miałam pustkę w

głowie i z nerwów pot lał mi się po całej twarzy. Znowu zaległa zupełna cisza. Po chwili usłyszałam nowy odgłos - to było bębnienie palców naszego pana profesora od historii o biurko - tak zwykle wyraża on swoje zniecierpliwienie brakiem odpowiedzi. Ale wkrótce to bębnienie stało się dużo głośniejsze i zorientowałam się, że to już nie palce niewidzialnego profesora, ale prawdziwe bębny, oznajmiające gotowość do rozpoczęcia bitwy. Gdy szybkość miarowego walenia w bębny sięgnęła szczytu, rozległo się ostatnie, najgłośniejsze uderzenie i...  
...Znów się obudziłam - również tym razem na skutek czyjegoś stuknięcia drzwiami od przedziału. Odgłosy bębnienia, które słyszałam we śnie, na pewno miały coś wspólnego ze stukotem kół pociągu. Przetarłam oczy zdjęłam plecak z kolan, a następnie spojrzałam na otwarty podręcznik do historii, leżący wciąż pod spodem. Racja, próbowałam wczytać się w dzieje średniowiecznych bitew z Krzyżakami, a ta, która mi się przyśniła, miała być zapewne tą największą z nich - pod Grunwaldem.

Pomyślałam: no tak, a więc ciągle zżerają mnie obawy przed blamażem maturalnym. Chyba rzeczywiście za mało umiem. Postanowiłam zatem natychmiast wrócić do zakuwania, najpierw jednak wyrzucić na moment przez okno. Tak też zrobiłam.

Zapadał zmrok, w oddali migały światła osiedli, samochodów, sylwetki kościołów, neony hipermarketów. Zapatrzyłam się. Minęło pół godziny, zanim oderwałam wzrok od tych widoków, i wróciłam do



lektury książki. Niestety, działała na mnie wyjątkowo usypiająco - może dlatego, że historia była w niej opisana sucho i nieciekawie, bez odrobiny polotu. I znów moja głowa poleciała bezwładnie na bok, a powieki opadły, ustępując przed kolejną senną wizją:

#### ODSŁONA 4: CHŁOPAK Z REKLAMY, CZYLI O CZYM ŚNI DZIEWCZYNA, KTÓRA W DOROSŁOŚĆ WCHODZIĆ ZACZYNA

W mojej głowie łomotała teraz muzyka w stylu techno, stałam w środku podrygującego w jej rytm tłumu. To była jedna z wielkomiejskich dyskotek z wieloma salami na różnych poziomach. Z trudem przedarłam się przez gęsty tłum, oślepiona migającymi światłami i ogłuszona łomotem czegoś, co miało być rzekomo muzą. Po chwili znalazłam się winnej sah. Słyszeć w niej było tylko delikatne bulgotanie wody. Co za ulga! Nigdy nie przepadałam za dyskoteką, a zwłaszcza w stylu techno. Różowe światło dawało miłe wrażenie, a wielkie fotele z oparciami w kształcie serca zapraszały pluszową miękkością, żeby się w nich rozgościć. Usiadłam i na moment przymknęłam oczy, bo nagle poczułam, że ogarnia mnie przyjemne znużenie. Kiedy ponownie podniosłam powieki, naprzeciw mnie siedział chłopak - niesamowicie przystojny gość. Zastanawiałam się, skąd go znam, i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że gdzieś już go widziałam. Wreszcie przypomniałam sobie - przechodząc obok wielkiego centrum handlowego wmieście, zwróciłam niedawno uwagę na olbrzymią reklamę jakiejś znanej firmy odzieżowej. Wielkoformatowe zdjęcie było zbliżeniem twarzy

przystojnego chłopaka. Tak, to on, chłopak z reklamy! Teraz wyciągnął do mnie rękę i wskazał zapraszającym gestem duże drzwi na końcu sah. fak zahipnotyzowana dałam się tam zaprowadzić. Weszliśmy do kolejnego pomieszczenia. Wszyscy znajdujący się wewnątrz ludzie byli przebrani za postacie z Jłlicji w Krainie Czarów” i namiętnie palili nargile. Poczułam się tak, jakbym była główną bohaterką powieści. Nagle zorientowałam się, że chłopak oddala się ode mnie i idzie w stronę Królowej Kier, mnie zaś z całej siły ktoś szarpie za ramię. Chłopak, w którym się w tym śnie zakochałam na umór, zaczął znikać w tłumie bajkowych postaci, przesłonił go Kapelusznik, i zupełnie straciłam go z oczu. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto mnie tak tarłosi. Był to Marcin, przebrany za Pana Gąsienicę, który od dłuższego czasu próbował wytłumaczyć mi, że występujemy w reality show i żebym w nic, co tu się dzieje, nie wierzyła, bo przystojniak jest tylko wynajętym aktorem, a widzowie, oglądający to przedstawienie na żywo, śmieją się teraz ze mnie. Pan Gąsienica Marcin znowu zaczął mnie szarpać, jeszcze mocniej niż do tej pory, jakby chciał wyrwać mnie ze zbyt twardego snu...

Wtedy rzeczywiście się obudziłam. To konduktor chciał mi powiedzieć, że za pięć minut wysiadam, i szarpał mną, nie mogąc mnie obudzić. Podziękowałam mu za troskę - z pewnością przespałabym swoją stację. Przez chwilę byłam jeszcze półprzytomna. Kiedy jednak na dobre się ocknęłam, ujrzałam siedzącego naprzeciw mnie chłopaka - o

kurczę, on niczym nie różnił się z wyglądu od chłopaka z mojego snu. Czary jakieś, czy co? Wpatrywał się we mnie uporczywie i uśmiechał nieznacznie, raczej ironicznie. Spakowałam do plecaka mój nudny podręcznik - wiele się tego dnia nie nauczyłam - i speszona czym prędzej opuściłam przedział.

Stojąc już na peronie, spostrzegłam twarz chłopaka ze snu w oknie odjeżdżającego pociągu. Wydawało mi się, że pomachał mi na pożegnanie. Czy to możliwe, że obudziłam się i dalej śniłam na jawie? Podróże pociągami, podręczniki pełne suchych faktów i dat zawsze wprowadzały mnie w stan wyjątkowej senności, ale tym razem działało się coś naprawdę dziwnego - przestałam dowierzać zmysłom.

Gdyby na peronie zjawiała się wówczas, powiedzmy brygada krasnoludków z pytaniem, czy mają mi ponieść plecak, i z ofertą niezwykle atrakcyjnego cenowo noclegu u Królowny Śnieżki, wcale bym się nie zdziwiła.

Tymczasem miała się zdarzyć jeszcze jedna zastanawiająca rzecz. Było już bardzo późno, gdy z dworca udałam się na piechotę w stronę ulicy Głównej, gdzie mieszka ze swą kuzynką babcia Aurelia. W tej dziurze trudno się zgubić, więc niebawem trafiłam tam, gdzie trzeba. Wtedy uświadomiłam sobie, że nie znam dokładnego adresu. Pamiętałam tylko nazwę ulicy. Pomyślałam, że Główna brzmi podobnie jak Centralna w drugiej odsłonie mojego snu. Stałam więc przed domem numer 9, bo numeru 99 w ogóle nie było. Dom wydał mi się

znajomy choć z czasów, gdy tu ostatnio byłam, mając cztery i pół roku, niewiele zostało w mojej pamięci. To musiała być Główna 9 mieszkania 9. Bez wątpienia dostałam dziś we śnie wskazówkę. I rzeczywiście - nie myliłam się, potwierdziło to nazwisko na domofonie. Nagle obleciał mnie strach. Może babcia Aurelia i jej kuzynka Weronika to czarownice, które zesłały na mnie te niesamowite sny i omamy? Pewnie ściągnęły mnie do siebie, żeby ugotować mnie na święta w kotle, bo nie mają już nic do jedzenia... Naciskając dzwonek, miałam duszę na ramieniu, jakbym miała wpaść wprost w paszczę smoka, jednak długo nic się nie działo. Popadłam w zwątpienie, czy w ogóle ktoś jest w środku. Dzwoniłam jeszcze dwa razy zanim wreszcie brzęk domofonu oznajmił, że mogę pchnąć drzwi i dostać się do środka. Widok pogrążonej w ciemnościach wąskiej klatki schodowej tylko spotęgował mój lęk. Przypomniała mi się inna, ta, na której natknęłam się kiedyś przez przypadek na Artura i która potem przyśniła mi się w najbardziej koszmarnym śnie, jaki kiedykolwiek miałam. A jeśli babcia Aurelia jest podobna do kobiety z tamtego snu? Na plecach poczułam dreszcz grozy I tak, na sztywnych ze strachu nogach, dotarłam na drugie piętro, do drzwi z numerem 9. Nieśmiałe pukanie spowodowało zgrzyt zamka - w tym momencie wyraźnie odczułam, że ta sytuacja już kiedyś miała miejsce, i wcale nie chodziło o sen z ulicą Centralną i wieżowcem. Na czoło wystąpił mi zimny pot. Przemknęła mi jeszcze myśl, że wciąż jadę pociągiem i śnię, nie mogąc się obudzić, ale w drzwiach ukazała się już

babcia Aurelia i nie było więcej czasu na zastanawianie.

Nasze powitanie wypadło dość oziębłe. Z ciemnego korytarzyka weszliśmy do pokoju, w którym piętrzyły się stare meble, by nie rzec graty a wśród nich piękny antyk - stojący zegar, wysoki, sięgający sufitu. Babcia Aurelia długo lustrowała mnie wzrokiem zza okularów w rogowych oprawkach. Włosy miała całkiem siwe, ale za to starannie ułożone w fale, które trzymały się chyba za pomocą grubej warstwy lakieru.

Usta lśniły od amarantowej szminki, odznaczając się na twarzy. Wyglądała trochę jak parodia czy karykatura Greta Garbo albo Marleny Dietrich.

- Jak podróż? - odezwała się wreszcie swoim ochrypłym głosem.

- Dziękuję, dobrze - odparłam też raczej oschle, ciągle rozglądając się niepewnie wokół.

- Domyślałam się, że jesteś zdziwiona tym, że cię tu nagle ściągnęłam po tylu latach...

- Owszem, jestem, prawdę powiedziawszy, trochę zdziwiona. - Trudno było zaprzeczyć.

- Zaraz wszystko postaram się wyjaśnić. Siadajmy. Babcia Aurelia bez ogródek zaczęła wyłuszczać mi całą sprawę, dość szybko przechodząc do sedna. W skrócie przedstawiała się następująco: pewnego dnia babci Aurelii objawiła się Matka Boska - oczywiście, to jasne, właśnie czegoś w tym stylu się spodziewałam. W ów dzień w całej

miejsowości stał wielki sznur samochodów - z jakichś bliżej nieznanych przyczyn utworzył się korek gigant. Pod oknem babci zatrzymał się olbrzymi TIR. Z boku naczepy widniała twarz pięknej kobiety zachwalającej transportowane wewnątrz produkty - zdaje się, że jakieś jogurty z których można czerpać wiele nieocenionych dla zdrowia wartości. Ta twarz - wedle relacji babci - lśniła zupełnie olśniewającym blaskiem, cudownie promieniała. I babcia w tym nagłym olśnieniu pojęła, że to wrażenie blasku pochodzi z innej rzeczywistości, bo to sama Matka Boska postanowiła się babci objawić w tej postaci. Matka Boska Jogurtowa! Jasna sprawa, nic mnie już nie dziwi! Jakie czasy takie objawienia.

Co miały, u licha, znaczyć te twarze z reklamy? A te dziwaczne sny i jeszcze dziwniejsze zdarzenia na jawie? Wróciłam myślami do chłopaka z pociągu i nagle zdałam sobie sprawę, że reklama z jego twarzą to nie był jedynie sen - ja ją naprawdę widziałam, w moim mieście, naprzeciw dworca, kątem oka, kiedy biegłam, by zdążyć na pociąg. A może tak mi się tylko wydawało? Pierwszy raz w życiu rzeczywistość kompletnie pomieszała mi się z fantazją, tak że nie widziałam już granic. A teraz? Co miała wspólnego ze mną wizja babci Aurelii? Po co babcia mnie tu wezwała? Nie wiązałam już wszystkich wątków w żadną logiczną całość. Babcia nie zakończyła jednak jeszcze opowieści. Wpatrując się w cudowną twarz kobiety z reklamy, która okazała się Matką Boską, babcia dostrzegła naraz podobieństwo do

mnie, to znaczy coś jej zaczęło szeptać do ucha, że to twarz jej wnuczki Joanny A przecież nie wiedziała, jak teraz wyglądam. Pomyślała więc, że coś musi się w tym kryć - może mam zostać świętą? Musiała się przekonać, czy rzeczywiście istnieje takie podobieństwo i czy nadawałabym się na świętą. Stąd cała moja podróż i lustrowanie mnie wzrokiem. Jeśli chodzi o stwierdzenie ewentualnego podobieństwa, wystąpił zasadniczy problem: w pamięci babci zatarły się rysy twarzy Matki Boskiej, co uniemożliwiło porównanie. W tej sytuacji również moja świętość stanęła, dzięki Bogu, pod dużym znakiem zapytania. Babcia cieszyła się z mojego przyjazdu, choć nie miała pojęcia, co począć. Doszła zatem do słusznego wniosku, że wszystko rozstrzygnie się dalej samo - jeśli mam być świętą, niebo z pewnością da nam jeszcze jakiś znak, może nawet stanie się cud. Muszę tylko koniecznie pójść do kościoła.

Cóż, był to jakiś plan. Przystałam więc na niego, licząc, że do niczego więcej nie będę zmuszana. Tak też się stało - babcia nie stawiała już żadnych warunków. Zamierzałam zaraz po kościele wracać do domu. Było w tym wszystkim coś podejznanego, a zwłaszcza Matka Boska Jogurtowa nie wzbudzała mojego zaufania. Zegar zaczął wybijać północ, nieubłaganie zbliżała się pora spania. Teraz najbardziej obawiałam się kolejnych snów - miałam już dość wszelkich wizji i majaków. Tymczasem w drzwiach zniecka pojawiła się kuzynka babci, Weronika. Gdy odwróciłam się w jej stronę, czując czyjąś obecność za

plecami czy może słysząc po prostu szelest jej ubrania, omal nie padłam: istna Baba Jaga! Brakowało jej jedynie miotły. Zresztą z pewnością zostawiła ją w przedpokoju, bo że właśnie wróciła z Łysej Góry, nie ulegało wątpliwości. Nagle zatęskniłam za mamutką i babcią Sabiną. Poczułam się jak mała dziewczynka, która zabłądziła w ciemnym lesie. I wtedy babcia Aurelia zrobiła coś, czego kompletnie po niej nie oczekiwałam - zauważywszy mój niepokój, pogłaskała mnie po ręce i rzekła łagodnym tonem:

- Niczego się nie obawiaj, wszystko będzie dobrze. Wiem, jaka jest dzisiejsza młodzież, co macie na sumieniu - nie spodziewam się, żebyś była wyjątkiem. Słowo „grzech” jedynie was śmieszy Nie zmuszę cię do tego, byś poszła się wyspowiadać i zrobiła mocne postanowienie poprawy Proszę cię tylko, żebyś na trochę została, teraz, kiedy nawet twój ojciec przestał być w zasięgu i zostałyśmy z Weroniką zupełnie same.

Nie było w tych słowach wyrzutu, raczej gorzkie stwierdzenie takiego, a nie innego stanu rzeczy i dojmujący smutek. Potem słowa babci i tonacja jej głosu stały się podniosłe, zaczęła przemawiać jak rasowy kaznodzieja:

- Ja się już poddałam, pogodziłam z tym, że świat zwariował, że stacza się, idzie ku gorszemu. Tego nikt nie powstrzyma. Jest już bardzo niewiele prawdziwych świętych. To czasy hochsztaplerów, takich jak ci od reklamy co obiecują raj, jeśli tylko kupisz ich cudowny towar. Jakie



to wszystko płytkie, byle jakie! Coraz mniej świętych, coraz mniej prawdziwych powołań, prawdziwych objawień... Mnie też Matka Boska musiała się po prostu przyśnić i nic więcej. Zdarza się, że drzemię w oknie, przecież liczenie TIR-ów to prawie jak liczenie owiec. Tandetne to moje objawienie! Ludzie umierają dziś bez Boga, nie chcą myśleć za życia o śmierci, nie wierzą w wieczność, w nic stałego. Tandetne czasy, czasy hipermarketów, gdzie

Pismo Święte wydane w stylu Disneya stoi na półce obok majtek za pół ceny. A ludzie jeżdżą w niedzielę do sklepów zamiast pójść do kościoła. Jak mnie to wszystko mierzi! Pewnie za dużo oglądam wieczorami telewizji i tych głupich reklam, seriali... Stara już jestem...

W sposób najmniej oczekiwany nawiązała się między nami jakaś nić sympatii, chociaż nie rozumiałam do końca emocji i uczuć babci Aurelii - dla mnie ten świat mimo wszystko nie jest aż taki zły staram się dostrzegać również jego dobre strony.

Poza tym przestraszyłam się, rzecz jasna, że babcia, drzemiąc w oknie, kiedyś z niego wypadnie. Zaczęłam pojmować, dlaczego nie kontaktowała się z nami przez tyle lat. Pomyślałam, że chyba ciężko jej z tym żyć. Prawdę mówiąc, z początku wzięłam ją za typową zdewociałą staruszkę. Teraz zobaczyłam w niej coś zupełnie innego: ona siedzi w tym oknie i całymi dniami rozmyśla nad światem jak jakiś filozof-pustelnik. Tylko skąd wie, jak wyglądają hipermarkety? Przecież chyba tam nie jeździ...? A może to Weronika obskakuje wszystkie

megapromocje, przeceny i wyprzedaże w okolicy? Uspokoiałam się. Weronika, z której wyglądem już się nieco oswoiałam, przyniosła mi tymczasem coś do zjedzenia, bo babcia w ogóle się o to nie zatroszczyła, pozostając - jak się okazało - zawsze wyłącznie w sferze spraw wyższych. Wkrótce poszłyśmy spać. Tej nocy nic, ale to zupełnie nic mi się nie śniło, w każdym razie niczego nie pamiętam. I to było piękne.

Następnego dnia rano poszłyśmy we trzy do kościoła. Przez całą mszę z niepokojem oczekiwałam na kolejne niezwykle wydarzenia, na jakiś znak z nieba, ale żaden cud się nie zdarzył. W ogóle do końca mojego pobytu u babci Aurelii, czyli do wtorku, kiedy to wyruszyłam o świcie w drogę powrotną, nic szczególnego nie zaszło. Może poza tyradami babci na temat upadającego świata, które z pewnością należą do jedynych w swoim rodzaju. Rozstawałyśmy się tak, jakby nigdy nie było zerwania kontaktów przed laty Babcia Aurelia po prostu kupiła mnie swoją oryginalnością. W zasadzie powinnam zrobić jej masę wyrzutów i poużalać się nad sobą - dzieckiem z rozbitej rodziny, którego w dodatku własna babka się wyrzekła - ale jakoś ani nie było ku temu okazji, ani też nie nabrałam do tego przez cały mój pobyt specjalnej chęci.

W drodze powrotnej zakuwałam historię - tym razem bez przeszkód, szło jak po maśle. I tylko wyjście z dworca w moim rodzinnym mieście, gdzie dotarłam pod wieczór, przywołało na moment tamtą dziwną, nierealną atmosferę moich sennych wizji. Ale tylko na

moment. Nietrudno się domyślić, co było tego przyczyną: po drugiej stronie ulicy, na centrum handlowym wisiała wielka, podświetlana reklama ciuchów z chłopakiem - przystojniakiem. Wydało mi się, że mrugnął do mnie okiem z wielkowymiarowego zdjęcia, na którym widniała jedynie jego twarz w powiększeniu i nazwa firmy produkującej markowe szmaty (pewnie szyte za zeta w Chinach). Mnie oko nawet nie drgnęło, to wszystko po prostu stało się już nudne. Czekaając na przystanku na autobus, mogłam jeszcze raz przyjrzeć się dokładnie tej twarzy. Byłam teraz mądrzejsza o przemyślenia babci Aurelii i przestałam się bać. Chłopak rzeczywiście przystojny jak diabli, nie da się zaprzeczyć. I co z tego? Dopiero teraz zobaczyłam, jaki jest w tej swojej piękności plakatowy, sztuczny przesłodzony nieautentyczny.. A także bezmyślny bez śladu refleksji i namysłu...

Zatęskniłam nagle za Marcinem. Zaczęłam zastanawiać się, co robi. Pewnie zamiast zakuwać do matury gra po nocach w Herosów. Chyba nigdy jeszcze tak za nim nie tęskniłam jak wtedy, tego wieczoru, stojąc na przystanku naprzeciw tej wielkiej, bezmyślnie uśmiechniętej i zadowolonej twarzy

6 kwietnia

Wielka nowina! Anulka wygrała konkurs poetycki! Gdy mi to obwieszczała przed dwiema godzinami (właśnie wychodziłam do Marcina, ale przez to wszystko do niego nie dotarłam), język plątał się jej z wrażenia. Dostanie stypendium prezydenta miasta i będzie mogła

opublikować swój tomik. Wiedziałam, że ta dziewczyna ma talent! To ona jest prawdziwą poetką, ja - tylko marną wierszokletką. Teraz nie czułam pojmować, dlaczego nie kontaktowała się z nami przez tyle lat. Pomyślałam, że chyba ciężko jej z tym żyć. Prawdę mówiąc, z początku wzięłam ją za typową zdewociałą staruszkę. Teraz zobaczyłam w niej coś zupełnie innego: ona siedzi w tym oknie i całymi dniami rozmyśla nad światem jak jakiś filozof-pustelnik. Tylko skąd wie, jak wyglądają hipermarkety? Przecież chyba tam nie jeździ...? A może to Weronika obskakuje wszystkie megapromocje, przeceny i wyprzedaże w okolicy? Uspokoiliłam się. Weronika, z której wyglądem już się nieco oswoiłam, przyniosła mi tymczasem coś do zjedzenia, bo babcia w ogóle się o to nie zatroszczyła, pozostając - jak się okazało - zawsze wyłącznie w sferze spraw wyższych. Wkrótce poszliśmy spać. Tej nocy nic, ale to zupełnie nic mi się nie śniło, w każdym razie niczego nie pamiętam. I to było piękne.

Następnego dnia rano poszliśmy we trzy do kościoła. Przez całą mszę z niepokojem oczekiwałam na kolejne niezwykle wydarzenia, na jakiś znak z nieba, ale żaden cud się nie zdarzył. W ogóle do końca mojego pobytu u babci Aurelii, czyli do wtorku, kiedy to wyruszyłam o świcie w drogę powrotną, nic szczególnego nie zaszło. Może poza tyradami babci na temat upadającego świata, które z pewnością należą do jedynych w swoim rodzaju. Rozstawałyśmy się tak, jakby nigdy nie było zerwania kontaktów przed laty Babcia Aurelia po prostu kupiła

mnie swoją oryginalnością. W zasadzie powinnam zrobić jej masę wyrzutów i poużalać się nad sobą - dzieckiem z rozbitej rodziny którego w dodatku własna babka się wyrzekła - ale jakoś ani nie było ku temu okazji, ani też nie nabrałam do tego przez cały mój pobyt specjalnej chęci.

W drodze powrotnej zakuwałam historię - tym razem bez przeszkód, szło jak po maśle. I tylko wyjście z dworca w moim rodzinnym mieście, gdzie dotarłam pod wieczór, przywołało na moment tamtą dziwną, nierealną atmosferę moich sennych wizji. Ale tylko na moment. Nietrudno się domyślić, co było tego przyczyną: po drugiej stronie ulicy, na centrum handlowym wisiała wielka, podświetlana reklama ciuchów z chłopakiem - przystojniakiem. Wydało mi się, że mrugnął do mnie okiem z wielkowymiarowego zdjęcia, na którym widniała jedynie jego twarz w powiększeniu i nazwa firmy produkującej markowe szmaty (pewnie szyte za zeta w Chinach). Mnie oko nawet nie drgnęło, to wszystko po prostu stało się już nudne. Czekając na przystanku na autobus, mogłam jeszcze raz przyjrzeć się dokładnie tej twarzy. Byłam teraz mądrzejsza o przemyślenia babci Aurelii i przestałam się bać. Chłopak rzeczywiście przystojny jak diabli, nie da się zaprzeczyć. I co z tego? Dopiero teraz zobaczyłam, jaki jest w tej swojej piękności plakatowy, sztuczny, przesłodzony, nieautentyczny.. A także bezmyślny bez śladu refleksji i namysłu...

Zatęskniłam nagle za Marcinem. Zaczęłam zastanawiać się, co

robi. Pewnie zamiast zakuwać do matury gra po nocach w Herosów. Chyba nigdy jeszcze tak za nim nie tęskniłam jak wtedy, tego wieczoru, stojąc na przystanku naprzeciw tej wielkiej, bezmyślnie uśmiechniętej i zadowolonej twarzy

6 kwietnia

Wielka nowina! Anulka wygrała konkurs poetycki! Gdy mi to obwieszczała przed dwiema godzinami (właśnie wychodziłam do Marcina, ale przez to wszystko do niego nie dotarłam), język plątał się jej z wrażenia. Dostanie stypendium prezydenta miasta i będzie mogła opublikować swój tomik. Wiedziałam, że ta dziewczyna ma talent! To ona jest prawdziwą poetką, ja - tylko marną wierszokletką. Teraz nie może sobie nigdzie znaleźć miejsca, radość ją rozpiera. Nareszcie uwierzyła w siebie! Kiedy przyszła mi to powiedzieć, chciałam otwierać szampana, którego mamutka kamufluje na specjalną okazję, ale to nie był dobry pomysł. Anulka panicznie i histerycznie stroni od jakiegokolwiek alkoholu. No tak, zapomniałam, tatuś - przyjemniaczek, wieczny uraz...

7 kwietnia

Zatęskniłam za Marcinem... Jak to się dzieje, że kiedy zaczyna mi go strasznie, wręcz potwornie brakować i potrzebuję niezwłocznie mieć go przy sobie, kiedy na samą myśl o nim robi mi się ciepło w sercu i chciałabym go przeproszać, że może nie byłam dla niego dość czuła, on właśnie wtedy wykręca mi jakiś wyjątkowo wredny numer, tak że potem

długi czas czuję się jak zbity pies... Na przykład dziś: szukałam go wszędzie, bo mnie już skręcało z tęsknoty za nim, i nigdzie nie mogłam go znaleźć. Komórkę wyłączył, jego matka oczywiście nie miała bladego pojęcia, gdzie się podział, nie mówiąc już o ojcu. Wzięłam Boniego na smycz i postanowiłam pokręcić się po okolicy, licząc na to, że w końcu natknę się gdzieś na mojego chłopaka (w każdym razie jeszcze mi się wówczas tak wydawało, że mojego). Długo pałętałam się po parku, powoli tracąc nadzieję, że go tam spotkam, a przy okazji opędzając się od zaczepiających mnie, namolnych pijaków, na których Boni, niestety nie reaguje we właściwy sposób, biorąc ich zaczepki za dobrą monetę i przyjaźnie merdając ogonem (zdaje się, że teriery nie należą do rekordzistów, jeśli chodzi o poziom IQ). W końcu wyszłam z parku, ale zatrzymałam się tuż obok, na ulicy i zamyśliłam się. Stałam tak chyba dobry kwadrans i dopiero Boni wyrwał mnie z tego raczej bezmyślnego stanu ostrym szarpnięciem w stronę całkiem powabnej jamniczki. Omal nie padłam jak długa, potknąwszy się o krawężnik. Jamniczka natomiast nie zwróciła najmniejszej uwagi na śliniącego się na jej widok z wrażenia, lekko stukniętego terierka, i oddaliła się majestatycznym krokiem, z dumnie uniesioną głową w stronę swojego domu. Skoro już zostałam wyrwana z chwilowego odrętwienia, postanowiłam, że coś postanowię. I tak postanowiłam zawrócić do parku. Nie wiem, skąd przyszła ta nagła decyzja, coś mnie tam po prostu pchnęło. Przeczulałam, że coś się tam jeszcze wydarzy I nie myliłam się.

Boniemu pozwoliłam tym razem biegać bez smyczy, bo ciągnął niemiłosiernie. Pies natychmiast puścił się pędem przez park prosto do altany stojącej na końcu jednej z bocznych alejek, gdzie już się wcześniej wyrywał. Na moment zniknął w jej wnętrzu, a potem wybiegł do mnie rozradowany i znowu wbiegł do środka. Najwidoczniej dokonał tam jakiegoś odkrycia, które go tak niezmiernie ucieszyło. Jasne, Marcinek! Ale nie sam, w towarzystwie jakiejś blond laluni na oko starszej od nas o jakieś pięć lat! Nieźle tam sobie poczynali w altance, co było widać po rozchełstanej garderobie i rozmazanej szmince dziewczyny. Dziękuję ci, piesku! Zawsze lepiej wiedzieć takie rzeczy, niż nie wiedzieć. Pomyślałam wtedy: to już twój ostatni wredny numer, Marcinku! Dziękuję ci, było miło, będzie co wspominać. Rzeczywiście, miałeś rację, nie jesteś ideałem. Kim ty w ogóle jesteś? Adieu! Farewell, Mr Marcin, farewell!

8 kwietnia

Dopiero dziś zdałam sobie sprawę, że należy zapytać rodzinę, jak minęły święta. Z powodu ostatnich wypadków kompletnie o tym zapomniałam. Babcia Sabina, która (co za szczęście!) nie może się z nami rozstać i zostanie aż do mojej matury natychmiast z przejęciem opowiedziała mi o pani Jagodzie. Ponoć wyglądała bardzo źle i o mały włos nie zasłabła przy świątecznym stole, chociaż starała się po swojemu trzymać fason, ze wszystkiego żartowała i spróbowała wszystkich potraw, na co reszta biesiadników patrzyła z lekkim przerażeniem.



Podobno od nikogo nie przyjmuje żadnych rad na temat zdrowia (fajno jest jak jest, i już!), a Włodek bardzo się o nią martwi. Wywnioskowałam, że wszyscy byli trochę przygnębieni i nie za dobrze świętowali. Mamutka nic nie mówi i o nic nie pyta. W tym jej milczeniu wyczuwam zaciętość. Chciałam coś opowiedzieć o babci Aurelii, wziąć ją w obronę, wytłumaczyć mamutce długie milczenie babci. To chyba jednak nie jest i nie będzie możliwe, bo jest zbyt uprzedzona, czemu trudno się zresztą dziwić. Po przemyśleniu sprawy doszłam do wniosku, że w zasadzie nie ma sensu tego zmieniać.

Babcia Sabina nieśmiało zapytała mnie o „emaliową” korespondencję. Racja, przez tę całą wielkanocną podróż zupełnie zapomniałam o liście do wujka z Ameryki!

Odbieranie poczty trwało w nieskończoność, w końcu jednak mail ze Stanów przyszedł. Zawierał sporej objętości załączniki - stąd tak długi odbiór. Nie był to - jak się spodziewałyśmy - list od Antoniego, lecz od owego towarzystwa przyjaciół sztuki, któremu wuj przesuje, a raczej przesował. Z treści maila wynika bowiem, że wujek właśnie niedawno temu odszedł z tego świata. Babcia zbladła, gdy się o tym dowiedziała. Miała przeczucia i spodziewała się takiej odpowiedzi. Na tym jednak nie koniec. Wuj z Ameryki spisał testament, a w nim część swej malarskiej kolekcji zapisał nam - rodzinie swojego brata Stefana. Towarzystwu powierzył pieczę nad obrazami i zadanie odnalezienia spadkobierców. Bardzo się ucieszyli, że akurat dostali od nas list - to ułatwiło im sprawę.

Załącznikami były zdjęcia odziedziczonych przez nas obrazów - istne cacka, a wśród nich wyglądająca na niezwykle starość niewielkich rozmiarów scena z Sądu Ostatecznego z aniołami i diabłami. Kiedy otworzyłam załącznik ze zdjęciem tego obrazu, które szczelnie wypełniło ekran komputera, ciarki przeszły mi po plecach - stanowczo za dużo zbieżności życiowych faktów z moimi ostatnimi snami! Czy ja jestem medium, czy co? A może trzeba spalić mnie na stosie? Znowu się wystraszyłam.

Pytam babcię, co zrobimy z nieoczekiwaną fortuną - obrazy na pewno mają dużą wartość, więc jesteśmy bogate! Ale ona od razu ostudziła mój zapał: po pierwsze, trzeba zapłacić podatek, po drugie, ubezpieczyć te cudenka na wypadek kradzieży po trzecie, zacząć się martwić, jak je przechowywać, nawet jeśli byłyby ubezpieczone, po czwarte, niewierny i nigdy się już nie dowiemy, co zaszło dawno temu między wujkiem i dziadkiem Stefanem. Może nie wypada nam dziedziczyć, nie powinniśmy na przykład przez pamięć i szacunek dla dziadka... Ten ostatni argument nie bardzo do mnie przemówił - teraz obaj bracia nie żyją, a nam zostało coś cennego, co należy do rodziny. Babcia Sabina podjęła jednak szybką i nieodwołalną decyzję: przekazujemy obrazy naszemu muzeum. Spodobał mi się ten pomysł, brzmi rozsądnie, choć trochę szkoda, że nie staniemy się bogate. Zabrałabym mamutkę i babcię w podróż na Karaiby.. Potem zahaczyłybyśmy o New York, Kalifornię, Las Vegas, Tokio, Moskwę,

Paryż, Londyn, Brukselę (choć nie, Brukselę nie, Ewcia mówiła, że nie ma tam nic ciekawego).

Raz jeszcze wróciłam myślami do pierwszej odsłony mojego snu z pociągu. Muzeum... tak, to musiał być proroczy sen. Może jednak coś we mnie siedzi od czasu zabawy z talerzykiem? A może zwariowałam?

9 kwietnia

Dzień wielkiej awantury między mamutką i babcią Sabiną. No tak, można się tego było spodziewać. Mamutka dowiedziała się o zmarłym wujku Antonim, naszym nieoczekiwanym spadku i o decyzji babci. Świadomość, że możemy być bogate, a babcia chce to zaprzepaścić, podejmując jakieś, cytuję: „durne decyzje”, okazała się dla mamutki nie do zniesienia. To było wystawienie jej zdolności do wyrzeczeń i wątłych nerwów na zbyt ciężką próbę. Piekliła się zatem niemiłosiernie, zupełnie nad sobą nie panując. Mnie też się oberwało: oprócz głupiego podróżowania podczas świąt i zadawania się z zupełnie niewłaściwymi osobami, których w ogóle nie powinnam uznawać za swoją rodzinę, piszę w dodatku jakieś e-maile do Stanów, a jej na ten temat to ani mru-mru (jakby miało to mieć jakiś wpływ na to, co się stało). Podejrzewała nawet mnie i babcię o zмовę. Właściwie nie wiem, dlaczego wcześniej nic jej nie powiedziałyśmy, po prostu wyleciało nam z głowy, nie było w tym przecież złej woli. Mamutka wpadła w najgorszy z możliwych stanów - stan nierozumnego roztrzęsienia, graniczącego z obłędem, stan wrzasków na całą dzielnicę oraz złości parującej uszami. Ona już czuła

w powietrzu zapach tego przyszłego bogactwa, ów wyjątkowo przyjemny aromat nieznośnie drażnił jej wrażliwe nozdrza, a tu babcia wyskoczyła jak filip z konopi z jakimś muzeum. Babcia była jednak wobec tego wszystkiego nieugięta i mamutka niczego przez cały dzień nie wskórała. Między innymi za to podziwiam babcię Sabinę. I za to, że wiem, iż mamutka nic nie wskóra także jutro i pojutrze, i nawet popojutrze.

12 kwietnia

Wiekopomne wydarzenie mamy już za sobą. Wczoraj odbył się długo oczekiwany koncert. UFFO zagrało bosko i niewiarygodnie - tylko na początku byli trochę stremowani, ale potem dali takiego czadu, że dziadki z U2 przy nich wysiadają.

Byłam pod dużym wrażeniem, serio. Nawet dostali propozycję nagrania płyty! Po prostu zaczynają być na topie, to nie ulega wątpliwości.

Z Izką dziwnie się teraz gada... Zdecydowanie więcej zrozumiałby z tego, co się do niego mówi, Fikus, a nawet mój nierozgarnięty Boniś. Rozmowa z moją przyjaciółką wygląda mniej więcej tak:

- Nieźle wam poszło, gratulacje, przed tobą prawdziwa kariera! -  
Staram się podlizać

Izce, żeby o mnie nie zapomniała, jak już będzie sławna.

- Ehe, wiem, że miałam superfryzurę, tylko makijaż był fatalny, robiła mi go jakaś nierozgarnięta baba. Fioletowe cienie, kumasz? Było

już za późno, żeby to zmyć, myślałam, że ją zabiję!

- Ale ja nie o tym, mówię, że daliście fajny występ. I płytę będziecie nagrywali... Jestem z was dumna, naprawdę.

- No, no, ja też miałam wrażenie, że ta gitara basowa źle brzmiała, coś z nią było nie tak, jak słowo daję, może ją źle podłączyli... Mój mikrofon na początku trzeszczał. Było słychać? Ale się stresowałam! A Paweł w garderobie cały się trząsał, musieliśmy go ciągnąć na siłę, bo na własnych nogach dobrowolnie nie wyszedłby na scenę.

- Do kitu ten wasz występ, zupełnie mi się nie podobał! - Zmieniam strategię ciekawa, czy tym razem coś do niej trafi. To jednak na nic.

- Nie było żadnego półplaybacku, no coś ty! Wszystko szło na żywca! Jeszcze ci nie mówiłam, że dzień przed koncertem gardło mi wysiadło. Ale moja doktorka dała mi w ostatniej chwili jakiś zastrzyk i przeszło. O rany, same stresy! Teraz mogę już iść na maturę - to będzie pikuś!

I tak dalej, i tak dalej... A może ona po prostu ogłuchła?

Rzecz jasna, na koncercie pojawił się Marcinek, spostrzegłam go kątem oka gdzieś wśród tłumu. On raczej mnie nie widział. Chyba był sam. Ale to już nie ma znaczenia. Parę dni i kompletnie mi przeszło, po prostu stał mi się po tym wszystkim obojętny i całkiem obcy. Nie obchodzą mnie jego SMS-y z przeprosinami i błagalne prośby o spotkanie (skąd ja to znam?). Myślałam, że będę cierpieć, a tymczasem...

o dziwo, odetchnęłam z ulgą. Tak więc mogłam nucić wraz z moim ulubionym zespołem (czując przy tym wyraźne zadowolenie): Uff, odetchnij z ulgą, chociaż jestem teraz sama... To nic, nawet dobrze się składa - wreszcie, w tych ostatnich dniach przed maturą, skupię się właśnie na niej. Egzamin zbliża się przecież nieubłaganie, a ja wciąż mam w uszach przeraźliwie głośnie bębnienie palców naszego profesora od historii o stół i przypomina mi się uczucie wielkiej pustki w głowie, któremu to bębnienie towarzyszy

4 maja

Wczorajszą noc spędziłam - jak za starych dobrych czasów - u Moni. Była to dla mnie przedostatnia noc przed maturą, a dla Moni ostatnia (polskiego nie muszę zdawać, mimo nieustających protestów Praworzędnych). Plan miałyśmy taki, żeby zakuwać do rana. Całą podłogę pokoju pokrywały notatki, wydruki z Internetu i książki. Po kilku godzinach wszystko zaczęło się nam jednak mieszać. Nawet Malwin-ka musiała mieć już tego zakuwania dość, bo zaczęła niemiłosiernie kopać. Trzeba było więc skończyć z nauką i trochę się zrelaksować. Zamiast się porządnie wyspać, do rana słuchałyśmy świetnej muzy i gadałyśmy - głównie o naszych nieudanych związkach, samotności i o tym, że boscy faceci istnieją chyba tylko w wyobraźni albo w filmach. Oczywiście snułyśmy również wizje przyszłości, choć jest ona dla nas ciągle wielkim znakiem zapytania. Malwinka w miarę szybko przestała dokuczać kopaniem, zatem z nas trzech tylko ona

pokierowała się rozsądkiem, udając się w porę na słodki spoczynek. Nam nerwy nie dawały spać, podświadomie nakręciłyśmy się maturą, która przecież rozpoczyna się zaraz, za chwilę. A jeszcze niedawno wydawała się taka odległa...

Teraz także jest noc. Zaledwie kilka godzin dzieli mnie od egzaminu dojrzałości. Nie mam pojęcia, jak go zdam - nadal nie przychodzi sen, przewracam się z boku na bok. Wstaję z łóżka i chodzę po pokoju. Przez okno widzę zapalone światło w pokoju Izki.

A z nieba zerka na nas dobrotliwy księżyc i sprawia wrażenie szczerze zmartwionego, że nie możemy spać.

Co będzie jutro? Co będzie za miesiąc? Co będzie za rok? Nie wiem.

KONIEC